EKONOMIA DZIELENIA SIĘ INFORMACJĄ

Agnieszka Szewczyk

EKONOMIA DZIELENIA SIĘ INFORMACJĄ

czyli

JAKĄ MOC MA SŁOWO

bernardinum
2019

Recenzenci:
prof. zw. dr hab. Elżbieta Skrzypek
oraz prof. nadzw. dr hab. Lidia Sobolak

Redakcja i korekta:
Agnieszka Strzępka

Wybór ilustracji:
Elżbieta Mackiewicz

Ilustracje:
www.pixabay.com

Zdjęcie z okładki: www.pixabay.com
Zdjęcie z tyłu okładki: Joanna Pawłowsky

© Copyright by Agnieszka Szewczyk, 2018

Wydawnictwo „Bernardinum" Sp. z o.o.
ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel. 58 536 17 57, fax 58 536 17 26
bernardinum@bernardinum.com.pl
www.bernardinum.com.pl

Skład, druk i oprawa:
Drukarnia Wydawnictwa „Bernardinum" Sp. z o.o.,
Pelplin

ISBN

Ludzie bowiem będą samolubni, chciwi, wyniośli, pyszni, bluźniący, nieposłuszni rodzicom, niewdzięczni, niegodziwi, bez serca, bezlitośni, miotający oszczerstwa, niepohamowani, bez uczuć ludzkich, nieprzychylni, zdrajcy, zuchwali, nadęci, miłujący bardziej rozkosz niż Boga. Będą okazywać pozór pobożności, ale wyrzekną się jej mocy. I od takich stroń.

(2 Tym 3, 2-5)

Dedykuję tym,

którzy ucierpieli przez takich ludzi.

Zamiast wstępu

...informacja sama w sobie
nie jest ani dobra, ani zła.
Jest to po prostu siła
i jak każda siła może zostać wykorzystana
w dobrych lub złych celach.

Aldous L. Huxley

Pierwsza powieść Petera Axworthy'ego nosiła wspaniały tytuł: „Miłość zwycięża". Niestety nikt jej nie kupował i książka zalegała półki księgarni. Axworthy postanowił sobie pomóc. W różnych wielonakładowych gazetach zamieścił następujące ogłoszenie:

Milioner, lat trzydzieści, dobrze zbudowany, wysportowany, miłośnik muzyki, ożeni się z dziewczyną, która podobna jest we wszystkim do bohaterki powieści „Miłość zwycięża"!

Sukces nie kazał na siebie czekać. Po tygodniu wszystkie egzemplarze jego książki zastały rozprzedane!

(Pierre Lefevre)

Czy zadziałała tu siła mediów, zachęta zawarta w informacji czy moc słowa właściwie dobranego do oczekiwanej sytuacji?

Śledzenie informacji podawanej przez media może prowadzić do zadziwiającego wniosku, że świat jest na wskroś zły! Powalająca większość doniesień dotyczy przestępstw różnego rodzaju: oszustw, morderstw, rozbojów, zdrad, niespełnionych nadziei, wypadków…

Jak ludzie reagują na takie słowa? Czy biorą je do siebie? Ludzie są chciwi, pyszni, niepohamowani, niewdzięczni, bez serca, nieposłuszni, bezmyślni, zuchwali, kłamliwi, bezlitośni, samolubni, niegodziwi, wybierają zło a nie dobro… Ludzie, a ja?

Komu więc są potrzebne takie medialne newsy? Po co się dzielić takimi informacjami? Żeby straszyć? Ostrzegać? Podsycać emocje? Żeby było o czym porozmawiać w autobusie, w windzie, w sklepie, na portalach społecznościowych? A może po to, żeby zastanowić się nad sobą? Tak, właśnie nad sobą, nad swoim życiem, nad swoim osobistym „wkładem" w zło świata?

I już słyszę: ja nikogo nie zabiłem, nie okradłem, w zasadzie nie kłamię, żonę zdradziłem tylko dwa razy, to co to jest, prawda? A że jestem egoistą? No cóż, ma się przecież tylko jedno życie! Jeżeli tak myślisz, to proszę, przeczytaj tę książkę!

Ekonomia ma to do siebie, że dąży do równowagi. Mówi się o zrównoważonym rozwoju, o równowadze na rynku. Nie ma w ekonomii zmiennej zorientowanej na sentymenty. A najważniejszy powinien być przecież człowiek!

Kilkadziesiąt lat temu do trzech klasycznych czynników produkcji przyjętych w ekonomii,

tj. ziemi, pracy i kapitału, została dołączona informacja. Jedna z definicji ekonomii mówi, że jest to nauka o wyborach. A jak dokonywać wyborów bez stosownej informacji? Informacji, którą można i trzeba się dzielić?

Ale ekonomia dzielenia się informacją to nie tylko mierniki, słupki czy wzory. To również badanie wagi słów, potrzeby słów, czy też ich mocy i głębokości, a także odkrywanie owoców, jakie rosną na glebie danej informacji. Święty Jan Paweł II powiedział kiedyś: „Prawdą jest, że niełatwo zmierzyć głębokość słów", ale można próbować. A to, czy informacja jest potrzebna czy nie, kiedy warto się nią dzielić z innymi, świetnie określił już Sokrates. Dokładnie opowiada o tym Pierre Lefevre:

Pewnego razu przychodzi do Sokratesa rozemocjonowany człowiek.

– Hej, Sokratesie, czy słyszałeś, co najlepszego zrobił twój przyjaciel? Muszę ci o tym zaraz opowiedzieć.

– Chwileczkę – przerywa mu mędrzec. – Czy przecedziłeś to, co chcesz mi powiedzieć, przez trzy sita?

– Trzy sita? – pyta zdumiony człowiek.

– Tak, mój kochany, trzy sita. Pozwól, że zobaczymy czy to, co masz mi do powiedzenia, przejdzie przez trzy sita.

Pierwszym sitem jest prawda. Sprawdziłeś, czy wszystko, co zamierzasz mi powiedzieć, jest prawdą?

– Nie, słyszałem, jak ktoś to opowiadał i…

– Otóż to! Ale na pewno przecedziłeś to przez drugie sito. Sito dobra. Czy to, co chcesz mi opowiedzieć – pomimo że, jak już się przekonaliśmy, nie polega na prawdzie – ma przynajmniej służyć czyjemuś dobru?

Rozmówca zaprzeczył:

– Nie, przeciwnie…

– Aha! – przerwał Sokrates. – Zatem pozwól, abyśmy wykorzystali trzecie sito i zapytali, czy to, co masz mi do powiedzenia, a co cię tak wzburzyło, jest konieczne!

– No, niezupełnie…

– Zatem – uśmiechnął się mędrzec – jeśli to, co chcesz mi opowiedzieć, nie jest ani prawdziwe, ani dobre, ani konieczne, zapomnij o tym i nie obciążaj tym siebie i mnie.

Często trzeba popracować nad tym, żeby słowa odniosły pożądany skutek, żeby dotarły do odbiorcy. Ekonomia informacji powinna czuwać nad tym, o czym mówił już przed wiekami Pitagoras: „Nie wyrażaj małej rzeczy w wielu słowach, lecz wielką rzecz w niewielu".

Poniższa historia pokazuje jasno, jak ważne jest właściwe dobranie słów w przekazywanej informacji:

Pewien sułtan miał sen, że stracił wszystkie zęby. Zaraz po przebudzeniu zapytał wykładacza snów o sens nocnej zmory.

– Och, co za nieszczęście, mój panie! – wykrzyknął ten. – Każdy stracony ząb oznacza stratę jednego z twych poddanych!

– Ty bezczelny draniu – wykrzyknął wściekły sułtan. – Jak śmiesz mi to mówić? Wynoś się! I rozkazał: – Wymierzyć pięćdziesiąt batów temu bezwstydnikowi!

Przyprowadzono przed oblicze sułtana drugiego wykładacza snów. Kiedy ten dowiedział się o śnie, wykrzyknął:

– Co za szczęście! Co za wielkie szczęście! Nasz pan przeżyje wszystkich swoich poddanych! – Oblicze sułtana się rozpogodziło i władca rzekł:

– Dzięki ci, mój przyjacielu. Idź zaraz z moim skarbnikiem i każ sobie wypłacić pięćdziesiąt sztuk złota! Po drodze skarbnik rzekł do niego:

– Sens twojego objaśnienia snu nie różni się w niczym od tego, co powiedział pierwszy wykładacz.

Mędrzec, uśmiechając się chytrze, odpowiedział:

– Zważ, że można wiele powiedzieć, ale wszystko zależy od tego, jak się to robi!

(Pierre Lefevre)

I tak właśnie niepomyślna informacja mogła zostać pozytywnie przyjęta! Ale zła nie należy owijać w bawełnę, ukrywać go pod płaszczykiem dobra. I zło, i dobro trzeba nazywać po imieniu. Tylko wtedy zaistnieje krystaliczna sytuacja, w której, jak mówi Jan Lechicki: „płacenie dobrym za zło będzie lokatą kapitału na wysokie oprocentowanie".

Złe słowo może spowodować dużo zła, może nawet zabić, dobre stawia na nogi, dodaje odwagi, uzdrawia… Chociaż rację trzeba przyznać Andrzejowi Fredro, autorowi sentencji: „małe dobro wielkiego zła nie naprawi, a małe zło wielkie dobro z pewnością popsuje".

Oby tylko ostateczny bilans wykazał dobro na plusie, informacje medialne przynajmniej sprawiedliwie traktowały zdarzenia dobre i złe, a podaż dobra przewyższała podaż zła. Bo przecież nie wszyscy ludzie są: chciwi, pyszni, niepohamowani, niewdzięczni, bez serca… Bo jak słusznie twierdził Georg Chesterton: „Jest tylko jedna rzecz większa od tajemnicy zła – fakt istnienia dobra".

Drogi Czytelniku! Pamiętaj o tym, proszę, czytając zamieszczone tu informacyjne newsy, którymi dzielę się z Tobą. Podobne zresztą można znaleźć w mediach każdego dnia.

I

Tylko człowiek może czynić zło drugiemu
i niestety z tej zdolności obficie korzysta.
A informacje o tym
wciąż są w medialnych rankingach
na czołowych miejscach.
Dzielmy się informacją, a nie złem.

wg Zuzanny Abrysowskiej-Luty

„Info 24”, czyli brak litości

Litość – dobrych ludzi przymiot.

Bolesław Prus

Wiktor, włącz, proszę, „Info 24”. Nie miałam dziś czasu nawet przejrzeć gazety, ani zajrzeć do Internetu – żona zawsze starała się być na bieżąco w sprawach życia codziennego.

Nie przepadam za tego typu programami, ale nie chcąc być sprawcą awantury domowej, posłusznie wziąłem do ręki pilota i odłożyłem teczkę z aktami.

Małgosia przysiadła przy mnie na kanapie i pogładziła mnie po ręce, pytając:

– Jak tam dzisiaj było w sądzie? Znowu będziesz do północy ślęczeć nad tymi sprawami?

– No, przecież to moja praca! Ale emerytura tuż, tuż. Nie cieszę się tym zbytnio, bo…

Ale Małgosia już mnie nie słuchała, bo spiker rozpoczął program informacyjny. Postanowiłem posiedzieć te pół godziny z Małgosią i odpocząć, a przy tym dowiedzieć się, jak to się mówi, „co w trawie piszczy w innej bajce".

Już po dziesięciu minutach byłem na tyle wkurzony, że zapomniałem o odpoczynku. Po kolejnych pięciu czułem się tak, jakbym wcale nie wychodził z sali sądowej. W czasie tego kwadransa usłyszałem bowiem informacje o kilku wypadkach, w tym o pięciu, które spowodowali pijani kierowcy, o dwóch defraudacjach w znanych firmach, o kradzieży zabytkowego samochodu z rezydencji jednego z polityków, a gdy miałem już dosyć, spiker rozpoczął „czarną serię" o bezlitosnych, bestialskich i brutalnych czynach przestępczych:

– *Wczoraj aresztowano w N. znanego aktora, Dariusza Z., pod zarzutem zamordowania ze szczególnym okrucieństwem swojej konkubiny, trzydziestoletniej Katarzyny P. i jej siedmioletniego syna, Kacpra…*
– *Do prokuratury w Z. wpłynęło zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez Wandę K., opiekunkę starszego małżeństwa, Olgi i Kazimierza B. Doniesienie złożyła ich córka, którą zaniepokoiły liczne sińce na ciele rodziców…*
– *W Urzędzie Miasta M. od paru miesięcy ma miejsce mobbing, który praktykuje dyrektor Wydziału Komunikacji, Piotr T. – powiedziała dziennikarce TV anonimowa informatorka. Szef urzędu zarządził pilne wyjaśnienie tego problemu…*
– *W P. zwolniono dyscyplinarnie kierownika schroniska dla bezdomnych zwierząt. Pracujący tam wolontariusze już od pewnego czasu sygnalizowali istotne nieprawidłowości w jego funkcjonowaniu, a szczególnie: znęcanie się nad zwierzętami…*
– *W Berlinie zatrzymano poszukiwanego międzynarodowym listem gończym Artura G., który jest podejrzany o dokonanie szeregu brutalnych gwałtów w okresie ostatnich sześciu miesięcy na terenie Niemiec i Polski…*

Dosyć! Wyciągnąłem rękę po pilota, żeby zamknąć usta spikerowi, ale Małgosia, jak zwykle zresztą, siedząc przed ekranem z pilotem w dłoni, drzemała i musiałbym ją obudzić! Na szczęście dziennik się skończył i rozpoczął się koncert. Przy dźwiękach jakiejś symfonii zacząłem na poważnie rozmyślać nad sensem i celem upubliczniania ta-

kich spraw. Przecież ten dziennik zawierał chyba z dziewięćdziesiąt procent informacji negatywnych! Komu się to przyda, kto i co na tym zyska? Czy były jakieś dobre wiadomości? Niewiele. Ale tak to już jest, że zło jest bardziej widoczne i bardziej medialne niż dobro. A przecież dzielić się dobrem, dobrym przykładem, to chyba lepiej, niż słuchać jak kogoś pobić czy molestować, albo oszukać.

Po dobrej chwili przypomniałem sobie, że mój kolega ze studiów, Marek, pracuje naukowo na uniwersytecie i prowadzi szeroko zakrojone badania na temat bestialskich skłonności człowieka. Spotkałem go niedawno w filharmonii na koncercie, więc chyba teraz to skojarzenie wynikło z nadawanej właśnie muzyki. Opowiadał mi, że dostał grant i dofinansowanie z Unii Europejskiej, żeby przebadać sprawców szczególnie brutalnych przestępstw, zrozumieć powody ich popełnienia, podać rys psychologiczny przestępcy, zasymulować, jak potoczyłyby się jego losy, gdyby nie doszło do tych bezlitosnych i nieprzychylnych ludziom zdarzeń. Załatwiłem mu możliwość przejrzenia akt wybranych spraw, które zakończyły się wieloletnimi wyrokami pozbawienia wolności. Dałem kontakty do zakładów karnych,

w których przebywali osadzeni. Te sprawy sądowe już się zakończyły, ale pamiętam, że poszukiwał przypadków przestępstw tej klasy w początkowym okresie, czyli przed rozprawami, zbieraniem dowodów winy itp. Człowiek popełniający zło ma wtedy jeszcze inny osąd sprawy, ma nadzieję, że może uniknie kary, że adwokat „coś wymyśli"…

Jak nic, te dzisiejsze wiadomości telewizyjne przydadzą mu się na pewno.

Wieczorem zadzwoniłem do Marka i opowiedziałem w paru słowach, w czym rzecz. Bardzo mi dziękował za „świeży materiał badawczy". Co prawda nie słuchał tego dnia wiadomości, bo był na konferencji naukowej w Paryżu, ale od czego jest Internet? Niezwłocznie poleci swojemu doktorantowi ściągnięcie właściwych plików, także z innych źródeł medialnych, na wskazane przeze mnie tematy i cały jego zespół – pracownicy, psychologowie i socjolodzy – zabierze się do pracy.

– Marku, to podeślij mi, proszę, materiały, które opracowujecie. Na pewno przydadzą mi się takie naukowe opinie i analizy – poprosiłem na zakończenie naszej rozmowy.

Za parę miesięcy otrzymałem opasłą teczkę z wynikami specjalistycznych badań. Z niecierpliwością czekała na nie Małgosia, która „zna spra-

wy" i czuje się, jak mówiła: ich matką chrzestną. No, bo jakbyśmy wtedy nie oglądali „Info 24", to…

Pierwszy przejrzałem materiały od Marka. Były opracowane bardzo profesjonalnie, naszpikowane specjalistyczną terminologią z zakresu prawa, psychologii i socjologii. Zrobiłem więc dla Małgosi streszczenie poszczególnych historii, aby były zrozumiałe dla zwykłego czytelnika. Po przemyśleniu postanowiłem zachować formę monologu i usunąć najbardziej drastyczne momenty i sformułowania. Marek ocenił, że to świetny pomysł i zamówił u mnie te teksty do tygodnika „Prawo dla każdego". A więc – przestępcy mają głos!

1. Dariusz:

Pochodzę z porządnej, kochającej rodziny. Mam starszego brata i młodszą siostrę. I tu chyba zaczyna się mój problem. Wielokrotnie, w różnych sytuacjach rodzice faworyzowali swojego pierworodnego syna, a młodszej siostrze zawsze musiałem ustępować, „bo młodsza, bo dziewczyna".

Nigdy nie byłem najważniejszy, najlepszy, nigdy nie decydowałem, nawet w tak przyziemnych sprawach jak wybór zupy na obiad, czy jak spędzimy niedzielne popołudnie. Pamiętam, że bardzo chciałem, żebyśmy pojechali do zoo, ale siostra bała się zwierząt, a brat zawsze przekonywał rodziców, że najlepiej iść na mecz piłki nożnej, piłki ręcznej, siatkówki, koszykówki, hokeja…, zawsze coś takiego się działo.

Mimo wszystko uczyłem się nie najgorzej i po maturze wybrałem studia aktorskie. Jakimś cudem przeszedłem egzaminy wstępne. Dlaczego właśnie takie studia? Bo moim pragnieniem było udawanie kogoś innego. Nigdy nie akceptowałem siebie, swojego wyglądu, charakteru i osobowości. Uważałem, że jestem za chudy, a właściwie cherlawy, że jestem flegmatykiem i w ogóle jestem bardzo mizernym facetem. Ale widocznie na scenie i w filmie tacy też są potrzebni, nie tylko przystojni bruneci.

Mój marny wygląd ani zapaprane wnętrze nie przeszkadzały Klarze, koleżance z roku, która zakochała się we mnie bez pamięci. Klara była piękną, młodą kobietą, która mogła przebierać w facetach jak w ulęgałkach. Dlaczego wybrała mnie? No cóż, „serce nie sługa", mówiła na sprawie rozwodowej, bo nasze studenckie małżeństwo przetrwało tylko cztery lata. A wujek Klary, który był jej adwokatem, wciąż jej powtarzał: „widziały gały, co brały". Klara porzuciła mnie właściwie

z zazdrości o artystyczną karierę. Ja robiłem ją w zawrotnym tempie, ona na darmo oczekiwała propozycji jakiejkolwiek roli teatralnej czy filmowej. No cóż, pięknych aktorek było bez liku, a takich charakterystycznych typów spod ciemnej gwiazdy, zdecydowanie mniej.

Zostałem sławny dzięki rolom złodziei, morderców, brutali, bezlitosnych mężów i kochanków maltretujących swoich najbliższych według różnych scenariuszy. Już w czasie studiów obsadzono mnie w głównej roli w filmie „Nauka zbrodni" znanego reżysera, twórcy takich dzieł filmowych, jak: „Życie jest nic nie warte", czy „Zabij mnie".

Moje nowe oblicze – silnego, zdecydowanego pana życia i śmierci, bardzo mi odpowiadało, bo było całkowitym moim przeciwieństwem. Wielką przyjemność sprawiały mi sceny zabójstw, zwłaszcza tych zaplanowanych w najdrobniejszych szczegółach. Nawet zdarzało się, że reżyser zmieniał scenariusz, bo moje uwagi i propozycje były bardziej „interesujące".

Niezła gra aktorska, dobra charakteryzacja i kostiumy sprawiły, że stałem się bożyszczem wielu kobiet. Mogę powiedzieć szczerze, że w szczytowym punkcie mojej kariery, prowadziłem rozwiązłe życie. Aktualnie mieszkałem np. z Hanką, a zdradzałem ją z siedmioma innymi. Po jakimś czasie „zmieniałem scenariusz" i oficjalnie byłem z Florą, a poza nią spotykałem się z Leną, Wiką, Sofii…, i już nawet nie pamiętam ich imion.

Po paru latach takiego życia wydawało mi się, że osiągnąłem pełnię szczęścia, miałem dużo pieniędzy, wiele propozycji ról, kobiet do wzięcia, wspaniałą rezydencję, najnowszy model mercedesa.

I właśnie tym samochodem wracałem kiedyś późnym wieczorem do domu z suto zakrapianej imprezy po premierze filmu, w którym grałem główną rolę. Ulice o tej porze były puste, pędziłem więc chyba ze dwieście na godzinę. Aż tu nagle zobaczyłem na pasach kobietę z dzieckiem. Nie wiem jakim cudem, ale zdążyłem wyhamować na tyle, że zatrzymałem się dosłownie o parę centymetrów od nich. Kobietę chyba wmurowało na amen na środku przejścia, bo stała jak słup, osłaniając dziecko swoim ciałem.

Wyskoczyłem na jezdnię, nogi miałem jak z waty, spojrzałem wokoło, ale chyba na szczęście dla mnie, nie było świadków tego zdarzenia. Otworzyłem tylne drzwi i gestem zaprosiłem ich do samochodu. Udało mi się w końcu wydobyć z siebie głos i zapytałem, dokąd mam ich podwieźć.

Kobieta odpowiedziała, że szli do dyżurnej przychodni, bo Kacperek dostał jakiejś dziwnej wysypki i gorączki. Kasia, bo tak miała na imię mama Kacpra, nie chciała wzywać karetki, bo do przychodni mają bardzo blisko, a mieszkają tu, na sąsiedniej ulicy.

Rzeczywiście, po przejechaniu zaledwie paruset metrów, byliśmy przed przychodnią. W poczekalni kłębił się tłum pacjentów, słychać było płacz dzieci, kaszel i wrogie pomruki w kierunku osoby usiłującej dowiedzieć się czegoś bez kolejki w rejestracji.

– Wychodzimy! – zdecydowałem w jednym momencie. – Pojedziemy do mnie, zaraz zadzwonię do mojego osobistego lekarza i przyjedzie w ciągu kwadransa.

Kasia spojrzała na mnie z wdzięcznością i chyba właśnie wtedy zakochałem się w niej bez opamiętania. Jeszcze w samochodzie Kacper zapytał niepewnie, śmiesznie sepleniąc:

– Pse pana, czy pan jest tym krwawym Ryśkiem z telewizji?

– Zgadza się, młody człowieku, to ja we własnej osobie – odpowiedziałem już trochę swobodniej, bo stres powoli mijał.

Jechałem teraz wzorowo i pomimo tego, że jestem w zasadzie ateistą, dziękowałem Bogu za te parę centymetrów, za to, że tak to się skończyło. Tak jak przewidywałem, Kacper miał odrę. Został u mnie z mamą do rana, potem odwiozłem ich do domu, a Kasi zwolnienie do firmy, w której pracowała. Z rozmowy z Kasią wywnioskowałem, że jej mąż i ojciec Kacpra nie mieszka z nimi, ale z inną kobietą.

Kasia zamieszkała ze mną po tygodniu naszej znajomości. Kacper miał na piętrze swój pokój, super komputer z najnowszymi grami typu „bij-zabij", na których przygotowywałem się do ról morderców. A ja miałem prawdziwą rodzinę!

Sielanka trwała blisko rok. Zauważyłem jednak, że ktoś wydzwania do Kasi, że ona też chyłkiem z kimś rozmawia, gdy wychodzę np. z łazienki. Moje pytania zbywała wykrętami. Aż w końcu, krótko przed Świętami Wielkanocnymi powiedziała, że była w kościele. Nie zwróciłem na to uwagi, przecież Kasia może sobie chodzić tam, gdzie chce. Ale po chwili dodała, że była u spowiedzi, że nie mogła dłużej żyć w grzechu ciężkim.

– Wczoraj rozmawiałam długo ze swoim mężem – usłyszałem i zamarłem. – Rozstał się definitywnie z tą kobietą, błagał, żebym znów przyjęła

go do domu i wybaczyła zdradę. Wybaczyliśmy sobie nawzajem i wracam do męża. Nie byłam w domu kilka miesięcy. Darku! Czy Kacperek może dziś jeszcze tu nocować, ja pojadę posprzątać i trochę ogarnąć stare kąty, a jutro po południu przyjadę po niego, dobrze? Bardzo ci dziękuję za wszystko – Kasia cmoknęła mnie w policzek, jak jakiegoś kuzyna i zamknęła za sobą drzwi.

Ja byłem na początku podejrzliwie spokojny. Ale w nocy wstąpił chyba we mnie szatan. Na samą myśl o tym, że ktoś inny będzie teraz z Kasią szczęśliwy, dostawałem szału. O niedoczekanie! Czułem się totalnie zdradzony, też przez Kacpra, który cały wieczór mówił o swoim tacie i cieszył się, że będzie znów z nim.

– Wujku! On jest super! Musi wujek go poznać. Może będziemy we trójkę jeździć na ryby?

Do piątej rano miałem opracowany w detalach cały program na popołudnie. Wykorzystałem przy tym swoje filmowe doświadczenie – oszczędzę tu zbędnych szczegółów. Prokurator napisał, że zamordowałem ze szczególnym okrucieństwem, zupełnie bez litości. Około osiemnastej było już po wszystkim. Wykąpałem się, przebrałem, po czym zadzwoniłem do zakładu pogrzebowego. A już oni powiadomili policję.

I tyle mam do powiedzenia. Nie żałuję tego czynu! Odsiedzę wyrok. Jestem szczęśliwy i spokojny. Ale proszę pamiętać, że jestem aktorem. Czy dobrze gram swoją ostatnią rolę?

2. Wanda:

Na początku oznajmiam, że nie mam wiele do powiedzenia. Tak, przyznając się do winy stwierdzam, że zachowywałam się brutalnie wobec małżeństwa B. i nie tylko. W opiece społecznej pracuję od piętnastu lat. Pieniądze z tego są żadne, ale w mojej rodzinnej miejscowości nie ma wielu etatów do wzięcia. Dlatego biorę też prywatne dyżury, głównie w soboty i niedziele, żeby dorobić. Zaznaczam, że tych podopiecznych traktuję bardzo delikatnie, za takie pieniądze, jakie płacą ich rodziny, byłoby grzechem uderzyć staruszka. A nuż się poskarży córce i wtedy wylatuję na zbity pysk i źródło dodatkowego dochodu wysycha.

Ale wracając do Olgi i Kazimierza, bo w ich domu mnie nakryto i oskarżono, że źle utrzymuję dyscyplinę. A u mnie wszystko musi iść jak w zegarku. Jak śniadanie o ósmej, to o ósmej, a nie kwadrans po, bo Olga nie zdążyła zdjąć sobie papilotów. Trzeba więc jej pokazać, jak to zrobić szybko. A że wyrwało się przy tym trochę włosów, no to świat się przez to nie zawalił.

Kazimierz z kolei bardzo często korzysta z toalety, najczęściej wtedy, gdy już podaję do stołu. No to dostał parę razy lanie po pupie, żeby wcześniej

załatwiał takie sprawy. Do bicia najlepsza jest długa plecionka z żyłki. Zrobiłam ją sobie na wzór tej, którą pamiętam ze swojej podstawówki. Tam pan od chemii używał jej bardzo często. Wystarczyło tylko usiąść czy spojrzeć „nie tak" i razy leciały, gdzie popadnie.

Dziwiłam się, skąd się wzięły siniaki na ciałach Olgi i Kazimierza, bo przecież ja potrafię tak uderzać, żeby nie było nic widać. Poczytałam w Internecie jak to robili hitlerowcy. Ale któregoś dnia, kiedy wykładałam im leki, bo córka zapomniała to zrobić, zorientowałam się, że oboje biorą preparaty na rozrzedzenie krwi, a wtedy byle dotknięcie

może powodować siniaki. Tak więc nie rozumiem, skąd to larum i doniesienie na mnie.

Zdarzało mi się też zastosować „torturę gorącego ziemniaka" znaną z książek. Nienawidzę swojej pracy z tymi staruchami zwłaszcza wtedy, gdy nie chcą jeść. Gdy tylko pokażę im gorącego ziemniaka, od razu nabierają apetytu. A że potem często wymiotują lub mają biegunkę, to przysparza mi dodatkowych zajęć. Trudno – coś za coś, bo córka zawsze sprawdza, czy rodzice zjedli obiad. Nie ukrywam, że i ja korzystałam z przygotowanego dla nich wiktu, chociaż nie mam tego w umowie. Zwłaszcza, gdy było coś szczególnie dobrego. Nie męczę wtedy moich staruchów i sama zjadam. A że są może głodni, no to co?

Gdy chciałam spokojnie obejrzeć coś w telewizji, to sadzałam jednego na sedesie, drugiego na wiaderku i zamykałam ich na godzinę, dwie w toalecie, żeby nie zrobili w gacie. Bo to przebieranie jest okropne. Olga bardzo płakała i waliła w drzwi, żeby ją wypuścić, ale gdybym chociaż raz wykazała litość, to potem nie dałabym rady z nimi. To jest histeryczka! Po południu podobno, jak już wróciła córka, dostała ataku serca i trafiła do szpitala. No co się dziwić, w jej wieku serce ma prawo wysiąść. Ale w tym szpitalu zrobili obdukcję i zaczęła się

prawdziwa afera. I to jest wdzięczność za moją ciężką pracę. Z tego, co mówi adwokat, może to się skończyć na sporej grzywnie, ale i na więzieniu. Okropność!

Jeżeli po latach wrócę do tej pracy, to muszę się lepiej przygotować. Może w więzieniu podpatrzę, jak utrzymać rygor i zapewnić posłuszeństwo!

3. Piotr:

Od kilku lat jestem dyrektorem, wysokim urzędnikiem państwowym, mam pod sobą około dwudziestu podwładnych. A właściwie powinienem powiedzieć: byłem, miałem…

Gdy wybuchła ta afera, to prezydent miasta natychmiast mnie zdymisjonował! I to bez sądu, bez wyroku! Ale i tak jestem teraz na „przymusowym zwolnieniu" i „leczę się" w areszcie. Nigdy bym się tego nie spodziewał! Personel zawsze był mi całkowicie poddany, spełniał wszystkie moje polecenia, nikt nie podskakiwał, nie buntował się, nie przychodził do mnie z pretensjami i żalami. Aż tu nagle dowiaduję się, że do prezydenta wpłynęło pismo podpisane przez moich pracowników, w którym oskarżono mnie o mobbing. Kto je podpisał, tego mi nie powiedziano, a szkoda, bo już bym sobie z tymi osobami porozmawiał!

Prezydent, zwalniając mnie dyscyplinarnie ze skutkiem natychmiastowym, poinformował, że podobne pismo przekaże do prokuratury rejonowej i mogę spodziewać się w związku z tym daleko idących konsekwencji natury prawnej.

Ciekawy jestem, kto był prowodyrem, podbuntował koleżanki i kolegów, żeby zrobić ten parszywy donos. Ja się mogę domyślać, widząc nerwową reakcję prezydenta, że to jego żona zorganizowała całą akcję. Pracuje przecież w moim wydziale. Pewnie poskarżyła się prezydentowi, że zbyt ostentacyjnie przyglądałem się jej piersiom i komentowałem jej figurę, całkiem niezłą. I cóż było w tym złego? Przecież to rzeczywiście super kobitka. Nawet jej nie dotknąłem. Nie to, co zrobiłem z tą nową sekretarką, ale zamilczmy o szczegółach. Ale niestety, te i inne szczegóły ujrzały światło dzienne.

Wczoraj dostarczono mi dokument opracowany na podstawie wspomnianego już donosu. Usunięto wszelkie imiona, nazwiska i inne dane, które umożliwiłyby mi zidentyfikowanie konkretnych osób. Zostawiono same, jak to ujęto, fakty:

- dyrektor wielokrotnie wyzywał mnie od idiotów w obecności petentów;

- ciągle wypominał i wytykał drobne (i dawno popełnione) przeze mnie błędy – robił to na każdym zebraniu pracowników naszego wydziału;
- kierował w moją stronę złośliwości;
- nazywał mnie „pyrdkiem” z powodu niskiego wzrostu;
- nakazywał mi wykonywanie bezsensownych czynności, np. wprowadzanie pewnych danych do komputera, a następnie ich kasowanie;
- musiałem wykonywać jego polecenia spoza zakresu moich obowiązków, np. biegać do kiosku

po papierosy, a gdy kiedyś odmówiłem, groził mi zwolnieniem;

- wciąż mi przypominał, jak mam wykonywać swoją pracę, co w oczach współpracowników stawiało mnie w złym świetle, bo zaniżał moją ocenę przydatności zawodowej;
- groził mi, że nie dostanę premii, bo za wolno się ruszam i za często chodzę do toalety, a ja wtedy byłam w ciąży;
- upokarzał mnie, eliminując z zespołu, który miał wykonać ambitne, skomplikowane zadanie;
- lekceważył mnie, nie akceptował tego, że zapisałam się na studia doktoranckie;
- zszargał moje dobre imię, opowiadając na prawo i lewo nieprawdziwe historie z mojego życia prywatnego;
- nie reagował na moje pytania, ostentacyjnie torpedował moje pomysły dotyczące usprawnienia pracy w urzędzie, pomijał mnie przy podwyżkach, nie przekazywał mi ważnych informacji, które otrzymywali koledzy w pracy, bo „jakimś cudem" z listy mailingowej zniknął mój adres;
- w jego zachowaniu wobec mnie odczuwałam podtekst seksualny – niby przypadkowy dotyk moich intymnych części ciała, niedwuznaczne żarty, aluzje do mojego wyglądu, komentowanie wielkości moich oczu i piersi. Bardzo mnie to krępowało, nieraz zwracałam szefowi uwagę, prosiłam, żeby dał mi spokój, że powiem o tym mężowi, ale on jest całkowicie bezlitosnym, nieprzychylnym nikomu draniem. Nie tylko ja byłam obiektem zainteresowania szefa. Jego sekretarka ze strachu przed zwolnieniem dała się podejść tym zalotom. Samotnie wychowuje syna i z przerażeniem myślała o utracie pracy.

No cóż, oni mają rację, przyznałem w duchu. Czy będę miał odwagę powiedzieć to głośno?

4. Mateusz:

Długo mieszkałem na wsi i pamiętam, jak tam traktowano zwierzęta. Sąsiad katował psa, sołtys trzymał krowy w dziurawej szopie, małe koty zaraz po urodzeniu topiono w wiadrze z wodą, przed ubojem nie stosowano żadnych środków usypiających… Może tak źle trafiłem?

W domu nie mieliśmy zwierząt, bo rodzice byli nauczycielami, nie rolnikami, często wyjeżdżaliśmy na weekendy i na wakacje.

Na zootechnikę trafiłem przypadkiem, bo nigdzie nie było już miejsc, gdy dowiedziałem

się, że nie załapałem się na psychologię. Dyplom obroniłem bardziej dla rodziców niż dla siebie, tylko na państwowy stopień. Parę lat pracowałem w miejskiej rzeźni. I ten czas był koszmarny. Gdy dostałem propozycję szefowania w schronisku, nie namyślałem się ani chwili. Ale cóż, okazało się, że trafiłem z deszczu pod rynnę. Trudno tu o ludzi do tej niewdzięcznej pracy, więc personel to właściwie zbieranina. Ludzie zupełnie bez uczuć, bez litości dla zwierząt. Dopiero jeden z wolontariuszy otworzył mi oczy na zło, które się działo w schronisku. Ale nie zdołałem go opanować, ani mu zapobiec.

Ludzie mieli już swoje nawyki, kryli się nawzajem, wynosili karmę przeznaczoną dla podopiecznych i sprzedawali z zyskiem w budzie na targowisku. Zwierzęta uważali za zło konieczne i traktowali okropnie, jak to się mówi: „jak psa". Lekarz weterynarii wyjechał nagle za granicę, gdy tylko zaczęły się kłopoty. Cała odpowiedzialność spadła na mnie. Ja będę musiał się tłumaczyć przez sądem.

Niestety siedziałem tylko w biurze, w papierach i przy komputerze. Schronisko ma poważne kłopoty finansowe, które odziedziczyłem po swoim poprzedniku. To był mój błąd! I muszę za niego odpokutować.

5. Artur:

Tak! Jestem zbrodniarzem! Jestem gwałcicielem! Sam odpowiem za moje niecne czyny! Miałem przechlapane życie! Miałem, jak każdy, trudne chwile, ale nikt nie okazał mi wtedy miłości ani litości. I pewnie dlatego jestem, kim jestem – bezlitosnym, dzikim, krwawym typem spod ciemnej gwiazdy! Mam na sumieniu kilka brutalnych gwałtów i okaleczeń pięknych dziewczyn.

Moja siostra też była piękną, zgrabną dziewczyną i wykorzystało to pewnej nocy kilku moich kumpli. Najpierw mnie spili, a potem…

To może ja to robiłem właśnie dlatego, żeby…? Sam już nie wiem… Zastanawiam się, jak potoczyłoby się moje życie, gdyby nie ta straszna noc…

Małgosia skończyła tę przerażającą lekturę ze łzami w oczach i podsumowała takim stwierdzeniem:

– Biedni ci ludzie, chyba bardziej oprawcy niż ich ofiary. Czy się poprawią, czy zdołają zadośćuczynić zło, które popełnili? Ciężka droga przed nimi. Są jednak góry, przez które trzeba przejść, inaczej droga się urywa…

P.S. Po paru tygodniach dostałem mail od Marka. W ramach swoich badań miał możliwość rozmowy z Dariuszem Z. Był całkowicie odmieniony! Ze łzami w oczach (nie aktorskimi, naprawdę) pokazał mi kartkę, którą przekazał mu psycholog pracujący z aresztantami. Autorem był mąż Katarzyny P. i ojciec Kacperka.

Pisał, że bardzo cierpi po stracie najbliższych, ale wybacza mu to straszne podwójne morderstwo, bo Jezus też wybaczył swoim oprawcom. I zacytował fragment z Biblii, z Hymnu o miłości świętego Pawła:

– „Miłość nie pamięta złego". Wierzę, że to wybaczenie pomoże mi powstać z dołu rozpaczy, a u ciebie rozpocznie proces uzdrowienia wewnętrznego. Modlę się o to!

Biały proszek, czyli deficyt wdzięczności

Niespłacony dług wdzięczności
porasta warstwą wstydu.

Józef Bułatowicz

Wczoraj rano policja aresztowała Jana K., bez stałego miejsca zamieszkania, podejrzanego o zamordowanie 90-letniej Ludmiły Z. grozi mu za ten czyn – dożywocie.

Ta wiadomość, umieszczona na pierwszej stronie naszej lokalnej gazety „Miejskie Nowiny", od razu rzuciła mi się w oczy. Towarzyszyło jej sporych rozmiarów zdjęcie mężczyzny w średnim wieku, prowadzonego przez policjantów do radiowozu. Przesłonięcie ciemnym prostokątem oczu i części twarzy, miało uniemożliwić identyfikację tego człowieka, ale w pobliskiej aptece ludzie w kolejce bez problemu rozpoznali w nim „bezdomnego Jasia". Kręcił się po osiedlu od jakiegoś

czasu, grzebał w śmietnikach, szukając puszek po piwie i resztek jedzenia. Ktoś powiedział, że widywał go na klatce schodowej, gdzie chronił się w chłodne noce, ktoś kupił mu kiedyś parę bułek i parówki, dał mu dwa czy pięć złotych… Starszy pan kupujący Voltaren–żel przypomniał sobie, że poratował kiedyś Jasia plastrem i wodą utlenioną, bo miał jakieś rany na stopach. Kobieta z synkiem dodała, że przyniosła mu pewnego dnia ciepłą kurtkę, z której mąż już „wyrósł". Podobno nikogo nie zaczepiał, nie był nachalny, nie awanturował się. Znosił swój los z rezygnacją, czasem tylko

siadywał na pobliskiej ławce i patrzył przed siebie bardzo smutnym wzrokiem…

Rozmowa na temat bezdomnego Jasia nabierała tempa, bo po tych „wspominkach" kolejni kolejkowicze zaczynali domyślać się, dlaczego, kiedy i jak zabił panią Ludmiłę. Kobieta z synkiem oświadczyła, że to chyba nie on, że to pomyłka, pan z Voltarenem w dłoni stał już dłuższą chwilę przy drzwiach i wyrażał swoje oburzenie wobec „tego mordercy", obsypując go nieprzychylnymi epitetami. – Pewnie ją udusił lub zrzucił ze schodów – debatował. Aura nienawiści praktycznie dusiła w gardle…

Gdy doszedłem do lady i poprosiłem o Apap, bo kolana ostatnio zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa, kolejka była już wtedy podzielona na dwa „obozy": zwolenników pana z Voltarenem i pani z dzieckiem. Kupiłem jeszcze tabletki do ssania, bo i gardło nadwyrężyłem, poprawiłem szalik i spiesznie wyszedłem z apteki, nie odzywając się ani słowem… Mieszkam na innym osiedlu, bezdomnego Jasia nie znam, ale wiedziałem, że wkrótce go zobaczę.

Szedłem właśnie, tak jak co czwartek, do aresztu śledczego na spotkanie z zatrzymanymi tam osobami, wobec których toczą się śledztwa za różne niecne czyny, o które są oni podejrzani. Wietrzny dzień sprawił, że gruby szalik zakrywał moją koloratkę. Nikt więc nie rozpoznał we mnie księdza. Nie miałem sutanny, bo tym razem wybrałem się do aresztu komunikacją miejską. Mój samochód, będący już w sędziwym wieku, znów wylądował w warsztacie.

I pewnie dobrze się stało, że ominęła mnie w aptece rola sędziego. Nie byłem do niej przygotowany, ale zdałem sobie sprawę z tego, że za parę minut nie uniknę tego „obowiązku". Jako kapelan więzienny miałem prawo do rozmowy z aresztantami, do udzielania im pociechy duchowej, spowiedzi i innych sakramentów, jeżeli o nie poproszą.

W czasie swojej kilkuletniej już posługi duszpasterskiej wśród tych „trudnych parafian" w areszcie śledczym i w pobliskim zakładzie karnym, przeżyłem i radosne chwile. Byłem świadkiem wspaniałych nawróceń, powrotów do Boga i Kościoła, wielu osobom udzieliłem Sakramentu Chrztu Świętego i Sakramentu Namaszczenia Chorych, Pierwszej Komunii Świętej, a nawet pobłogosławiłem trzy pary w Sakramencie Małżeństwa. Tych ślubów i więziennych wesel nie zapomnę chyba nigdy…

Moje wspomnienia przerwał nagle strażnik, witając mnie przy bramie chrześcijańskim pozdrowieniem „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Nie zauważyłem nawet, że stoję już przed tą swoistego rodzaju furtą. Odpowiadając na powitanie, poddałem się procedurze, która umożliwiła mi wejście przez szereg drzwi i krat, aż do sali, gdzie zawsze na czwartek urządzano prowizoryczną kaplicę.

Strażnicy przyprowadzili już kilku „pensjonariuszy", którzy wyrazili pragnienie uczestnictwa we mszy świętej i nie mieli przeszkód prawnych, aby opuścić swoje cele. Dwóch z nich znałem już z poprzednich czwartkowych odwiedzin, spośród sześciu pozostałych szukałem oczyma kogoś podobnego ze zdjęcia w gazecie. Ale żaden z nich nie pasował mi do tego wizerunku. Podpytałem dyskretnie jednego ze strażników o Jasia i dowiedziałem się, że na rozmowę z nim musi wyrazić zgodę szef aresztu i oczywiście sam Jaś.

Po paru dniach otrzymałem wiadomość, że do spotkania może dojść w następny czwartek. Przygotowałem się do tej rozmowy przez modlitwę i zbierając różnorodne informacje o tzw. profilu mordercy – o jego osobowości, motywacjach, psychologicznych uwarunkowaniach, okolicznościach morderstwa. W ubiegłych latach miałem już do czynienia z osobami podejrzanymi o zabójstwo i z takimi, którzy przyznali się do tego czynu, bądź został im on udowodniony, ale intuicyjnie czułem, że każdego takiego człowieka trzeba traktować indywidualnie.

Bezdomny Jaś – jak go nazywali kolejkowicze z apteki, okazał się człowiekiem wyglądającym na sześćdziesiąt lat, chociaż jak widziałem w jego dokumentacji, do której miałem wgląd, ledwie przekroczył czterdziestkę. Moją uwagę przykuły najpierw jego wielkie błękitne oczy, z których bił ogromny smutek i ból.

– Tak, zabiłem ją! – powiedział do mnie, gdy tylko strażnik zamknął za mną drzwi i dyskretnie stanął bokiem do dużego szklanego „okna" w ścianie pokoju rozmów. Wcześniej tłumaczył mi, że ten podgląd to dla mojego bezpieczeństwa, bo z takimi ludźmi, nawet nie uzbrojonymi, to różnie bywa. Rzuci się taki nawet z gołymi łapami na księdza i gotów udusić lub chociaż połamać żebra, prawda? A ja, o dziwo, nie czułem żadnego lęku…

– Tak, zabiłem ją! – powtórzył Jan, jakby nie wierząc, że już to słyszałem.

– Dobrze, że się przyznałeś – odpowiedziałem cicho. – Będziesz mógł liczyć na niższy wymiar kary.

– Proszę księdza – Jan westchnął głęboko – ja żałuję, że nie ma u nas kary śmierci. Dla mnie nie ma już miejsca na tej ziemi, nie ma już życia!

– Nie mów tak! – zawołałem spontanicznie. – Zawsze trzeba mieć nadzieję i w Boże Miłosierdzie, i w ludzi. W tym momencie Jan zerwał się z krzesła i upadł na kolana. Strażnik zza szyby rzucił się do drzwi, wyciągając jednocześnie kajdanki z kieszeni. Jednym uspokajającym gestem zatrzymałem go i spojrzałem w oczy Jana. Powoli wstał, usiadł na krześle i ze ściśniętym gardłem zaczął mówić:

– Dzieciństwo miałem wspaniałe. Rodzice mnie kochali, dziadkowie rozpieszczali. Byłem ministrantem. Co wieczór klękaliśmy do modlitwy dziękując Bogu za wszelkie dobro, którego nam udzielał, za życzliwych ludzi wokół nas… Byłem wzorowym uczniem, co roku dostawałem świadectwo z czerwonym paskiem, a dyplom na prestiżowej uczelni obroniłem z wyróżnieniem. Studiowałem na elitarnym wówczas kierunku „Technologie medialne". Na drugim roku poznałem wspaniałą dziewczynę, która w krótkim czasie została moją żoną. W rok po ślubie urodziły się nam bliźniaki, ale zaraz po tym radosnym wydarzeniu zmarł nagle mój teść. W testamencie zostawił nam rodzinny zakład fotograficzny, w ówczesnym czasie wspaniale prosperujący. Dzieci rosły zdrowo, interes się kręcił, lecz po paru latach zakład zaczął generować tylko koszty. Liczba klientów spadała na łeb, na szyję. Nie pomagały żadne promocje, zachęty marketingowe, poszerzenie oferty o nowe usługi, obsługa fotograficzna wesel i innych uroczystości. Trzeba było zgodzić się z prawami ekonomii – „wygryzł" nas z rynku potężny koncern medialny i nie było na to rady. Próbowaliśmy robić z żoną jakieś biznes-plany nowego interesu, chcieliśmy w miejsce zakładu foto urządzić „coś" dochodowego, ale na planach się skończyło. Żona konsultowała nasze kosztorysy z pewnym, poleconym nam księgowym – i stało się – zakochała się w nim. On był przystojny, mądry, kreatywny, przedsiębiorczy… A ja traciłem w jej oczach każdego dnia. Mieliśmy rozdzielność majątkową, zadbał o to teść, zaraz po naszym ślubie. Zakład należał do żony, podobnie jak i „nasze" dotychczas mieszkanie w domu, nad zakładem. Niemal rok trwały przepychanki w sądzie – najpierw rozwód, potem sprawy fi-

nansowe, bo starałem się nasze wspólne pieniądze, przynajmniej w części odzyskać. Przecież ja też pracowałem na to, żeby coś odłożyć dla nas na „czarną godzinę" przez ładnych parę lat. Ale otrzymałem niewiele… Synowie zostali przy matce – decyzja sądu w tej kwestii zwykle bywa taka. Nie miałem więc już rodziny, domu, zakładu. Na parę miesięcy brat przygarnął mnie do swojego domu, ale nie wiem dlaczego, „życzliwi" sąsiedzi donieśli mu, że w czasie jego nieobecności (pracował na kontrakcie w Niemczech) ja podrywam jego żonę! Ktoś nas widział w ogrodzie jak siedzieliśmy na leżakach i jedliśmy lody, jak niosłem ciężkie torby z zakupami, a bratowa uśmiechała się do mnie, otwierając drzwi, jak poszliśmy razem do teatru, jak używałem jej komputera nie wiadomo do czego… i wyciągnął z tego mylne wnioski. Brat, będąc człowiekiem chorobliwie zazdrosnym uwierzył im, a mnie wyrzucił, tak jak stałem – na bruk. Moje niewielkie zasoby finansowe topniały w zastraszającym tempie. Nie miałem też dostępu do komputera, bo na jego kupno nie mogłem sobie przecież pozwolić. A komputer stał się ostatnim moim narzędziem pracy – projektowałem na zlecenie firm – reklamy multimedialne.

Wynajmowałem mały pokój dopóki miałem na czynsz, ale właściciel nie udostępniał mi komputera. Nie miałem więc nawet możliwości przeglądania ofert pracy. Z komórki musiałem zrezygnować, nie było mnie stać na abonament ani na zakup kart. Czasem ktoś znajomy pozwolił mi dokończyć przyjęte wcześniej firmowe zlecenie, kilka razy wykorzystałem komputer dostępny np. w urzędzie miasta. Ale nowe zlecenia nie wpływały – nie byłem przecież informacyjnie dyspozycyjny.

Podejmowałem się różnych dorywczych prac – kosiłem trawę, zamiatałem chodniki wokół biurowców pewnej korporacji, wyładowywałem skrzynki z warzywami na targowisku…

Ale gdy wymówiono mi umowę o wynajęcie pokoju, bo zalegałem z płatnością, mój wygląd zaczął odstraszać wielu potencjalnych pracodawców. No bo jak może wyglądać człowiek niewyspany, w pomiętej i brudnej odzieży, nieogolony, nieumyty… Z pewnością nie budzi zaufania.

Nocowałem na klatkach schodowych, na dworcu, na ławce w parku, jadłem co znalazłem w kubłach na śmieci. Czasem ktoś podarował mi parę złotych lub coś do jedzenia, czasem nie jadłem nic kilka dni…

Gdy nastały mrozy, policjant na dworcu zachęcał takich jak ja „podróżnych" do przeniesienia się do noclegowni czy schroniska dla bezdomnych. Zimno i głód tak mi już doskwierały, że poszedłem tam któregoś wieczoru. Ogrzałem się, dostałem talerz gorącej zupy, materac, koce. Ale trudno mi było zaakceptować relacje z innymi mieszkańcami. Gdy raz czy drugi zwróciłem uwagę, że regulamin zabrania picia alkoholu, palenia papierosów, zażywania narkotyków – dostałem (dosłownie!) „po uszach" i byłem traktowany jako kapuś, dziwak, a nie swój chłop i kompan do różnych niecnych procederów, na które wyruszali każdego dnia.

Któregoś ranka wyszedłem z noclegowni i snułem się bez celu po pobliskich uliczkach. Męczyły mnie myśli samobójcze, nie widziałem celu takiej marnej egzystencji. Był tęgi mróz, śnieg, który spadł wieczorem, zamienił się w lodową skorupę. Nagle usłyszałem jakieś szuranie, stukanie i towarzyszące im głośne westchnienia: – Boże, nie dam rady, o Boże. Spojrzałem w tym kierunku i zamarłem. Drobna kobiecinka, a właściwie staruszka, usiłowała potężną szuflą odśnieżyć schody do domu.

– Niech pani to zostawi, pomogę! – zawołałem spontanicznie.

– Och, będę panu bardzo wdzięczna, bo nie mam już siły, a jutro rano ma przyjść do mnie pani doktor z przychodni, bo coś cerce mi szwankuje. A tu tak ślisko, jeszcze upadnie i złamie sobie nogi – babcia uśmiechnęła się do mnie promiennie.

– Niech pani wejdzie do domu, zimno tu strasznie. Ja powalczę na tych schodach, a szuflę zostawię tu, przy ścianie domu, i pójdę sobie, dobrze? – zapytałem.

– Ależ gdzie tam – owszem, pójdę do kuchni i przygotuję coś ciepłego. Jak pan skończy, zapraszam serdecznie do środka. – W słowach babci było tyle ciepła i dobroci, że nie odmówiłem, zwłaszcza że do wieczornej zupy w schronisku było jeszcze bardzo daleko…

Herbata i piernik pani Ludmiły były wyśmienite. Siedząc w wygodnym fotelu, nawet nie wiem kiedy oczy mi się zamknęły i „odleciałem". Gdy się ocknąłem, za oknem było już ciemno. Pani Ludmiła wychyliła głowę z kuchni i powiedziała zupełnie zwyczajnie: – Zaraz będzie kolacja. Rozmawialiśmy do późnej nocy.

Pani Ludmiła powtarzała często zdanie: „Nadzieja przychodzi do człowieka wraz z drugim człowiekiem". – Byłam taka samotna i właściwie nadzieję już traciłam, że to się odmieni.

Do schroniska wróciłem w ostatniej chwili przed zamknięciem, z torbą pełną przysmaków. Nie uszło to oczywiście uwadze moich sąsiadów z łóżek obok i po paru minutach nic nie zostało z wiktu od pani Ludmiły.

Sytuacja powtarzała się kilkakrotnie. Odwiedzałem panią Ludmiłę, pomogłem jej raz czy dwa w drobnych pracach – coś tam naprawiłem, pomalowałem, zrobiłem jej większe zakupy, zaprowadziłem psa na szczepienie, bo na dworze wciąż była ślizgawica. A ona rzeczywiście nie miała nikogo bliskiego, zupełnie tak, jak ja. I aż dziw brał, że w wieku dziewięćdziesięciu lat tak dobrze sobie radziła. Zawsze gdy wychodziłem, dostawałem od niej albo coś dobrego, albo ciepłe rękawice czy szalik. Jak łatwo się domyślić, wszystko to od razu zmieniało właściciela, ale dzięki temu „koledzy" nie patrzyli już na mnie wilkiem. A przynajmniej tak sobie myślałem.

Jak się myliłem, okazało się którejś nocy. Obudziłem się nagle, a nade mną stał Rysiek – herszt – jak go inni nazywali, i trzymał nóż przy mojej szyi. Przerażony, nie mogłem nawet krzyczeć, głos uwiązł mi w gardle. – No koleś! – usłyszałem gromki szept. – Ustaliliśmy, że potrzebujemy więcej tych pysznych korniszonów i kompotów,

które „twoja" babcia zaprawiała na zimę. Bardzo nam smakują, he, he, he… Więc musimy odwiedzić babci piwnicę, bo pewnie tam trzyma słoiki, prawda? A może ma w domu jeszcze coś, co się nam przyda? A na wypadek, gdyby babci się to nie spodobało, gdyby miała się zbytnio zdenerwować, lepiej będzie, jeżeli prześpi naszą wizytę. Więc jutro odwiedzisz babcię i przy podwieczorku wsypiesz jej do herbaty ten biały proszek. A gdyby przypadkiem ten proszek wysypałby ci się po drodze, to zrobimy na tobie użytek z tego noża. Nie muszę chyba dokładniej tłumaczyć, że tu nie będzie już dla ciebie miejsca? No chłopaki, szorować się, jutro idziemy w gości!

– Proszę księdza! Wsypałem pani Ludmile ten proszek, ale tylko połowę! Bałem się o swoje życie, a paradoksalnie myślałem przecież o samobójstwie. Kalkulowałem naiwnie, że kilku słoików nie da się przecież porównać z życiem człowieka. A wiedziałem, że „koledzy" bez skrupułów dotrzymają słowa!

Pani Ludmiła zasnęła niemal natychmiast po wypiciu tej herbaty, ale zasnęła na wieki! Jak potem mówił lekarz – jej serce nie wytrzymało takiej dawki narkotyku. Karetka stojąca przed furtką odstraszyła smakoszy korniszonów i widziałem

przez okno jak omijali dom pani Ludmiły szerokim łukiem. Gdy lekarz pogotowia stwierdził zgon pani Ludmiły, zawiadomił policję. Zostałem zatrzymany. I to dlatego dziś rozmawiamy właśnie tu…

Ksiądz pewnie myśli, że moja główna wina to morderstwo, bo przecież zabiłem panią Ludmiłę. I oczywiście serce mi krwawi po tym czynie. Ale równie mocno wstydzę się i boli mnie to, że jestem niewdzięcznikiem! Za tyle dobra ładnie się jej „odwdzięczyłem". Nie stało się tak, jak mówiła, bo z drugim człowiekiem przyszła nie nadzieja, ale śmierć! To najczarniejsza niewdzięczność, prawda?

– Janku, niewdzięczność to rzeczywiście wielkie zło. Spotkałem się w różnych sytuacjach z brakiem wdzięczności. Często nie słyszy się nawet zwykłego „dziękuję", bo wielu ludzi sądzi, że wszystko im się należy. Jest też podobny tekst w Piśmie Świętym – Jezus uzdrowił dziesięciu trędowatych, ale tylko jeden, widząc że ta straszna choroba ustąpiła bez śladu, wrócił, żeby Jezusowi podziękować. Twoja „wdzięczność" obróciła się w tragedię. Nadużyłeś zaufania pani Ludmiły i to też jest twój problem. Nie wiem, jak potoczy się proces, jaki dostaniesz wyrok. Ale mimo wszystko nie załamuj się, bo miłość we wszystkim pokłada nadzieję i wszystko przetrzyma.

– Pani Ludmiłą też mi mówiła te słowa – wykrzyknął Jan. – Może otrzymam łaskę, aby w nie uwierzyć! Uwierzyć, że Ktoś kocha mnie pomimo wszystko i pomoże przetrwać ciężkie chwile!

Tak wczoraj, jak i dziś, czyli zdrajcy w akcji

Przyjaciel może cię zdradzić, wróg nie.

Adam Decowski

Tego ranka, po raz pierwszy tej zimy nie odpalił mi samochód. No tak, akumulator ma już swoje lata, tak jak i moja ukochana skoda. Na szczęście przewidziałem taką sytuację i wyszedłem z domu dużo wcześniej. Spóźnić się na wizytę u specjalisty znaczyłoby czekać na kolejną przez wiele miesięcy.

Poszedłem więc na przystanek. Nie było nawet tłoku. Usiadłem przy oknie, a na siedzeniu obok leżała jakaś gazeta, zapomniana przez porannego pasażera. Automatycznie wziąłem ją do ręki. Na drugiej stronie, moją uwagę przykuł dziwny tytuł, a pod nim zdjęcia dwóch młodych ludzi i dosyć krótki tekst:

BIAŁO-CZERWONA FLAGA
I BIAŁO-CZERWONI MATURZYŚCI
CZYLI ZDRADA

W XXIII Liceum Ogólnokształcącym doszło wczoraj około godziny czternastej do bójki między dwoma uczniami klasy maturalnej – Mateuszem Z. i Krzysztofem G. Obaj z licznymi obrażeniami trafili do szpitala.

Ze wstępnych ustaleń wynika, że młodzi ludzie pobili się, gdyż Mateusz, jak to opowiedzieli jego koledzy, wygłupiał się na przerwie i wywijał flagą narodową z godłem nad głowami chichoczących dziewczyn, po czym wyjął scyzoryk i pociął flagę na kilka kawałków, a następnie powiązał z nich kokardki na włosach koleżanek.

Krzysztof, który wtedy zobaczył, co się święci, krzyknął do Mateusza:

– Jak możesz! Jesteś zdrajcą naszego narodu! Podpadasz pod konkretny paragraf!

Mateusz w odpowiedzi uderzył Krzysztofa pięścią w twarz, potem w dół brzucha i zanim udało się ich rozdzielić, to krew lała się gęsto. Jak przyjechało pogotowie, obaj byli bladzi jak ściana.

Mamy nadzieję, że dyrekcja liceum nie zostawi tak tej sprawy.

Spojrzałem jeszcze raz na zdjęcie, ale nie było na nim widać twarzy chłopaków. Czy to jakaś zbieżność imion, pomyślałem, bo mój wnuk, który chodzi do tego właśnie liceum, ma na imię Krzysztof i nazywa się Gołębiewski. A teraz leży w szpitalu i nikt do mnie nawet nie zadzwonił? Ani córka, ani zięć, ani wnuczka?

Wyciągnąłem prędko komórkę, a tam oczywiście kilka połączeń nieodebranych i kilkanaście smsów od rodziny. Wszystkie o Krzysztofie i o mnie, typu: „Tato, co się dzieje, odezwij się"! Tak, to on. Krzysztof! A ja, stary sklerotyk, znowu zapomniałem odblokować komórkę!

Natychmiast oddzwoniłem do córki, przeprosiłem za milczenie i z ulgą dowiedziałem się, że Krzysztof ma się nieźle i można go po południu odwiedzić.

– Jestem z ciebie dumny, Krzysiu – powiedziałem łamiącym się głosem, stojąc w drzwiach sali szpitalnej.

– Dziadku, to przecież ty namówiłeś mnie przed laty, żebym wstąpił do harcerstwa, a wcześniej prowadziłeś mnie na zbiórki zuchów w zastępie „Wilki", pamiętasz?

Jak miałem nie pamiętać? To były piękne lata! I właśnie harcerstwo wpoiło w Krzysztofa szacunek i cześć do flagi i godła narodowego, uczyło historii i patriotyzmu. Uczyło też odwagi, bo przecież nocne warty na obozie harcerskim usytuowanym w ciemnym lesie, wymagały przezwyciężenia wielu lęków. I teraz to pięknie owocuje! Krzysztof tak wspaniale zareagował na szarganie wartości narodowych.

Powspominaliśmy sobie różne zdarzenia, też te humorystyczne ze zbiórek i obozów. Co prawda Krzysztof nie bardzo mógł się śmiać, bo twarz miał pokiereszowaną i obolałą, ale jego oczy mówiły wszystko. Najgłośniej śmiał się pacjent spod okna, pan w starszym już wieku, ale doskonale „czuł bluesa".

Pan Stefan był działaczem „Solidarności", w stanie wojennym był internowany, w swojej pracowniczej szafce nieraz przechowywał flagi, transparenty, ulotki. Był kilka razy przesłuchiwany w prokuraturze, ale pomimo gróźb lub obietnic wypuszczenia, a w końcu pobicia, nigdy nie zdradził swoich kolegów.

Pan Stefan wspominał, jak jego ojciec walczył w partyzantce w czasie II wojny światowej. Krzysztof poprosił, żeby opowiedział jakieś historie z tego czasu, bo chodzą słuchy, że II wojna będzie na maturze.

Prawdę mówiąc, chciałem już wyjść i wrócić do domu. Dzień pełen wrażeń wyczerpał moje siły do cna i czułem, że serce zaczyna mi walić jak młotem. No tak, dziś rano kardiolog kiwał głową, oglądając moje EKG. Ale to może dlatego, że wszedłem do gabinetu podwójnie zdenerwowany. No bo oczywiście martwiłem się o Krzysztofa, ale czekając w kolejce do kardiologa, nasłuchałem się o różnych chorobskach. A jeszcze jeden z pacjentów opowiadał o pewnym bulwersującym zdarzeniu.

Otóż w ubiegłym roku miał bardzo ciężkie przeżycia osobiste – syn zginął w wypadku samochodowym, żonę dotknęła poważna depresja, a i on musiał po tym wszystkim odwiedzić psychiatrię. Dostał leki i kilkanaście dni zwolnienia. Zaniósł L-4 do kadr, a gdy wrócił do pracy, zauważył, że koledzy jakoś dziwnie na niego patrzą. Gdy wchodził do pokoju, cichły rozmowy. Kiedyś tylko usłyszał fragment zdania: „to ten Janusz dalej będzie majstrem? przecież to wariat".

– Chłopaki, kto wam naopowiadał takich bzdur? Ja nie jestem żadnym wariatem, mam co najwyżej nerwicę, ale już jest właściwie opanowana. A wyście nigdy nie byli nerwowi? – pytał kolegów.

– No tak, ale nie chodzimy z tym do psychiatry. Psychola nam tu nie potrzeba! – zawołał jego bezpośredni zastępca, który widocznie już ostrzył sobie zęby na jego stanowisko.

– A skąd wy wiecie, że leczę się u psychiatry? Zresztą, to przecież jeszcze nie znaczy, że jestem wariatem – już poczuł, jak wszystko w nim wrze.

W tym momencie pacjent aż podskoczył na ławce w poczekalni.

– Okazało się po „osobistym śledztwie", że psychiatra, którego odwiedziłem, jest mężem naszej kadrowej – kontynuował. – Gdy zobaczyła moje zwolnienie, zaczęła go wypytywać, co to za choroba, co będzie ze mną dalej, czy wyzdro-

wieję. Mąż rzucił jej kilka fachowych określeń mojej przypadłości. Złamał więc zasadę tajemnicy lekarskiej, można powiedzieć, że to zdrajca! A kadrowa, sprytna kobitka, poczytała o tych (tj. moich) objawach oraz rokowaniach w Internecie i wyciągnęła prosty wniosek – wariat! Następnego dnia nie omieszkała poinformować o tym swoich koleżanek w biurze, które z kolei rozmawiały o tym „newsie" w stołówce, i tak błyskawicznie rozeszła się ta „wieść gminna" po całym zakładzie. I teraz trafiłem do kardiologa! Muszę stale tłumaczyć, że nie jestem wielbłądem!

– Niech pan już przestanie się denerwować, bo EKG zwariuje na sam pana widok!

A ja, na samo wspomnienie tej historii, poczułem jak świat mi wiruje przed oczyma, tak skoczyło mi ciśnienie. Przysiadłem więc znów na szpitalnym, koszmarnie niewygodnym taborecie przy łóżku Krzysztofa z nadzieją, że wkrótce dojdę do siebie.

Wtedy do pokoju wszedł trzeci pacjent tej sali, z łóżka przy drzwiach, i zapytał, o czym tak zacięcie rozmawiamy.

– O zdrajcach różnego kalibru – odpowiedziałem bez namysłu.

– Fajnie, bo to był swego czasu temat na topie w mojej rodzinie. Ładnych parę lat temu, mój ojciec wygrał dwa miliony w Lotku. Powiedział o tej wygranej tylko mamie i prosił, żeby, póki co, nie rozpowiadała nikomu, że są milionerami. „Będzie bezpieczniej, czasy są ciężkie, nie wiadomo, co komu przyjdzie do głowy. Sami musimy przemyśleć, co zrobić z taką kasą" – tłumaczył. Mama przyrzekła, że nie zdradzi nikomu tego sekretu, ale nie wytrzymała.

Powiedziała tylko Anecie, swojej koleżance z pracy, no, właściwie nie tylko koleżance, ale przyjaciółce, zastrzegając, żeby o tych milionach nikomu nie mówiła. Aneta przysięgała na wszystkie świętości, że nie puści pary z gęby za żądne skarby, że można jej zaufać, że nie jest plotkarą…, ale powiedziała o tym swojemu mężowi, który tym bardziej plotkarzem nie jest. Jest szanowanym doradcą bankowym. Ale któregoś dnia przyszedł po Anetę do biura i ni stąd, ni zowąd zapytał moją mamę, w jakim banku umieścili swoją wygraną.

Potem okazało się, że Aneta zdradziła powierzony jej sekret jeszcze Zośce, Wiktorowi, pani z kiosku, listonoszce i… moi rodzice zauważyli, że ludzie dziwnie im się przyglądają, że ktoś po-

rysował ich starego fiata i napisał na nim: „I tak kupicie teraz Jaguara lub Alfa Romeo".

Ojciec bał się otwierać drzwi, przestał jeździć windą, po zmroku starał się nie wychodzić z domu. Pieniądze oczywiście wpłacili na konto, trzymanie w domu gotówki byłoby szaleństwem.

Ale rodzice byli kiedyś na filmie, którego scenariusz dotyczył właśnie losów pewnej rodziny, po znacznym, nagłym wzbogaceniu się. Dobrze nie pamiętali, skąd ta kasa się wzięła, chyba dostali jakiś niebotyczny spadek, ale wracały teraz do nich sceny szantażu, tortur, jakim byli poddawani

przez przestępców właściciele milionów dolarów, żeby tylko „podzielili się" forsą, niby bezpieczną w banku. Gdy porwano ich wnuczkę i zażądano okupu, przerażeni wypłacili pokaźną sumę i przekazali porywaczom, nie wierząc w skuteczność działań policji.

I właściwie przez zdradę tajemnicy, której dopuścili się bliscy przecież ludzie, można powiedzieć – fałszywi przyjaciele, rodzice żyli w ciągłym strachu, z piętnem skąpców, nowobogackich, a nawet „złodziei" dziesięciu milionów! Minęło sporo czasu zanim mogli spokojnie rozdysponować i wykorzystać swoją fortunę.

Tu włączył się Krzysztof. Mówił z wielkim trudem i bólem, bo złamana szczęka dawała mu się potężnie we znaki.

– Franek, współczuję twoim rodzicom, na szczęście ominęło cię porwanie.

– A teraz ja bym chciał posłuchać pana Stefana.

– Zanim opowiem swoją rodzinną historię – rozpoczął pan Stefan – to przypominam, że w czasie wojny miały miejsce zdrady naszego kraju, fakt, że wówczas okupowanego, poprzez podpisanie tzw. volkslisty. Bez względu na powód takiej decyzji, było to zawsze godne potępienia.

Mój ojciec walczył w partyzantce – rozpoczął od początku ten wątek pan Stefan. Wielokrotnie był w wielkim niebezpieczeństwie, ale Opatrzność Boża nad nim czuwała. Zginęli jego najbliżsi koledzy, a on chodził na kolejne akcje. W czasie jednej z nich, Wacek, najstarszy z oddziału „Buk", został ranny. Koledzy odwieźli go do domu pod lasem, gdzie pod opieką młodego małżeństwa leśników, dochodził do siebie. Gdy czuł się już na tyle dobrze, że mógł chodzić, wyszedł na spacer pod osłoną wieczornych ciemności. Niestety natknął się na przejeżdżający drogą samochód gestapowców i nie miał siły na ucieczkę. Psy wytropiły go błyskawicznie.

Wacek bardzo chciał przeżyć wojnę. Zostawił swoją ukochaną mamę w Radomiu. Wiedziała, że Wacek rwał się do walki z okupantem, więc go nie zatrzymywała, lecz wręcz zachęcała, aby dołączył do oddziału.

Tak więc, gdy gestapowcy zagrozili mu śmiercią, a jednocześnie obiecali wolność, gdy pokaże miejsca kryjówek oddziałów partyzanckich i domy, które udzielały schronienia tym bandytom – zdradził swoich kolegów i opiekunów, zdradził Polskę!

Jak można było przewidzieć, po wykonaniu „zadania", Wacek także zginął od kuli niemieckiej.

Wcześniej jednak udało mu się w areszcie napisać list zawierający opis tych zdarzeń i jego w nich rolę. Były też przeprosiny kolegów, prośby do mamy o modlitwę za jego duszę. List przywiózł do Radomia pewien chłop z pobliskiej wioski, któremu przed śmiercią Wacek zdążył go podać. Niemcy ściągnęli bowiem chłopów do wykopania dużego dołu – grobu dla Polaków.

Na sali szpitalnej zapanowała znamienna cisza… Po chwili przerwało ją pukanie do drzwi, w których po zaproszeniu, pokazał się pan Konrad – wychowawca klasy, do której chodzą Krzysztof i Mateusz.

– Właśnie wracam z chirurgii urazowej od Mateusza – powiedział na powitanie. – Nie mogłem trafić na tę chirurgię szczękową do ciebie, Krzysiu. Może to i dobrze, że leżycie w innych budynkach, bo Mateusz jest nadal w bojowym nastroju – powiedział z troską wychowawca. – Próbowałem mu wytłumaczyć, że postąpił bardzo źle, po pierwsze – znieważając flagę narodową, a po drugie inicjując brutalną bójkę, ale on twierdzi, że to przesada, że on tylko chciał pokazać dziewczynom, że może i robi zawsze to, co chce.

Jakaś iskierka nadziei jednak się pokazała, gdy zapytał, jak ty się czujesz, Krzysztofie, bo on jutro

wychodzi do domu. A pani dyrektor zapowiedziała, że gdy wrócicie już obaj do szkoły, to odbędzie się uroczysty apel i spotkanie uczniów, na którym poruszony będzie temat szacunku do flagi, godła, do osób sprawujących w państwie ważne funkcje, i problemy odstępstw od wyznawanych ideałów i wartości. Już teraz na godzinach wychowawczych trwają dyskusje i polemiki z tym związane.

Po tym wstępie, pan Konrad zwrócił się bezpośrednio do Krzysztofa, pytając, jak się czuje, podarował mu swoją najnowszą publikację, bo jako historyk, pasjonuje się dziejami naszego województwa, po czym serdecznie przywitał się ze mną. Nawet się ucieszyłem, że mogłem go poznać osobiście, bo Krzysztof nieraz o nim opowiadał. Na prośbę Krzysztofa, zrelacjonowałem główne elementy naszej dyskusji o zdradzie. Wysłuchał z wielkim zainteresowaniem, po czym dołożył najnowszego newsa z tego obszaru.

– Mój brat pracuje naukowo w pewnym instytucie medycznym i zajmuje się recepturą nowych leków kardiologicznych – wyjaśnił. Skład i wyniki badań tych specyfików były znane tylko pięciu osobom oprócz brata, który był szefem tego zespołu badawczego. Ktoś z nich zdradził pilnie strzeżoną tajemnicę i sprzedał znanemu

koncernowi farmaceutycznemu. Trwa śledztwo w tej sprawie, a mój brat to wszystko poważnie odchorował! No bo, żeby jeszcze to zrobił jakiś szpieg z obcego wywiadu, ale „swój”?

Wszyscy pokiwaliśmy głowami, bo problem rzeczywiście był „śmierdzący” – wyraźna zdrada dla kasy!

Słuchając pana Konrada, przypomniałem sobie zdarzenie o podobnym motywie. Mój szwagier pracował ostatnio w policji (dawniej – milicji). Otóż rozpracowano swego czasu gang narkotykowy działający na szeroką skalę. Zrobiono plan akcji, zgodnie z którym zatrzymania osób podejrzanych

miały się odbyć w wyznaczonym dniu, wczesnym rankiem, równocześnie w wielu mieszkaniach, żeby zapobiec przekazywaniu sobie informacji typu: „mają nas, kryj się, kto jeszcze może".

Oczywiście termin rozpoczęcia akcji trzymano w ścisłej tajemnicy. Ale zdarzyło się coś nieprzewidzianego. W jednym z mieszkań, do którego wkroczyli z potężnym hałasem antyterroryści, nie zastali podejrzanego. Zdziwiona konkubina oznajmiła, że Waldek wyjechał wczoraj wieczorem, bo dostał cynk od wysokiej klasy urzędnika policji (nota bene krewniaka Waldka) z ostrzeżeniem.

– Nie wiem, dokąd wyjechał, ale zabrał z konta całą kasę, jak mówił „dla wujka", bo za wolność nie ma ceny!

W głowie się nie mieści, że taki człowiek mógł zdradzić plany policji – też dla forsy.

– Jest takie powiedzenie, że jak nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze. A tu słyszę, że rozmawiacie o forsie właśnie – w drzwiach stanął kapelan szpitalny, ksiądz Łukasz, jak zwykle z promiennym uśmiechem. Leżałem parę miesięcy temu w tym szpitalu na kardiologii i pamiętam, że zawsze jego pojawienie się na sali wnosiło radość, pokój i nadzieję.

– Właśnie mówiliśmy o zdradzie, bo Krzysztof, mój wnuk, jest ofiarą obrony wartości narodowych – wyjaśniłem, dodając kilka szczegółów dotyczących tego zdarzenia, a pan Konrad w paru słowach podsumował nasze popołudniowe rozmowy. Ksiądz Łukasz natychmiast się włączył w ten, jak stwierdził, ważny, ale i bolesny temat.

– Zdrada zakradła się też w obszary wyznawanych ideałów i wartości moralnych czy religijnych. Zwłaszcza na zachodzie spotkać się można z tzw. apostazją, czyli oficjalnym wypisaniem się z Kościoła Katolickiego. Osoby, które się decydują na taki desperacji krok, odstępują od wyznawanych

prawd wiary, czyli dopuszczają się zdrady Pana Boga! Zawodzą one zaufanie, jakie Bóg powierzył człowiekowi, dając mu wolną wolę, i nie dotrzymują przyrzeczeń złożonych przy chrzcie świętym. Słusznie więc święty Paweł przewidywał, że pojawią się zdrajcy obok innych ludzi z symptomami zła.

– Bywają też sytuacje, gdy ktoś zaufa drugiemu człowiekowi, a ten go zawodzi, mówiąc mocniej – zdradza, biorąc stronę innej osoby, promując ją, popierając jej poglądy, inicjatywy i kandydaturę na różne stanowiska, co ma miejsce w wielu środowiskach – dodał pan Konrad. Sam bardzo przeżyłem taką sytuację, gdy osoba, którą od wielu lat uważałem za przyjaciela, zdradziła mnie. Nie będę tu przytaczał szczegółów, ale żal pozostał w moim sercu do dziś. Straciłem bowiem coś, co kochałem od lat i czemu służyłem całym sercem.

Panu Konradowi załamał się głos, a my, prawdę mówiąc, nie bardzo wiedzieliśmy, co powiedzieć. Na szczęście do sali wpadła z impetem pielęgniarka z tacą leków w plastikowych pojemniczkach i z termometrami, wołając od progu: – Mierzenie temperatury, bo na horyzoncie jedzie już kolacja! Po czym, spojrzawszy na Krzysztofa, dodała z troską:

– Oj, kawalerze, tak na oko, masz ponad trzydzieści osiem stopni. Kochani goście, co wyście tu wyrabiali, że pacjent jest taki rozpalony?

Poczułem się w obowiązku wyjaśnić, co i jak. Siostra Zosia pokiwała głową ze zrozumieniem, widząc, że termometr Krzysztofa pokazuje, zgodnie z jej prognozą, trzydzieści osiem przecinek siedem stopni.

– Zdrada to faktycznie straszne słowo i straszny czyn! Wiem coś o tym, bo w ubiegłym miesiącu dowiedziałam się, że mój mąż mnie zdradza. Co prawda od dłuższego czasu to podejrzewałam, ale wtedy uzyskałam pewność i to w bardzo brutalny sposób.

Moja sąsiadka, z którą przyjaźniłyśmy się od dawna, przy okazji jakiejś drobnej, właściwie nic nie znaczącej sprzeczki, chyba o skrzynkę na listy, wykrzyczała mi prosto w oczy: „Gdy jesteś na dyżurach w szpitalu, ja zajmuję się Adasiem! I tak, jak on mówi, robię to o wiele lepiej niż ty”!

Zdrada małżeńska to coś strasznego! Moje życie przewróciło się do góry nogami. A ilu jest takich zdrajców płci obojga? Pewnie miliony. Ale to mnie wcale nie pociesza. Czuję się poniżona i wzgardzona do cna. No cóż, życie toczy się dalej, a my na razie, dla dobra dzieci, zachowujemy

pozory kochającej, normalnej rodzinki! Nie wiem, jak długo to wytrzymam!

Wtem rozległ się dzwonek, sygnalizujący, że któryś z pacjentów z sali numer dziesięć wzywa pomocy i siostra Zosia pobiegła w tym kierunku.

My też zaczęliśmy się zbierać, bo pacjenci szykowali się już do kolacji i wieczornej wizyty. W głowie miałem zamęt – tyle zła się działo, tyle się dzieje przez zdrajców… I wtedy ksiądz Łukasz, jakby odgadując mój stan ducha, powiedział dobitnie:

– Miłość nie pamięta złego! To, co cię złego od ludzi spotka, zapisz na piasku, a co dobrego – na granicie. Idźcie z Panem Bogiem!

Byłem już bardzo zmęczony przeżyciami tego wyjątkowego dnia i marzyłem o tym, żeby wyciągnąć się w swoim wygodnym fotelu ze szklanką zielonej herbaty. Ostatecznie, jestem już dziadkiem nastolatka! A na tym szpitalnym taborecie naprawdę nie da się wysiedzieć!

Ale po wyjściu z sali od Krzysztofa, nogi jakby same poniosły mnie do Mateusza. Bez trudu znalazłem oddział chirurgii, a jego samego wskazała mi pani kuchenkowa, zbierająca właśnie talerze po kolacji. Przedstawiłem się jako dziadek Krzysztofa, co Mateusz przyjął dosyć dziwnie, bo z ironicznym uśmiechem i komentarzem: „Przecież z panem nie będę się szarpał. Czy pan przyszedł w sprawie tej nieszczęsnej flagi”?

Niezrażony zachowaniem Mateusza, odpowiedziałem że nie chodzi mi tylko o flagę czy o szczękę Krzysztofa, ale jeszcze o wiele innych rzeczy…

Rozmawialiśmy długo, jak to się mówi „o starych Polakach”, a gdy wychodziłem, Mateusz podał mi rękę i cicho powiedział łamiącym się głosem: „Jak ja bym chciał mieć takiego dziadka”!

Niegodziwi dobroczyńcy, czyli perfidne oszustwa

Fałszem sobie źli pomagają,
gdy się na prawdzie nie mogą wesprzeć.

Ryszard Klimczak

Agencja „Pomoc za grosik" okazała się wielkim oszustwem żerującym na ludzkiej biedzie. Właściciel i zarazem prezes agencji oraz kilku jego pracowników zostali zatrzymani do dyspozycji prokuratury.

Do redakcji już od dłuższego czasu wpływały listy od Czytelników, którzy zostali oszukani przez pracowników tej agencji. Lektura skarg daje podstawę do stwierdzenia, że byli to ludzie niegodziwi, podli, fałszywi, nieetyczni, obłudni, wstrętni, nieprzyzwoici, po prostu ohydni szubrawcy...

Brakuje już słów! A tytułowy „grosik" był tylko przynętą, takim „wpisowym", bo koszty „pomocy" okazywały się w ostatecznym rozrachunku niemałe.

W kolejnych numerach naszego czasopisma będziemy – za zgodą Autorów – udostępniać Czytelnikom te historie – ku przestrodze!

◆ O agencji „Pomoc za grosik" przeczytałam w naszej osiedlowej gazetce. Pilnie potrzebowałam pieniędzy na operację mojej sześcioletniej córeczki. Rok temu Amelka zaczęła skarżyć się, że nie widzi dobrze, nie odróżnia kolorów, które przecież znała, bo od dawna lubiła malować. Ale i ja zauważyłam, że jej rysunki są wyraźnie gorsze, barwy źle dobrane, kontury postrzępione... Często bolały ją oczy, a nawet cała głowa. Była niecierpliwa, popłakiwała, że dzieciaki w przedszkolu wyśmiewają jej prace, a przecież dotychczas wygrywała wszelkie konkursy plastyczne.

Pierwszej wizyty z Amelką u okulisty nie zapomnę chyba do końca życia! Po zbadaniu jej na różnych komputerowych aparatach, lekarz poprosił, aby został z nim tylko ojciec dziecka. Mąż popatrzył na mnie z przerażeniem, ale i ja byłam porządnie wystraszona. Amelka jakby czując powagę sytuacji, zaczęła rozpaczliwie płakać.

Mąż wyszedł z gabinetu po paru minutach rozmowy, załamany. Powtarzał tylko, że Amelka całkowicie straci wzrok, jeżeli w ciągu paru miesięcy

nie podda się skomplikowanej operacji, którą mógłby przeprowadzić znany profesor w Stanach, za niebagatelną sumę… Jej wysokość powalała z nóg! Nigdy nie zdobędziemy tych pieniędzy. Przecież nawet gdybyśmy wszystko sprzedali, to i tak starczyłoby najwyżej na bilety lotnicze.

Znajomi, rodzina, robili, co mogli, mąż znalazł dodatkową pracę, ale ja musiałam się zwolnić, bo Amelka wymagała już ciągłej opieki. A czas płynął nieubłaganie… I wtedy przeczytałam w Internecie o agencji „Pomoc za grosik". Szeroka oferta pomocy, zatroskany, miły głos w telefonie, ciepłe przyjęcie w siedzibie agencji, sympatyczny pan, który wysłuchał nas i zaproponował wizytę u doświadczonego okulisty w sąsiednim mieście.

– Najpierw umówię was na wizytę u doktora Z. Po co od razu jechać za ocean – radził miły pan. Wpłaćcie ten nasz „wpisowy" grosik, możliwie przez Internet, macie chyba konto internetowe. Najlepiej zaraz, z komórki, to od razu dam wam kontakt.

Gdy mąż robił przelew, pan Jakub zadzwonił gdzieś i po chwili rozpromieniony oświadczył, że doktor Z. przyjmie nas już jutro. Ktoś tam przełożył wizytę i zwolniło się miejsce.

– Wizyta będzie płatna – uprzedził – ale to przecież i tak niewielki procent kosztów podróży i leczenia w Stanach, prawda?

Z nadzieją obudzoną na nowo, pojechaliśmy do gabinetu doktora Z., który po bardzo krótkim badaniu Amelki, niestety potwierdził poprzednią diagnozę i za piętnastominutową wizytę zainkasował… dwa tysiące.

Z mieszanymi uczuciami wróciliśmy do agencji, której szef wyraźnie zmartwiony, pocieszył nas, że w takiej sytuacji może nam zaproponować bardzo korzystną pożyczkę na leczenie córki.

– Zaraz przygotuję dokumenty, a pani Ola poda wam kawę i ciasto dla Amelki. Ile wam brakuje? A jaki mąż ma pesel? Poproszę dowód osobisty – zawołał z drugiego pokoju i po chwili podsunął mężowi jedną kartkę papieru do podpisu.

Gdy wychodziliśmy z agencji, pani Ola dała nam w teczce dokumenty dotyczące pożyczki i zapewniła, że wkrótce ta brakująca suma wpłynie na nasze konto. Musimy tylko od razu przelać na konto agencji pięćset złotych na koszty manipulacyjne w banku.

Gdy po upływie tygodnia pieniędzy nie było na koncie, mąż wielokrotnie dzwonił do agencji, ale nikt nie odbierał telefonu, lub też numer podany do kontaktu na umowie, był stale zajęty.

Przysiadłam przy stole, czekając na połączenie z agencją i machinalnie wzięłam do ręki umowę. Z przerażeniem zauważyłam, że wpisana na pierwszej stronie kwota pożyczki była znacznie większa niż ta, o którą prosiliśmy, a dokładniej – była wyższa o… jedno znaczące zero! A procent zwrotu pożyczki był horrendalnie wysoki!

Następnego dnia przyszło pismo z jakiegoś nieznanego nam banku z informacją, że pożyczka została przelana na nasze konto w wysokości – od której włos jeżył się na głowie. Cóż z tego, jeżeli pożyczki nie było nadal. Nie wpłynęła też w terminie pensja męża i dar pieniężny mojej mamy dla Amelki. Konto najwyraźniej „przeciekało"!

Można powiedzieć, że to nasza wina… Bo umowy trzeba czytać dokładnie, a doktora Z. też trzeba było sprawdzić… Tak daliśmy się podejść! A ludzie z agencji wykorzystali w perfidny sposób naszą rozpacz, nasze zmartwienie i zagubienie. Sprytne podsunięcie umowy o pożyczkę i podpis na ostatniej stronie spowodowało, że niestety nie zainteresowaliśmy się szczegółami umowy. Zapłaciliśmy haracz za wizytę u specjalisty oraz za podpis „w ciemno". A policyjni specjaliści i informatycy do dzisiaj się głowią, jak to się dzieje, że pieniądze z konta męża (bo to on robił przelew jednego grosza) trafiły bez jego zgody na konta oszustów!

Ale na szczęście znaleźli się dobrzy ludzie, którzy wspaniałomyślnie wpłacali pieniądze na konto naszej parafii (które udostępnił ksiądz proboszcz), z dopiskiem: dla Amelki. Odbył się też festyn z loterią fantową, z której dochód pokaźnie zwiększył nasze fundusze. Mamy nadzieję, że już w przyszłym kwartale pojedziemy z Amelką za ocean po upragnione zdrowie.

Bóg zapłać wszystkim ofiarodawcom. A oszustów polecamy Bożemu Miłosierdziu!

◆ Parę miesięcy temu zgłosiłam się do agencji „Pomoc za grosik", bo mój syn ma spore problemy z nauką angielskiego. Chodzi obecnie do piątej klasy, ale nie uczył się języka wcześniej, tak jak większość dzieci, które już w przedszkolu przyswoiły sobie jego podstawy. Płacze, że nie rozumie, co pani mówi, nie może wykonywać jej poleceń, we wtorki przed lekcją angielskiego boli go brzuch, dostaje gorączki, nie chce tego dnia wcale iść do szkoły.

Rozmawiałam z nauczycielką, która tłumaczyła mi, że dla Wiktora nie może obniżać poziomu, bo pozostali uczniowie będą wtedy się nudzić i rozrabiać. Poradziła mi, abym załatwiła synowi prywatne korepetycje, żeby dalej mógł dać sobie radę i dogonił klasę.

Widząc, jak Wiktor się męczy, szukałam w Internecie jakiejś taniej oferty, ale niestety honoraria lektorów (nawet studentów filologii angielskiej) nie były na moją kieszeń. Jestem wdową, wychowuję samotnie Wiktora i trzyletnią Ewunię, pracuję tylko dorywczo, więc… Więc, gdy zobaczyłam propozycję agencji „Pomoc za grosik", natychmiast się skontaktowałam ze wskazaną na stronie osobą. Miła pani zapewniła mnie, że profesjonalny lektor może do nas przyjść już następnego dnia. Powinnam tylko wpłacić na konto agencji jeden grosz wpisowego, co oczywiście niezwłocznie uczyniłam. Na moje pytanie o cenę godzinnej lekcji, pani odpowiedziała, że sześć pierwszych lekcji będzie gratis, a jeżeli nauczyciel i uczeń „złapią nić porozumienia", to potem porozmawiamy o finansach. Na moje wątpliwości, czy będzie mnie stać na dalszy cykl korepetycji, pani Ola pocieszyła mnie, że jako samotna matka otrzymam osiemdziesiąt procent rabatu.

Punktualnie o siedemnastej do naszych drzwi zadzwonił przystojny młody człowiek. Przedstawił się na progu, ale zapamiętałam tylko jego imię – Szymon. Powiedział, że korepetycji udziela od dwóch lat i uważa, że najlepszą metodą nauki języka obcego dla chłopców w wieku Wiktora jest „zabawa w naukę". Przyniósł ze sobą jakieś klocki i laptopa. Wiktor początkowo był stremowany i nieufny, ale gdy Szymon poczęstował go „na dobry początek" batonikiem Snickers, chętnie usiadł na dywanie i zaczął układać klocki według wzorów angielskich słów na pudełku.

Ponieważ Ewunia zaczęła marudzić i popłakiwać, a nasz Bobik zaciekle szczekał na Szymona, wyszłam z nimi na spacer do pobliskiego parku.

Gdy wróciłam po godzinie, Szymon już się zbierał, bo – jak mówił – kolejny uczeń czeka. Wiktor, cały rozpalony siedział przed komputerem i rozwiązywał zadane ćwiczenia. Na moje pytanie: – Jak było? odpowiedział zdawkowo: – Ok! I dalej wpatrywał się w monitor.

Na następne lekcje Szymon przyniósł spore głośniki, podłączył do komputera i puszczał głośno przez dłuższy czas jakieś angielskie teksty i piosenki. Siedziałam wtedy w kuchni, bo pogoda nie była zbyt spacerowa i nawet dziwiłam się, co z tego usłyszy Wiktor, bo nawet ja, która trochę liznęłam angielskiego, nic nie mogłam zrozumieć. Ale Szymon, wychodząc, wyjaśnił, że syn musi osłuchać się z angielskim akcentem.

W kolejny czwartek, gdy lekcja się skończyła, chciałam zabrać Wiktora na zakupy. Zbliżała się wiosna, trzeba było kupić mu lżejszą bluzę, jakieś koszulki, spodnie, bo przez zimę wyrósł z poprzednich ciuchów. Moja kuzynka przyszła, żeby posiedzieć z Ewunią, a ja wystawiłam samochód z garażu i czekałam na Wiktora. Gdy długo nie schodził z góry, gdzie miał swój pokój, zdenerwowana wpadłam do niego, wołając: – No chodź już, bo sklepy nam zamkną! Ale Wiktor nie ruszał się z tapczanu, na którym leżał, przykryty po same uszy.

– Co się dzieje? Jesteś chory? Czy jak zwykle nie chce ci się chodzić po sklepach i mam ci sama kupić, co trzeba „na oko”? Jesteś już przecież dużym chłopcem, sam mógłbyś sobie wybrać bluzę i dżinsy – zachęcałam, ale odzewu nie było.

Teraz już porządnie zaniepokojona, przysiadłam na łóżku i chciałam sprawdzić, czy syn nie ma gorączki. Był rozpalony, ale nie to mnie

przestraszyło. Odchyliłam koc. Wiktor nie miał na sobie żadnego ubrania!

Oblana zimnym potem, starałam się w miarę spokojnie dowiedzieć, co się stało. Moje intuicyjne przypuszczenie potwierdziło się po dobrej chwili! Szymon to pedofil, który skrzywdził moje dziecko!

Wiktor rozpaczliwie płakał, a przez łzy mówił tylko jedno: – Nie mów nikomu! Nie mów nikomu! Uspokajałam go, jak mogłam, pytałam, dlaczego mi wcześniej nie powiedział o zachowaniu Szymona, dlaczego nie wołał o pomoc, nie uciekał z pokoju, ale wtedy zaczął płakać jeszcze mocniej i wydusił z siebie:

– Szymon mówił, że zna moją panią od angielskiego i jeżeli ja coś powiem mamie, to zawsze już będę miał jedynkę na semestr!

Oczywiście to okazało się nieprawdą. Pani Zoja nie słyszała o żadnym Szymonie, a na pewno nie postawiłaby jedynki na czyjeś żądanie! Co więcej, gdy zadzwoniłam do agencji, miła poprzednio pani Ola, teraz opryskliwie stwierdziła, że też nie zna żadnego Szymona, taki ktoś u nich nie pracuje, i że nie mam żadnych podstaw, żeby donosić na agencję!

Rzeczywiście nie miałam żadnej pisemnej umowy, wszystko załatwiałam „na gębę" i to

był mój błąd. Ale przecież pani Ola była taka miła w rozmowie ze mną, tak potrafiła wczuć się w moją trudną sytuację…

Sprawę zgłosiłam na policję. Mam nadzieję, że Szymon (czy tak rzeczywiście ma na imię?) szybko trafi za kratki i nie skrzywdzi już innych dzieci.

◆ Mieszkam z mężem w niewielkim domku pod miastem. Ja mam osiemdziesiąt dwa lata, a mąż osiemdziesiąt pięć. Wiek robi swoje, siły już nie te. Córka z zięciem i wnukami wyprowadziła się do miasta i przyjeżdża co dwa, trzy miesiące na parę dni. Większe zakupy robi nam czasem sąsiadka. Na co dzień więc jesteśmy zdani na siebie.

Zrobię raz na dwa, trzy dni jakąś zupę czy makaron z warzywami, czasem kotlety mielone, wstawię pranie, z grubsza zamiotę i tyle. Ale na generalne sprzątanie nie mam siły. Kiedyś zamówiłam sprzątaczkę z pewnej firmy porządkowej, ale nie byłam zadowolona z jej usług, a wynagrodzenie było niewspółmiernie wysokie.

Gdy zobaczyłam w naszej lokalnej telewizji reklamę agencji „Pomoc za grosik", od razu pomyślałam, że to dla nas wspaniała okazja. Pani przyjmująca zgłoszenie bardzo fachowo i uprzejmie odpowiedziała na moje szczegółowe pytania

dotyczące zakresu prac i używanych preparatów chemicznych. Mój mąż jest alergikiem, więc pani obiecała, że pracownica przywiezie tylko naturalne środki czystości. Wpisowy grosik, zgodnie z deklaracją pani Oli, wystarczyć miał na pierwszą wizytę. Za kolejne miałabym zapłacić stosunkowo niewiele, tyle, żeby pokryć koszty preparatów czyszczących. Po tych ustaleniach z niecierpliwością oczekiwałam na zrealizowanie zamówienia.

Już po dwóch dniach do furtki zadzwoniła energiczna pani Frania. Mąż, widząc co się święci, uciekł poczytać gazety do altanki w ogrodzie. Ja też, nie chcąc przeszkadzać pani Frani, poszłam pozrywać trochę porzeczek na kompot.

Następnym razem było podobnie. Pani Frania wzięła w swoje ręce największy pokój i naszą sypialnię. Siedzieliśmy więc w kuchni i nie mogliśmy się ruszyć, tylko co chwilę sprawdzać, czy woda nadal płynie z kranów normalnie, bo pani Frania przeczytała rano w Internecie informację, że będzie w naszym rejonie wyłączona. A wtedy może ulec uszkodzeniu jej wodny odkurzacz. Jeżeli się popsuje, to koszt naprawy spadnie na nas. Mówiła to tak przekonująco, że wtedy to tłumaczenie wydało się nam prawdziwe, a przecież odkurzacz nie był podłączony do kranu z wodą, ale miał pojemnik, który w miarę potrzeby można było uzupełnić wodą.

Na trzeci raz została do sprzątnięcia kuchnia i łazienka. Ale pani Frania nie przyszła więcej do nas, pomimo tego, że wychodząc powiedziała: „do widzenia" i obiecała, że przyniesie przepis na wspaniały sernik z czekoladową polewą. Dlaczego nie przyszła? Pewnie ze wstydu i ze strachu, że doniesiemy na nią na policję. Bo nas najzwyczajniej w świecie okradła.

Pierwsza zginęła duża tabliczka czekolady. Taka XXXL, z bakaliami i orzechami. Zrobiłam o nią awanturę mężowi, który jest cukrzykiem i taka uczta mogła się źle skończyć. Ale on zarzekał się na wszystkie świętości, że jej nie zjadł. Ja też jej nie zjadłam, a nikogo obcego w domu nie było.

Potem mąż szukał pół dnia złotych spinek do eleganckiej koszuli, ale nie znalazł. Ja nie doszukałam się dwóch pierścionków i kilku kuchennych, nowych drobiazgów: kompletu srebrnych sztućców, poręcznego blendera, kilku opakowań kawy i herbaty o różnych smakach i zestawu patelni, ostatniego prezentu od córki. Pani Frania „pożyczyła" też sobie komplet mojej złotej i srebrnej biżuterii, razem z cenną szkatułką.

Pieniędzy na szczęście nie przechowujemy w bieliźniarce, ale nasze ostatnie emerytury zniknęły, pewnie bezpowrotnie. Pani Frania wykazała się tu niesamowitym sprytem. Przyszłą sprzątać akurat tego dnia, gdy przychodzi listonosz. Myła okna w naszym saloniku, przy szeroko otwartych drzwiach na werandę, korytarz i do sypialni. Jak zwykle, listonosz przyszedł około południa, wypił szklankę kompotu, bo upał był nie do wytrzymania, po czym odliczył pieniądze moje i męża. Schowałam je jednym ruchem do szuflady na werandzie. Jak się później okazało, ten ruch nie uszedł uwadze pani Frani. Gdy okna były już umyte, krzyknęła nagle, że po ogrodzie chodzi jakieś dziwne zwierzę – pies czy lis? Odruchowo wyszliśmy na taras i chyba wtedy pani Frania przejęła zawartość szuflady. „Zwierzę" oczywiście zniknęło, pani Frania również.

Teraz to wszystko zaczęło się nam układać w jedną całość. Można powiedzieć – mądry Polak po szkodzie, ale… Pani Frania była przecież taka sympatyczna, a okazała się oszustką.

Na mój list, opisujący „pracę" pani Frani, adresat, czyli prezes agencji „Pomoc za grosik", do dzisiaj nie raczył odpowiedzieć. Córka zgłosiła sprawę na policję.

◆ Od dłuższego czasu poszukiwałem nowej, ciekawej pracy, bo nie czułem się dobrze, siedząc kilkanaście godzin przed komputerem w szklanym boksie. Przeglądałem głównie oferty zamieszczane sukcesywnie w Internecie, w lokalnej prasie, czy też przedstawianych przez Urząd Pracy.

Wbrew pozorom, ofert było sporo, trochę faktycznie wybrzydzałem, ale gdy zobaczyłem w ogłoszeniu agencji „Pomoc za grosik" – pośrednictwo w poszukiwaniu pracy, zadzwoniłem, żeby dowiedzieć się szczegółów. Miła pani, która odebrała telefon, od razu stała się mniej miła, gdy okazało się, że to ja (czyli mężczyzna) szukam

pracy. Coś tam marudziła, że mają właściwie tylko oferty dla pań i to w określonym przedziale wiekowym, ale w końcu przyjęła moje zgłoszenie.

Ja szukałem dobrego miejsca pracy jako grafik komputerowy. Pani Ola obiecała, że rozejrzy się i da mi znać, ale nie mam za bardzo liczyć, że znajdzie dla mnie coś odpowiedniego. Na moje pytanie, czy gdybym był dziewczyną, to miałbym na pracę większe szanse, pani Ola wyraźnie się zdenerwowała i powiedziała, że ma właśnie drugi telefon i musi zakończyć naszą rozmowę.

Jednak wbrew negatywnym prognozom, telefon z agencji odezwał się już następnego dnia. Pani Ola, cała w skowronkach oznajmiła, że ma dla mnie pracę, na razie na zlecenie, ale w perspektywie na cały etat w… agencji „Pomoc za grosik". Pan prezes już dawno planował rozszerzenie zespołu pracowników, właśnie między innymi o renomowanych informatyków, bo trzeba przecież nadążać za nowymi technologiami.

– A co miałbym projektować? – zapytałem na wszelki wypadek, chociaż wolałbym od razu pracę na etacie.

– To już prezes panu wyjaśni. Proszę przyjechać we wtorek o czternastej, dobrze?

– No, ale… – zacząłem z powątpiewaniem, ale pani Ola na zachętę podała mi taką sumę wynagrodzenia, że już nie protestowałem.

Prezes przywitał się ze mną bardzo serdecznie i od razu przystąpił do sprawy. Moje zadanie miało polegać na zaprojektowaniu drukowanego folderu i strony w Internecie. Dane o osobach, które miałem tam umieścić, otrzymam po podpisaniu umowy, bo są to dane objęte szczególną ochroną. Prezes, kiedy to mówił, zaśmiał się nie wiadomo dlaczego, bo przecież teraz obowiązuje tzw. RODO „pilnujące" danych osobowych. Poza tym miałbym przygotować różne wersje bardzo modnej ostatnio tzw. scenografii multimedialnej, do „rzucenia" na białą ścianę w pomieszczeniu, gdzie miał się odbyć pewien casting. Było to trochę enigmatyczne, ale…

Przyznaję, że tylko ze względów finansowych jeszcze tego samego dnia podpisałem umowę zlecenie z agencją. Plik z danymi odebrałem w mailu późnym wieczorem. Były to zdjęcia kilkunastu młodych dziewczyn, w większości toples, w wyzywających pozach.

Przeglądając zdjęcia zrozumiałem to dziwne zachowanie pani Oli. Praca rzeczywiście była tylko dla pań w odpowiednim wieku i o odpo-

wiednich predyspozycjach! A jaka konkretnie to praca miałaby być, gdzie i co powiedziano tym kandydatkom? Przecież to już na odległość pachnie kryminałem, zwłaszcza, że niektóre z nich wyglądają dosyć młodzieżowo i pewnie nie mają skończonych osiemnastu lat. A ta scenografia multimedialna miałaby z pewnością służyć jako tło do „wybiegu" tych panienek, których „wartość" oceniałoby męskie jury. A potem – do samochodów i jazda do tzw. agencji towarzyskich za zachodnią granicę.

W ładny interes się władowałem! Co mam zrobić? Udawać, że nie wiem, o co chodzi. Zrobić swoje, zainkasować okrągłą sumkę i czekać na kolejne zlecenia? Czy wyciągnąć sprawę na światło dzienne? Nie wiem, co obiecywano tym dziewczynom, czy są świadome niebezpieczeństwa, czy też może myślą, że to upragnione wysokopłatne stanowisko, to kelnerka lub opiekunka staruszków?

Rano zadzwoniłem do prezesa i powiedziałem, że większość zdjęć, które mam opracować jest złej jakości, więc efekt mojej pracy będzie mizerny i z pewnością go nie zadowoli. Byłoby lepiej, gdybym sam zrobił zdjęcia swoim sprzętem i potem je odpowiednio obrobił, żeby nie straciły właściwych barw i czytelności.

– Czy w związku z tym, mógłbym skontaktować się z tymi paniami i umówić na sesję zdjęciową, najlepiej na tle multimedialnym, które i tak mam przygotować? – zapytałem profesjonalnym tonem.

Prezes był wyraźnie niezadowolony, ale w końcu, po konsultacji z kimś przez komórkę, powiedział, że będę miał taką możliwość, bo szczęśliwym zbiegiem okoliczności, te panie mieszkają teraz w pewnym pensjonacie za miastem i tam czekają na wyniki „komisji rekrutacyjnej". Ale muszę to załatwić w jedno popołudnie, bo on ma w związku z tymi paniami pewne terminowe zobowiązania. Gdy poprosiłem o adres pensjonatu, prezes oznajmił, że jego kierowca mnie tam zawiezie i po pracy odwiezie do miasta.

Limuzyna prezesa była imponująca, miała nawet zasunięte mini żaluzje przeciwsłoneczne na bocznych oknach, chociaż dzień był pochmurny. Domyśliłem się, że prezes chce utrzymać w tajemnicy cel mojej podróży. Potwierdziło to moje najczarniejsze przypuszczenia, że chodzi tu o nielegalny handel ludźmi.

Dziewczyny były przygotowane do ponownych zdjęć, z makijażem i włosami zrobionymi „na bóstwo". Ubrane (a raczej – rozebrane), czekały

w sali kominkowej pensjonatu. W ich oczach czaił się lęk, wstyd i beznadzieja, bo szanse ucieczki wydawały się znikome. Ja też nie miałem wielkiego pola manewru, bo kierowca i ochroniarz nie odstępowali mnie na krok.

Zacząłem więc markować przygotowania do zdjęć, radząc przy tym dziewczynom, żeby założyły coś na siebie, szal, koronkę, czy bluzkę. Patrzyły na mnie z nadzieją. Szczęście nam sprzyjało. Do ochroniarza ktoś zadzwonił na komórkę. Okazało się, że jego kuzynka mieszka w pobliżu i zaprasza go na własnoręcznie zrobione placki ziemniaczane. Zapytał więc, ile czasu potrzebuję, żeby wszystko załatwić, bo on wyskoczyłby chętnie z kierowcą na parę minut. Powiedziałem, że spokojnie mogą jechać, bo ja tu popracuję jeszcze ze trzy godziny. A gdyby prezes pytał, nie wydam ich eskapady.

Jak tylko zamknęły się za nimi drzwi, powiedziałem dziewczynom, żeby ubrały się normalnie, że nie będzie żadnych zdjęć, a ja pomogę im stąd uciec, bo czeka je katorga w domach publicznych, prawdopodobnie w Niemczech i Holandii. A stamtąd uciec będzie o wiele trudniej.

Ochroniarz widocznie uważał mnie już za swego, kupionego za stosowne honorarium, bo nawet nie zabrał mi komórki. Jedna z dziewczyn, chyba Ukrainka, wiedziała, na jakiej ulicy znajduje się ten pensjonat. Udało jej się w czasie podróży na chwilę zdjąć niepostrzeżenie nałożoną jej brutalnie opaskę na oczy.

Zamówiłem więc sześć taksówek pod pensjonat „Rozstaje". Dziewczyny pochodziły z Warszawy i z okolic, ale te miejscowe przyjęły pod swój dach koleżanki z prowincji i tak chciały przeczekać – jak mówiły – zamieszanie.

Właściciel pensjonatu wiedział, co się tu dzieje. W zamian za milczenie, już wcześniej dostał od agencji porządną łapówkę. Ale widząc radość

uwolnionych dziewczyn, nie miał widocznie sumienia zawiadomić prezesa.

Zapisałem sobie numery telefonów kilku dziewczyn i umówiliśmy się, że napiszę zawiadomienie do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa, a one go podpiszą. Prezes i pani Ola z pewnością nie unikną kary!

◆ Cztery miesiące temu zaginął nasz osiemnastoletni syn, Kamil. Nieraz czytałem o takich tragediach, ale nie przypuszczałem, że i nas to spotka. We czwartek wieczorem poszedł jak co tydzień do Piotra, kolegi mieszkającego dwie przecznice dalej, na partię ping-ponga. Ale tam nie dotarł. Nie odbierał komórki, więc Piotr zadzwonił do nas na numer stacjonarny, ale nie wiedzieliśmy, co się stało. Do domu nie wrócił na noc, nie odezwał się, nie zadzwonił. Minęło parę dni w strasznym napięciu, oczekiwaniu na jakiekolwiek wieści z policji. Ale telefon milczał jak zaklęty. Zrozpaczeni, snuliśmy różne domysły, ale one w żaden sposób nie pasowały nam do zachowania Kamila. Jeżeli żyje, to przecież wie, że się strasznie martwimy i nie wolno mu milczeć.

Tydzień po zniknięciu Kamila, zadzwonił znajomy żony z poprzedniej pracy i podał nam kontakt do agencji „Pomoc za grosik". Słyszał, że zajmują się również takimi sprawami, że detektyw, którego wynajmują, znalazł już niejednego uciekiniera.

Pełny nadziei zadzwoniłem pod podany numer. Kobieta, która miała dyżur przy telefonie, przyjęła zlecenie, poprosiła o wpisowy grosik i umówiła nas z detektywem na wieczorną późną godzinę.

Pan Karol przyjechał do naszego domu, obejrzał kilka zdjęć Kamila, pomachał nad nimi miedzianym wahadełkiem, zapalił kadzidełko i wąchając dziwny zapach, jaki emitowało, oznajmił, że już wie, gdzie szukać Kamila i za dwa, trzy dni opowie nam o efektach poszukiwań. Po czym zażyczył sobie zwrot kosztów dojazdu (taksówką) i horrendalną sumę za dniówkę poszukiwań. Na nasze nieśmiałe stwierdzenie, że miała to być pomoc za przysłowiowy grosik, zdenerwował się, wykrzyczał, że grosz to jest suma za kontakt z nim! A jeżeli chcemy zrezygnować z jego usług, to będzie nas to kosztowało kolejne tysiące, bo przyjmując to zlecenie, zrezygnował z innego, intratnego zajęcia.

Pan Karol odezwał się dokładnie po pięćdziesięciu pięciu godzinach. Pamiętam to tak dokładnie, bo zegarek był wtedy w naszym domu

najważniejszym przedmiotem. Telefon odebrałem ja i usłyszałem straszne słowa:

– Wasz syn nie żyje! Zwłok jeszcze nie odnalazłem, ale wahadełko nigdy się nie myli! Jutro, a właściwie już dziś odwiedzę państwa. Dobranoc – i wyłączył się zanim zdążyłem powiedzieć chociaż słowo.

Żona usłyszała telefon i wybiegła z sypialni, gdzie położyła się na chwilę, i stała nade mną z pytaniem w oczach. Cóż dałoby ukrywanie tego, co usłyszałem? Powiedziałem więc cicho:

– Kochanie, Kamil nie żyje. Tak mówił pan Karol. Jak do nas przyjdzie, powie więcej.

I właściwie, w tym momencie straciłem drugą najbliższą mi osobę. Moja ukochana Marylka padła bez życia tam, gdzie stała. Pogotowie przyjechało błyskawicznie, bo o tej porze nie było korków, ale lekarz mimo podjętych prób reanimacji, nie przywrócił Marylce życia. Ratownik, widząc jaka jest sytuacja, zadzwonił do zakładu pogrzebowego w moim imieniu.

Czułem się tak, jakbym miał pójść zaraz w ślady syna i żony. Lekarz dał mi jakiś uspokajający zastrzyk i pogotowie odjechało do kolejnego pacjenta, a ja siedziałem bez ruchu i nawet nie miałem siły zamknąć za nimi drzwi wyjściowych i furtki.

Wyłączyłem telefony i starałem się pomodlić za duszę Marylki, ale chyba z marnym skutkiem, bo nie mogłem nawet skończyć „Wieczny odpoczynek…". Gdy usłyszałem zajeżdżający samochód

i trzaśnięcie drzwiczek, byłem przekonany, że to karawan. Całym wysiłkiem woli wstałem, żeby pożegnać się z Marylką.

– Dajcie mi, proszę, jeszcze chwilę – zawołałem łamiącym się głosem w stronę korytarza, otwierając drzwi do sypialni, w której leżała Marylka.

– Tato, ani chwili nie będę już czekać! Dlaczego nie odbieracie telefonu? Pan inspektor dzwonił od razu po akcji, bo ci bandyci zabrali mi komórkę. Chcieli mnie pokroić i sprzedać na narządy, ale opowiem wam później. A gdzie jest mama? Wiesz, uwolniono mnie około północy. Porywacze chcieli właśnie przekroczyć wschodnią granicę, ale policja ich już wcześniej namierzyła i…

Patrzyłem na Kamila, jakbym zobaczył ducha. Mój organizm nie wytrzymał kolejnego stresu i straciłem przytomność. Przyszedłem do siebie dopiero po wielu godzinach na OIOM-ie. Przy moim łóżku siedział Kamil. Cały i zdrowy. Żywy!

Po pogrzebie Marylki odwiedził nas policjant prowadzący śledztwo w sprawie oszustw w agencji „Pomoc za grosik". Miało ono wiele wątków, ale rozmawialiśmy głównie o naszej sprawie. Okazało się, że Karol P., polecony nam przez agencję jako

znany detektyw, nie miał żadnych kwalifikacji w tym zakresie. Nie był nawet tzw. jasnowidzem, który to podobno miewa jakieś nadzwyczajne zdolności. Był zwykłym oszustem, dla fasonu machającym wahadełkiem. Wiedział, że Kamil został podstępnie wciągnięty do samochodu jego „znajomej" mafii, trudniącej się wyłapywaniem młodych ludzi na handel narządami. Rozliczenia za te procedury były skomplikowane – agencja „Pomoc za grosik" otrzymywała od niego pewną część kasy za narajenie klientów, a wspomniana mafia odpalała „detektywowi" okrągłą sumkę za organizację pochówku ich ofiar, uciszenie rodzin i wmówienie im, że dogłębne dochodzenie prawdy o śmierci syna, męża czy brata, nikomu nie wyjdzie na dobre. Karol P. potrafił argumentować to dosyć mocno i nawet posiłkować się szantażem.

Nie wiedział nic o akcji policji, o uwolnieniu Kamila, więc przekazał mi pewną – jego zdaniem – informację o śmierci mojego syna. Rano chciał dopełnić formalności finansowych, a za dwa, trzy tygodnie sprowadzić do Polski skremowane szczątki Kamila, pozbawione serca, nerek, wątroby… i opowiedzieć, jak to trafił na ślad porywaczy, niestety za późno, bo Kamil zginął w trakcie ucieczki. Wzbudzał zaufanie tym, że

chociaż postarał się o godny pogrzeb młodego człowieka.

Przy przeszukaniu domu Karola P. znaleziono w piwnicy kilka urn z tabliczkami, na których były dane mężczyzn w wieku od osiemnastu do trzydziestu lat. Ekspertyza wykazała jednak, że wewnątrz urn nie było ludzkich prochów, ale piasek tzw. budowlany, lub żwirek używany w kocich kuwetach.

Karol P. i prezes agencji siedzą w areszcie i czekają na proces sądowy. Mają teraz dużo czasu, żeby przemyśleć swoje postępowanie i żałować za jego straszne skutki.

Od redakcji:

Z informacji, jakie uzyskała redakcja wynika, że toczy się obecnie kilka spraw karnych przeciw niegodziwym szefom i pracownikom agencji „Pomoc za grosik".

Szczególnie negatywny obraz Aleksandry T. (pani Oli) ukształtował się po analizie pełnionych przez nią obowiązków. To właśnie ona wyszukiwała klientów swoim znajomym: Szymonowi, pani Frani, doktorowi Z., który nota bene udawał specjalistę różnych obszarów medycyny – okulistyki, ginekologii, psychiatrii..., w zależności od potrzeb zatroskanych, często przerażonych pacjentów. A sam żadnej specjalizacji nie posiadał, bo oblewał wszystkie kolejne egzaminy.

Pani Ola otrzymywała za tę przysługę niemałe honorarium. Uczestniczyła też przy podziale łupów złodziejskich, np. przy przeszukaniu jej mieszkania, znaleziono część biżuterii, którą ukradła w różnych domach pani Frania, a także sprzęt audio, patelnie, futrzaną kurtkę i spore zapasy bombonierek o różnych smakach.

A handlarze dziewczynami zostali zatrzymani na granicy, gdy chcieli przemycić dwie Rosjanki – Olgę S. i Ałłę K. w samochodzie-chłodni wiozącym mrożonki owoców i warzyw.

I jeszcze jedno – prezes agencji „Pomoc za grosik" zapytany, dlaczego nie polecił detektywa z odpowiednimi uprawnieniami, odpowiedział, że oni są zbyt podejrzliwi, nieczasowi, żądają niemałych pieniędzy i od niego, i od klientów, a – sąsiad, emerytowany ślusarz – zgodził się wyświadczyć mu przysługę za... grosik. Tak więc po raz któryś sprawdziło się powiedzenie, że „jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze".

Będziemy Was, drodzy Czytelnicy, informować o przebiegu śledztwa, sprawiedliwych wyrokach, jakie, mamy nadzieję, wkrótce zostaną ogłoszone. A poszkodowanym osobom jesteśmy wdzięczni za przesłane do nas listy, a przede wszystkim za okazane nam zaufanie. Dziękujemy!

Dziękujemy też za piękną kartkę od pana Mateusza, z mądrą sentencją: „Największa satysfakcja w życiu to świadomość, że się nikogo nie skrzywdziło".

Słowa, słowa, czyli życie lub śmierć

Oszczerstwo kwitnie tak,
jak gdyby ludziom nie wystarczały
prawdziwe winy niektórych bliźnich
i zachodziła konieczność wymyślania urojonych.

Stanisław Czarnowski

Zośka, wstawaj! Już czas!

– No przecież wiem, że dziś jest Wielkanoc, co mama tak wrzeszczy – odezwałam się wkurzonym głosem, w nadziei, że jeszcze się zdrzemnę. Codziennie wstaję o szóstej, bo przed lekcjami mam trening. Od paru lat gram w tenisa i nawet mnie to wciągnęło, tylko to wstawanie!

– Wstawaj, wstawaj, śniadanie gotowe. Zaraz siadamy do stołu, bo musimy zdążyć do kościoła na dziesiątą. A dzisiaj idziemy na piechotę. Jest taka piękna pogoda, że grzechem byłoby jechać samochodem.

– No z tym grzechem to chyba przesadziłaś. Pan Bóg wymyślił samochód przecież po to, żeby nim jeździć – przekomarzał się tato, ale pewnie był zadowolony, bo wiedział, że ja chciałabym zasiąść za kierownicą. A trudno mu było zaakceptować fakt, że od miesiąca mam prawo jazdy i w ogóle, że jestem już dorosła. Wyraźnie niechętnie dawał mi kluczyki od swojego samochodu. Własny miałam dostać w prezencie od rodziców, gdy dobrze zdam maturę i zostanę studentką. No trudno, wytrzymam jeszcze przez te parę miesięcy.

Od dwóch lat mieszkamy na nowym warszawskim osiedlu i do kościoła mamy daleko, około trzech kilometrów. Cóż, na razie przyłączono naszą ulicę do tak rozległej parafii.

– To może ja pojadę na inną godzinę – próbowałam coś uzyskać, ale bezskutecznie.

– Zośka, dzisiaj jest lany poniedziałek, to przyda ci się pewnie nasza „eskorta", bo chłopaki z osiedla nie zostawią na tobie suchej nitki!

No, to rzeczywiście był argument! Pogoda dopisała. Ludzi na ulicach było o tej porze stosunkowe niewielu, dlatego od razu rzuciły się nam w oczy małe i duże plakaty rozklejone na całej trasie do kościoła. Wczoraj ich nie było. Kilku młodych chłopaków rozdawało przechodniom ulotki o takiej samej treści:

UWAGA! UWAGA!
MORDERCY SĄ WŚRÓD NAS!
ZABÓJCY SĄ WŚRÓD NAS!
Jeżeli chcesz ujść z życiem, przyjdź w poniedziałek wielkanocny do kościoła parafialnego – ul. Kościelna.
Msze święte o godz. 8.00, 10.00, 12.00, 14.00, 18.00
WASI DUSZPASTERZE

– Co to się wyrabia? Chłopaki, dlaczego tradycyjnie nie biegacie dziś z butelkami i wiaderkami wody, tylko z tymi kartkami? O co tu chodzi? Chyba nie o ochronę życia nienarodzonych, bo tu jest napisane: „Jeśli chcesz ujść z życiem…", czyli to też jest do mnie? – tato zasypał młodzież lawiną pytań.

– Obiecaliśmy księdzu proboszczowi, że zachowamy tajemnicę, ja jestem ministrantem i miałbym przechlapane, gdybym powiedział, o co chodzi. Ale zapraszam, na dziesiątą. Tam już ksiądz wszystko wyjaśni. Alleluja! – zawołał chłopak i podbiegł do starszego pana z laską. Ale ten pan był bardzo zdenerwowany, nie chciał wziąć

ulotki, tylko powtarzał, że to powinna załatwić policja. Akurat patrol był w pobliżu, ale nie podjął żadnej interwencji, mówiąc do starszego pana, że zna chłopaków i że wszystko jest uzgodnione z księdzem proboszczem.

Msza święta toczyła się „zwykłym trybem". Wikary przeczytał Ewangelię, wygłosił homilię, bardzo krótką, ale jak zwykle, przemawiającą do serca. Aż się dziwiłam, że nic nie nawiązał do tych ulotek i plakatów. Może to te chłopaki zrobiły jakiś kawał? I teraz cieszą się, że nam w głowach namieszali. To już byłoby lepiej, gdyby nas perfumami pokropili „po dawnemu" – pomyślałam całkowicie zdezorientowana.

Ale przed końcowym błogosławieństwem na ambonie stanął proboszcz i powiedział, że to z jego inicjatywy powstały te plakaty i ulotki, które towarzyszyły nam w drodze do kościoła.

– Dzień jest świąteczny, bo Chrystus zmartwychwstał! Ale właśnie ten dzień wydał mi się najbardziej odpowiedni na poruszenie spraw życia i śmierci, bo w naszej parafii w ostatnich tygodniach miało miejsce kilka prób samobójczych, w tym dwie „udane". Strasznie to zabrzmiało, prawda? Tak, zakończyły się śmiercią! Bardzo przeżyłem te pogrzeby, a nie mniej silnie – rozmowy z osobami, których życie udało się lekarzom uratować. Uzyskałem zgodę tych „żyjących samobójców", a także rodzin osób zmarłych na to, żeby opowiedzieć z ambony te tragiczne historie ku przestrodze! Bo – mordercy, zabójcy są wśród nas! I od razu wyjaśniam, że ci złoczyńcy, którzy działają i którzy spowodowali tę lawinę samobójstw, nie posługują się ani siłą własnych mięśni, ani nożem, ani rewolwerem, ani trucizną ale językiem, a dokładniej złym słowem! Mimo że sytuacja każdej ofiary była inna, inny był też powód podjęcia bardzo trudnej decyzji o targnięciu się na swoje życie, to na pewno zabójca popełnił któryś z tzw. grzechów języka, o których mówi święty Jakub Apostoł w swoim liście. Poszukajcie, proszę, ten tekst w domu, w Piśmie Świętym. W kolejne niedziele będę więc, kochani, poruszał problem zła, które niosą plotki, oszczerstwo, obmowa i kłamstwo. I właśnie za chwilę Hania podzieli się z wami swoimi przeżyciami, które były skutkiem obrzydliwych plotek.

Zadrżało we mnie serce. Przecież Hania chodziła do tego samego liceum, co ja. Do innej, wyższej co prawda klasy, ale dobrze ją pamiętam. Pięknie śpiewała i grała na gitarze, udzielała się aktywnie w amatorskim teatrze, który prowadziła

pani od historii. Zazdrościłam jej cudownej burzy blond włosów, zgrabnej sylwetki, a właściwie to tego, że wszystkie chłopaki ze szkoły chciały z nią chodzić, a ze mną nie! Wszystko to w mgnieniu oka przeleciało mi przez głowę. Gdy Hania stanęła przy mikrofonie, w kościele zapadła niesamowita cisza.

– Jestem studentką pierwszego roku Wyższej Szkoły Teatralnej. Maturę zdawałam tuż obok kościoła, w liceum. Teraz do domu nieczęsto przyjeżdżam, bo mam dużo nauki. Ale prawdę mówiąc, zastanawiam się poważnie, czy wrócić na studia. Moja rodzina, po tym, co się stało, stanowczo mi to odradza. A ja mimo wszystko kocham teatr… Egzaminy zdawałam bez problemu, dziekan mnie chwalił, a trzy miesiące temu dostałam propozycję roli w Teatrze Polskim.

I wtedy zaczęło się na dobre. W Internecie plotki na mój temat aż huczały. Bez przerwy odbierałam obraźliwe maile, wpisy, a na Youtubie filmy, które mnie dobijały dzień za dniem. Dostałam też smsy od Poli, mojej koleżanki, która pisała mi, że Jagoda rozpowiada o mnie niestworzone rzeczy, że tę rolę dostałam „przez łóżko", że dyrektor teatru kocha się we mnie od dawna, że dla mnie porzucił żonę i trójkę dzieci. Owszem, dyrektor ma żonę i wiem, że świata za nią nie widzi, ale dzieci nie mają i bardzo nad tym boleją. To więc było przewrotne i złośliwe. Do tego Jagoda co chwilę puszcza jakiegoś newsa i te ploty rozchodzą się błyskawicznie, tak jak kiedyś: jedna pani – drugiej pani. Prawda (częściowa) zostaje nadal – dostałam propozycję tej roli, ale reszta jest wyolbrzymiana i koloryzowana.

A już po złośliwie spreparowanym filmie, na którym rzekomo całuję się namiętnie ze znanym producentem filmowym, moja komórka praktycznie nie przestawała dzwonić. Zasłyszane o mnie informacje podawali mi ludzie zwykle blisko ze mną współpracujący, ale niestety dzielili się tą wiedzą z innymi. A że po drodze powstawały przekłamania, dodawano jakieś wyssane z palca szczegóły, to wszystko mnie dobijało. Przekręcano fakty, dowiadywałam się np., że najwięcej o mnie mogła by powiedzieć osoba, którą widziałam jeden raz w życiu. Tak jak w dziecinnej grze w „głuchy telefon" – prawda zostaje skażona przez szumy i przekłamania (nawet drobne).

Bardzo źle odbierałam ten „deszcz plotek" i złośliwości wynikający, jak się domyślałam, głównie z zazdrości o rolę, o moją prezencję, wyniki na studiach, licznych adoratorów. Pewne

osoby postanowiły widocznie mnie załatwić i to się im (prawie!) udało. Przeżywałam wewnętrzny niepokój, zamęt, a wszędzie gdzie się pojawiłam, czuć było od razu złą atmosferę.

Widząc więc, że źle się dzieje, zarejestrowałam się do lekarza. Siedząc w poczekalni, odruchowo sięgnęłam po gazetę i zamarłam. Był to jakiś nowy tytuł, zajmujący się karierą „gwiazdek" różnego pokroju. Aż kipiał od ohydnych plotek. Czytałam komentarze, oglądałam przekolorowane zdjęcia, robione pewnie z ukrycia przez wszędobylskich dziennikarzy, takich przez małe „d".

Miałam wrażenie, że ten szmatławiec parzy mnie w ręce. Zakręciło mi się w głowie, rzuciłam gazetę do stojącego w rogu kosza i bez konsultacji z lekarzem, wybiegłam na ulicę. Całą drogę do domu prześladowała mnie myśl, że jeżeli skończę studia i zostanę aktorką, to i nade mną będą się pastwić – raz i drugi! Nie! Przez całe życie!

Dostałam takiego doła, że położyłam się w swoim pokoju w biały dzień i łyknęłam cały blister środka nasennego. Chciałam na zawsze położyć kres tej męce i poniżeniu.

Obudziłam się na łóżku szpitalnym, w otoczeniu aparatury, rurek i monitorów. Powrót do życia zawdzięczam mojej mamie, która tego dnia

wróciła do domu niespodziewanie wcześniej. Mówi, że przyprowadził ją Anioł Stróż. Miała takie dziwne, wewnętrzne ponaglenie: „jedź do Hani, ona cię potrzebuje"!

I to zachęciło mnie do dzisiejszego wystąpienia, bo gdy po leczeniu wróciłam do domu, zastałam na powitanie w swoim pokoju – bukiet róż i opartą o wazon kartkę ze znamiennym tekstem: „Kto sieje zło, zbiera nieszczęście" (Księga Przysłów 22, 8a) i dopiskiem: „Haniu, doświadczyłaś tego bardzo boleśnie. To Słowo ma być teraz dla ciebie tarczą i bronią przeciw złym słowom. Tak ci dopomóż Bóg"!

Poryczałam się, słuchając Hani, jak bóbr! Muszę trzymać swój język bardziej na wodzy!

Za tydzień proboszcz przy ambonie stanął sam. Zanim zaczął mówić, podszedł do pierwszej ławki, gdzie siedziało parę osób w głębokiej żałobie i uściskał ich serdecznie.

– Dzisiaj odprawiłem mszę świętą w intencji śp. Kingi. Mijają właśnie dwa miesiące od jej samobójczej śmierci. Śmierci z powodu potwornego oszczerstwa ze strony jej szefa. Wymyślił je, bo nie mógł przeżyć tego, że Kinga wybrała Piotra, a nie jego.

Była przez dwa lata sekretarką i skutecznie odpierała jego amory. Najpierw nieśmiałe, potem coraz bardziej nachalne. Po ślubie Kingi z Piotrem szef jakby trochę odpuścił, wręczył im nawet okazały prezent ślubny. Jednak gdy Kinga wróciła z podróży poślubnej, szczęśliwa i radosna, jak mówił Kindze, poczuł się… zdradzony. Raz czy dwa próbował jeszcze zaprosić ją do siebie, zlecał jej dodatkowe prace i przychodził do biura wieczorami. Zawsze jednak czekał już na nią Piotr, który, mówiąc w skrócie, pilnował, aby Kindze nie stało się nic złego.

Szef początkowo zamierzał umieścić w Internecie kilka pikantnych filmów, które miałyby ukazać Kingę jako seksualną zdrajczynię, kobietę lekkich obyczajów, prowadzącą podwójne życie, ale widząc jej miłość do Pawła i odwrotnie, słusznie przewidywał, że nikt nie da wiary tym „faktom". Dlatego wybrał inny sposób, aby Kinga cierpiała, pomimo swojej niewinności.

Oficjalnie oskarżył Kingę o finansowe malwersacje w firmie. W porozumieniu z księgową, która nie cierpiała Kingi, bo widziała w niej konkurentkę w walce o względy szefa, sfałszowali różne elektroniczne dokumenty i winą za to obciążyli Kingę. Wynikało z nich, że Kinga zdefraudowała znaczną część majątku firmy. Szef wysłał do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez Kingę. A konsekwencją tego była wizyta kontrolerów NIK-u oraz zatrzymanie „podejrzanej Kingi Z." do wyjaśnienia sprawy.

Piotr, który studiował informatykę pocieszał Kingę, że przestępstwa komputerowe bardzo trudno udowodnić, a jeszcze trudniej przerzucić za nie winę na kogoś innego. Wierzył, że Kinga jest czysta jak łza.

Kinga bardzo źle znosiła areszt. Była słaba, źle się czuła, więc pewnego dnia wezwano lekarza i po tej wizycie została przewieziona do więziennego szpitala. Tam stała się straszna rzecz – Kinga poroniła swoje i Piotra dziecko.

Wkrótce potem została uniewinniona i zwolniona. Pierwsze kroki skierowała wówczas do szefa i powiedziała dobitnie: „Zabiłeś moje dziecko! Będziesz chodzić z tą świadomością do końca życia! Jak mogłeś?!".

Pomimo starań najbliższych, Kinga nie poradziła sobie z bagażem swoich przeżyć – bolało oszczerstwo szefa i znamię więźniarki, chociaż niesłusznie osadzonej, wspomnienia z celi nie dawały jej w nocy spać.

Została bez pracy, straciła dziecko, sąsiedzi patrzyli na nią jakoś dziwnie podejrzliwie, ułamki cichnących na jej widok rozmów typu: „a tak właściwie nie wiadomo, czyje to było dziecko, pewnie szefa, więc zrobiła aborcję; a skąd Piotr miał kasę na nowy motor, może faktycznie wynosiła coś z tej firmy, kto to wie" – doprowadzały ją do rozpaczy. Aż w końcu którejś nocy, gdy Piotr był w delegacji, poszła do łazienki i podcięła sobie żyły. Ratunek przyszedł za późno…

I tak cierpiał niewinny człowiek, teraz cierpi rodzina, przyjaciele. I tak trudno naprawić, wyprostować to, co złe słowo narobiło!

W następną niedzielę posłuchaliśmy o pewnym konflikcie, można by powiedzieć, tradycyjnym, pomiędzy teściową a synową. Na ambonce stanęła pani Henia. Znam ją, bo była przez ostatnie lata woźną w naszym liceum. Drżącym, łamiącym się głosem, wyraźnie przez łzy, powiedziała:

– Mój syn ożenił się ze wspaniałą dziewczyną, Olą! Ale musiało dojść do tragedii, żebym to zrozumiała! Wyznaję tu przed wami, że przez parę lat, niepotrzebnie i złośliwie ujawniałam prawdy dotyczące błędów i słabości mojej synowej. Obmawiałam ją niemal nałogowo i w rodzinie, na różnych spotkaniach przy stole, i w sklepie, u fryzjera, w autobusie, nawet w kościele!

Nie będę powtarzać tych moich słów, bo chyba spaliłabym się ze wstydu. Zresztą były one grubo przesadzone. Robiłam, jak to się mówi „z igły – widły".

Żyłyśmy pod jednym dachem, a ja widziałam w Oli tylko zło. Nie widziałam, czy raczej nie chciałam widzieć w niej dobra. Chyba, jak teraz myślę, z zazdrości, że „zabrała" mi syna. A w jakim celu obmawiałam Olę? Aby ją poniżyć i zniszczyć! To straszne! Ale niemal mi się to „udało". Ola często płakała, była smutna, w końcu próbowała odebrać sobie życie!

W mojej relacji do synowej zabrakło miłości! Ale na szczęście Pan Bóg dał mi drugą szansę. Boże, pomóż mi, żebym jej nie zmarnowała!

W tygodniu przypadkiem usłyszałam kilka razy, że kobiety rozmawiały ze sobą o tym, co mówiła pani Henia. Może któraś nich zobaczyła siebie, jak w lustrze?

– I przyszedł czas na „zwyczajne" kłamstwo. Tak przecież powszechne wokół nas – rozpoczął ksiądz wikary w kolejną niedzielę. Dzisiaj zaprosiłem pana Wiesława, naszego dzielnicowego, żeby opowiedział, ku przestrodze, o kłamstwach, które spowodowały śmierć pana Kazimierza.

– Wielu z was było na jego pogrzebie – rozpoczął pan Wiesław. – Wiecie, że miesiąc temu odebrał sobie życie. Mieszkał samotnie w tym domku przy lesie. Nad ranem odkręcił gaz, pozamykał okna i gdy nie przyszedł na umówioną wizytę do lekarza, pielęgniarka z przychodni, mieszkająca w domu obok, zapukała do jego drzwi i poczuła zapach gazu. Zespół reanimacyjny pogotowia

nie mógł już nic poradzić. Pan Kazimierz zmarł. Niektórzy sądzili, że to był wypadek, nieszczelna instalacja, czy też nieuwaga starszego już przecież człowieka, który odkręcił kurek w piecyku, ale nie zapalił ognia. Dopiero przy przeszukaniu przez policję mieszkania zmarłego lokatora, znaleziono list, który wszystko wyjaśnił. Pan Kazimierz pożegnał się tym listem z rodziną (bardzo nieliczną) i ze znajomymi. Podał też powód swojej tragicznej decyzji o samobójczej śmierci.

Otóż w ostatnim czasie padł on ofiarą fałszywego hydraulika. Łatwowiernie otworzył mu drzwi, nie sprawdził nawet, czy jest on pracownikiem administracji osiedla.

„Hydraulik" oznajmił, że przeprowadza kontrolę rur odpływowych i musi mieć dostęp do kuchni i łazienki. A za chwilę przyjdzie jego kolega i sprawdzi też, czy termostaty w kaloryferach dobrze funkcjonują. Pan Kazimierz nie miał co do tego żadnych zastrzeżeń, a że spływ w kuchni często mu się zatykał, więc nawet się ucieszył, że nie będzie musiał kupować nowego „kreta" lub szukać fachowca. Niejako przy okazji „hydraulik" poinformował lokatora, że jutro będzie kolejny przegląd, tym razem rur wodociągowych, więc warto nabrać wody na zapas, bo jej dopływ będzie

wstrzymany. W czasie, gdy pan Kazimierz nalewał wodę do wszelkich butelek i garnków jakie znalazł w swojej kawalerskiej kuchni – „hydraulicy" poszli do innych pomieszczeń, sprawdzać kaloryfery. Byli bardzo uprzejmi, nie wzięli ani grosza za te kontrolne usługi. Pan Kazimierz wetknął im prawie na siłę butelkę domowej nalewki z działkowych malin.

Następnego dnia, gdy wybierał się na zakupy, z przerażeniem stwierdził, że padł ofiarą perfidnego kłamstwa! Fałszywi hydraulicy mówili nieprawdę, bo chcieli oszukać pana Kazimierza i okraść go. Z jego zaskórniaka schowanego w bie-

liźniarce, nic nie pozostało! Zniknęła też ostatnia emerytura, która leżała na wierzchu, przy telefonie, bo właśnie tego dnia, krótko przed „hydraulikami", był listonosz. Złodzieje zabrali nawet opakowanie drogiego zagranicznego lekarstwa przeciwbólowego, które łagodziło mu cierpienie i złote spinki do koszuli, jeszcze po dziadku. Nie zostawili nic! Pan Kazimierz napisał, że nie ma sił czekać aż złodzieje zostaną złapani. Nie ma nadziei na odzyskanie swojej własności. Pieniędzy nie ma od kogo pożyczyć, a zresztą miałby problem z ich oddaniem. Nie chce być dla nikogo ciężarem, nie widzi rozwiązania tej sytuacji, więc wybiera śmierć! Prosi, by ostrzec ludzi przed takimi i podobnymi zbrodniarzami! Na tym kończył się ten tragiczny list. Było jeszcze P.S.: „Boże, przebacz im i mnie"!

Pan Wiesiek przerwał na chwilę, a w kościele panowała całkowita cisza. Potem dodał, że „hydraulicy" zostali wkrótce aresztowani, a w komisariacie opracowano poradnik, który ma pomóc ludziom, zwłaszcza starszym, w przewidywaniu skutków takich kłamstw „na wnuczka", „na montera", „na szklankę wody, bo mi słabo", „na prośbę o skorzystanie z toalety".

– Tej tragedii można było uniknąć! Zapraszam do zabrania poradnika. Rozłożyłem egzemplarze przy wyjściu z kościoła. Jeżeli ktoś z państwa chciałby o coś zapytać, będę za chwilę do dyspozycji w salce pod kościołem – zachęcał pan Wiesiek.

Ksiądz proboszcz podziękował policjantowi i podsumował kończący się już cykl spotkań:

– Powtarzam: język może być bardzo skutecznym narzędziem zbrodni! Używajcie go lepiej w innym celu. Jest przecież tyle dobra, które można wyrazić pięknymi słowami. I pamiętaj kochany bracie, kochana siostro: kiedy uczciwie żyjesz, nie dbaj o słowa złych ludzi – tak mawiał mój dziadek. I to jest bardzo dobra życiowa rada. Sprawdziłem ją wielokrotnie na własnej skórze!

STOP, czyli brak hamulców nie popłaca

Niepohamowanie głupca przynosi mu szkodę.
Niepohamowanie uczonego zagraża ludzkości.

Emilia Tesz

Studenci Wyższej Szkoły Filmowej poszukują potencjalnych bohaterów dyplomowych etiud filmowych – osób niepohamowanych, porywczych, gwałtownych, nie znających umiaru, narwanych itp. (pozostałe sto sześćdziesiąt synonimów można znaleźć w Internecie). Preferowane będą sytuacje negatywne, pokazujące zło, które wynikało z tych i podobnych cech osobowości.

Osoby zainteresowane współpracą prosimy o przesłanie swoich „scenariuszy" do końca grudnia na załączony adres mailowy. Ewentualne pytania proszę kierować również na ten adres.

Komisja wybierze najbardziej interesujące prace, a ich autorzy otrzymają zaproszenie na rozmowę i zdjęcia próbne. Autorom zapewniamy całkowitą anonimowość.

– Może tak być? – Wojtek z niecierpliwością czekał na opinie koleżanek i kolegów z roku.

– Dlaczego nie napisałeś nic o pieniądzach? Przecież rektor obiecał, że przeznaczy dla wybranych autorów kasę na symboliczne chociaż honoraria. Ostatecznie ludzie poświęcą swój czas, poniosą może jakieś koszty, przygotowując swoje prace, i co? – Paula dosyć mocno zaprotestowała.

Wojtek zmarszczył czoło, ale spokojnie odpowiedział: – Myślałem, że zależy nam na pasjonatach, na ludziach, którzy chcą się podzielić swoimi przeżyciami, ostrzec innych przed złem, jakie było ich udziałem. A nie szukamy tych, którzy chcą zarobić na tym „interesie". Oczywiście, przy finalizowaniu sprawy pokryjemy ewentualne koszty, zasponsorujemy nagrody, ale nie pensje.

– A może trzeba dołożyć do tego ogłoszenia jakieś wskazówki co do formy prac, może fragment jakiegoś scenariusza? Byłoby nam łatwiej zrobić te etiudy? – Patryk jak zwykle szukał drogi na skróty.

– Jeżeli będą pytania o formę, to możemy coś podpowiedzieć, ale uważam, że to może zniechęcić naszych potencjalnych bohaterów. Niech piszą, jak im serce dyktuje! – Wojtek odpowiedział Patrykowi i od razu zyskał poparcie kolegów. To

co? Pokażę tekst ogłoszenia dziekanowi i ruszamy! Jestem bardzo ciekawy, jakie będą tego owoce!

Otóż owoce przeszły najśmielsze oczekiwania i studentów „filmówki", i władz dziekańskich. Można było mówić nawet o „klęsce urodzaju". Internet aż huczał od dyskusji na ten temat. Wpływały skrajne opinie o słuszność, czy nawet zgodność z etyką takiego pomysłu.

Po dwóch, trzech tygodniach szum medialny wyraźnie się wyciszył i zaczęły przychodzić pierwsze prace. Czytaliśmy je z wypiekami na twarzy. Do końca grudnia mieliśmy do dyspozycji dwieście pięćdziesiąt trzy scenariusze. A nas, studentów dyplomantów, było zaledwie kilkoro. Kierunek „Reżyseria" to studia uchodzące za elitarne.

Komisja przeglądająca prace miała więc nie lada orzech do zgryzienia. Po wstępnej analizie pozostało dziewięćdziesiąt pięć prac, po kolejnej – trzydzieści dwie. Każdy z nas otrzymał te prace i miał się zadeklarować, który scenariusz wybiera. Ten etap przeszedł już niespodziewanie łatwo, nie było sytuacji, żeby ktoś wyrywał drugiemu wybrany tekst. Pozostałe „historie życia" zostały na uczelni do ewentualnego wykorzystania na warsztatach filmowych, lub dla kolejnych roczników dyplomantów.

A my zabraliśmy się do pracy. Nawiązaliśmy kontakty z osobami, o których miały powstać nasze dyplomowe etiudy, co znacznie ubogaciło wiedzę o ich życiu, problemach, które opisywali. I kontury filmów, ujęć, scenografii, rekwizytów, a przede wszystkim główne przesłanie, jakie miało wynikać z filmu, zaczęły składać się powoli w jedną całość.

Na hasło „niepohamowany" czy „gwałtowny" mogliśmy mówić i mówić nawet wtedy, gdy obudzono nas nagle o północy! Każdy przeżywał ten ostatni etap studiów na swój sposób. Ewa niepokojąco schudła, Janusz był nerwowy nie do

wytrzymania, Paweł nie mógł spać po nocach, Kaśka wybuchała gniewem przy lada okazji.

Aż w końcu nadszedł ten dzień, a właściwie dwa dni premiery naszych filmów dyplomowych. Kolejność prezentacji losowaliśmy tydzień wcześniej. Od razu powiem, że wszyscy zdaliśmy pozytywnie egzamin dyplomowy! Ale po ogłoszeniu wyników obrony naszych prac, czekała nas jeszcze niespodzianka – dziekan zwołał komisję i ogłosił konkurs na najlepszą etiudę dyplomową. Laureaci, czyli zdobywcy pierwszego, drugiego i trzeciego miejsca – mieli wystąpić z prezentacją swojego filmu przed szeroką publicznością.

Dziekan zaproponował, że przy emisji filmu laureat będzie mógł wypowiedzieć się, dlaczego wybrał właśnie ten temat, jakie miał problemy przy tworzeniu filmu, do kogo film jest kierowany, jakie owoce może przynieść itd. Pokaz był transmitowany na żywo w Internecie, na stronie uczelni, a więc mogli go obserwować on-line także „nasi bohaterowie".

Ja pisywałem często teksty do miesięcznika „Film", więc i tym razem notowałem i nagrywałem „przebieg akcji" na uroczystej gali. Wojtek rozpoczął swoje wystąpienie od osobistego komentarza:

– Bez wahania wybrałem temat: „Niepohamowane ambicje", bo sam identyfikuję się z tym problemem, doświadczyłem jego owoców już w domu rodzinnym na własnej skórze. Bardzo dobrze dogadywałem się z Wieśkiem, moim bohaterem, i chciałbym skierować ten film do tych, którzy cierpią na przerost ambicji, żeby już więcej nie krzywdzili ludzi sobie bliskich. Wiesiek zdał sobie z tego sprawę grubo za późno…

Teraz ma przeszło pięćdziesiąt lat i wyznał, że gdyby mógł inaczej poprowadzić swoje życie – na pewno by to zrobił. Przykład wziął niestety ze swoich rodziców – ludzi goniących za sukcesami i stanowiskami bez opamiętania. W nielicznych chwilach, gdy się z nim spotykali, w tym pędzie, słyszał od nich tylko takie słowa: „Wiesiek, ty ofiaro, nic z ciebie nie będzie! Coś ty taki cherlawy, co z ciebie za chłop? Dlaczego z fizyki masz tylko czwórkę, a z geografii trójkę? Ucz się, ucz, ale i tak nie będziesz najlepszy w klasie. A powinieneś mieć takie ambicje…".

Wieśka wychowywała babcia, bo rodzice nie mieli na to czasu. A właściwie to tylko go karmiła i ubierała, czasem przytuliła, nie miała jednak żadnego autorytetu w jego oczach. Rodzice pięli się po szczeblach kariery zawodowej i partyjnej.

W domu niczego nie brakowało, Wiesiek miał wszystko, czego tylko zapragnął, a były to ciężkie czasy. Chwalił się zagranicznymi zabawkami, dżinsami i wyrastał w przekonaniu, że zaszczyty i pieniądze to najlepszy przepis na życie.

Gdy miał siedemnaście lat rodzice zginęli w wypadku samochodowym, wkrótce odeszła i babcia. Wiesiek został sam… Odziedziczył wprawdzie dom i spory majątek, ale również poczucie niskiej wartości. Wciąż pamiętał słowa: „nie dasz rady, nic z ciebie dobrego nie wyrośnie (czytaj: nie będziesz kimś), dlaczego ten i tamten jest lepszy od ciebie"? Odziedziczył też brak miłości rodzicielskiej, ale tego wtedy nie dostrzegał. Zwłaszcza, że tę miłość zaczęły zastępować dziewczyny, które – jak to się teraz mówi – leciały na bogatego chłopaka jak muchy do miodu. Wiesiek miał niepohamowane ambicje, żeby zostać super playboyem. Uwielbiał słuchać komplementów, że jest taki męski, silny, przystojny i wierzył w nie, zachwycony tym, że zawsze był otoczony pięknymi „laskami". Wydawał bajońskie sumy na różne zabiegi i specyfiki podnoszące atrakcyjność jego ciała. Gdy koledzy zakuwali do matury, on upajał się swoją dorosłością.

Maturę zdał i dostał się na studia „rzutem na taśmę", bo magia jego nazwiska działała. Dyrektor liceum na rozdaniu świadectw maturalnych powiedział do niego, że nie mógł go oblać z uwagi na „pamięć jego rodziców", a w dziekanacie Wydziału Ekonomii Biznesu pracowała jego żona. Wiesiek nie widział w tym nic złego, cóż, ojciec sponsorował przecież swego czasu budowę boiska sportowego przy liceum i załatwił intratną pracę jego córce.

Studiować mu się – prawdę mówiąc – wcale nie chciało, bywał często na zajęciach, bo zakochał się na dobre i – jak się wkrótce okazało – ze wzajemnością w dziewczynie z jego grupy studenckiej. Zerwał z dotychczasowymi adoratorkami, które zmieniał jak rękawiczki i za wszelką cenę chciał zaimponować Asi.

Mimo protestów jej rodziców zamieszkali razem w jego reprezentacyjnej willi. Wiesiek zatrudnił gosposię i ogrodnika, żeby Asia nie musiała nic robić w domu. Wkrótce rzucił studia, nie zaliczając nawet pierwszego roku i zajął się robieniem kariery w biznesie, nie mając o tym zielonego pojęcia. Ale od czego są eksperci? Za okrągłe sumki honorarium jego doradcy kręcili interesem (jak chcieli), a Wiesiek upajał się swoją pozycją prezesa. Zapraszano go na różne przyjęcia, rauty, zebrania, bo stał się osobą znaną i pożądaną w środowiskach może nie całkiem uczciwego biznesu.

Mało bywał w domu, zajmowanie się dziećmi, które pojawiły się na świecie według niego grubo za wcześnie, zostawił Asi i zatrudnionej niani. Dzieci rosły, a w nielicznych spotkaniach z nimi wyrzucał im tylko, że… nic z nich nie będzie! Żonie zaś wytykał, że jest magistrem, a robi za kurę domową. Asia płakała, próbowała jakoś powstrzymać Wieśka, sprowadzić go z tej śliskiej drogi kariery, skierować jego uwagę na sukcesy syna w sporcie, a córki w muzyce, ale niewiele to dawało. W końcu, aby zwrócić na siebie uwagę męża, Asia zrobiła rzecz najgorszą z możliwych. Założyła własną firmę, zaczęła zarabiać niemałe pieniądze,

a dzieci zostawiła opiekunce. I w domu zaczęła się nakręcać spirala niepohamowanych ambicji: kto więcej zarobi, kto ma większy prestiż w środowisku biznesowym, kto ma więcej adoratorów i klakierów, czyja pozycja jest wyższa – prezesa czy dyrektora, chociaż jak zwał, tak zwał – wielkiej różnicy w tym nie było. Ale była za to duża różnica w wykształceniu – Asia skończyła studia magisterskie, a następnie doktorskie uwieńczone obroną doktoratu i uzyskaniem stopnia doktora nauk ekonomicznych. A Wiesiek przecież rzucił studia! Ale dał sobie radę i z tym problemem – od czego jest Internet, w którym, jak to mówią, jest wszystko, także wszelkie dyplomy do kupienia.

Życie toczyło się w zwariowanym tempie, nikt nie mógł powstrzymać tego pędu do kariery obojga – i Asi, i Wieśka. Oddalili się od siebie jeszcze bardziej, a dzieci – cóż – miały przecież gdzie mieszkać, co jeść, miały opłacane dodatkowe ekskluzywne zajęcia, treningi, lekcje gry na fortepianie u najlepszych nauczycieli. A że tato nie przyszedł na mecz mimo, że obiecał, bo przyjęcie się przedłużyło, a mama nie chciała wysłuchać córki, która przeżywała pierwsze dziecięce problemy sercowe, bo musiała pilnie wyjechać do Kanady w interesach, to…

Wiesiek rozwijał ten problem, bo w historii jego życia okazał się najbardziej bolesny: „Cóż z tego, że tyle osiągnęliśmy, że jesteśmy rozpoznawalni w biznesie, jak rozpadło się nasze małżeństwo, a rodzina przeżywa potężny kryzys. Niepohamowane pragnienie kariery zabiło moją żonę. Tak, dosłownie zabiło, bo od lat nie robiła badań kontrolnych, tłumacząc się brakiem czasu. Kiedyś wspomniała mi w biegu, że wyczuła na piersi jakieś zgrubienie, ale od razu zakwalifikowała je jako niegroźne. Rejestrowałem ją na wizytę u najlepszych specjalistów kilkakrotnie, ale zawsze miała coś ważniejszego w swoim kalendarzu. Gdy zaczęła chorować, bo pojawiły się przerzuty, było już na leczenie grubo za późno.

Za późno też było na uratowanie naszej córki, Kamili. Krótko po śmierci Asi, Kamila napisała list pożegnalny adresowany do mnie i do brata Andrzeja, którego istotę ujęły słowa: Nie jestem dla nikogo ważna, nie zależy wam na mnie; miałam nadzieję, że dogadam się jakoś z mamą, ale… Poznałam w Internecie kogoś, kto mnie wysłuchał i poradził jak przenieść się do lepszego świata. Obiecał, że będzie przy mnie na Skype w tej ważnej chwili, gdy połknę tabletki śmierci. Chcę to zrobić dzisiaj wieczorem, chyba, że tato dotrzyma obietnicy i wróci o umówionej godzinie, żeby ze mną porozmawiać.

Nie wróciłem wtedy na czas, bo… To już chyba nieistotne, z jakiego to było powodu. Jakikolwiek on był, uznałem go za ważniejszy od rozmowy z moją córką. Wyobrażam sobie, jak Kamila czekała wtedy na mnie, z jaką nadzieją, z jakim lękiem, gdy zegar odliczał kolejne minuty. Gdy zorientowałem się, że nie dojadę do domu tego dnia, próbowałem dodzwonić się do Kamili, ale było już za późno, komórka nie odpowiadała…

Z synem Andrzejem nic mnie już praktycznie nie łączy. Wyjechał na studia do Stanów, założył

rodzinę, ma syna, ale ani razu nie przyjechali do Polski ani mnie nie zaprosili do siebie. Żyłem sam z piętnem poczucia winy i tak już pewnie zostanie".

Nie chciałem nic utracić z głębokich prawd, które Wiesiek tak przeżywał i dlatego przytoczyłem jego słowa bez żadnych skrótów – zakończył Wojtek, wyraźnie poruszony.

Druga laureatka – Ewa rozpoczęła swoją prezentację po około dwudziestu minutach słowami:

– W ciągu minionych trzech miesięcy schudłam dziesięć kilogramów. Jestem więc namacalnym dowodem na to, że można opanować to, co jest moim tematem, czyli „niepohamowany apetyt". Bohaterka mojego filmu, Agata, jadła, jadła, jadła… od kiedy pamięta. Zajadała niepowodzenia, lęki, niespełnione nadzieje, upokorzenia, a także radości i sukcesy, których jednak było stosunkowo mniej.

Kiedy Agata zaczęła walczyć z tym złem? O tym właśnie jest mój film! I można by przewidywać, że wtedy, gdy przestała mieścić się w ulubione spodnie, gdy trudno jej było zawiązać buty czy bez zadyszki wejść po schodach na drugie piętro. Czy może wtedy, gdy nie mogła znaleźć chłopaka, gdy ludzie oglądali się za nią na ulicy, lub gdy lekarze

bili na alarm, że jej organizm nie wytrzyma kolejnych kilogramów?

Nie, nie, ale zdołała opanować ten wilczy głód wtedy, gdy zdała sobie sprawę z tego, że ten niepohamowany żadnymi metodami apetyt przynosi szkodę nie tylko jej, ale jak to określiła – całemu światu.

Na moją zdumioną minę odpowiedziała: „Wiem, że całego świata nie zbawię ani nie nakarmię. Ale gdybym przez te lata obżarstwa przekazała chociaż część wydanych, zwłaszcza na łakocie, pieniędzy głodnym dzieciom, to może uratowałabym przynajmniej jedno od strasznej głodowej śmierci. Bardzo poruszył mnie film dokumentalny

z Sudanu, dzieci – szkielety umierające wprost na ziemi. I wiem, że sytuacja demograficzna w tym i innych krajach nie zależy ode mnie, ale jeżeli mogę pomóc chociaż w niewielkim zakresie, to to zrobię. Właśnie tak"!

Gdy Ewa skończyła mówić, do mikrofonu podeszła nieznana mi dziewczyna i powiedziała:

– To ja jestem ta Agata! Odważyłam się tu przyjść, żeby pokazać państwu, że rzeczywiście zerwałam już z tą przesadą w jedzeniu i odzyskałam normalną sylwetkę. Na filmie to nie są jakieś komputerowe sztuczki morfowania obrazu czy też coś podobnego.

A przy wyjściu z sali, na stoliku rozłożyłam karteczki z numerami kont kilku szpitali na misjach, w których siostry zakonne opiekują się, jak mogą, miejscową ludnością. Ale środki mają ograniczone, dlatego każda złotówka jest dla nich dużą pomocą. Może i ktoś z państwa mógłby wspomóc to dzieło?

P.S. Po projekcji filmu Ewy ze stolika zniknęło sporo karteczek…

Trzecią nagrodę otrzymał Janusz za film „Nieokiełznane emocje". W słowie wstępnym, które jak było widać gołym okiem, przychodziło mu z wielkim trudem powiedział, że bardzo liczył na obecność swojego bohatera, Roberta, i to on miał opowiedzieć o sobie. Ale nie dostał przepustki z więzienia.

– Robert siedzi od dwóch lat, a przed nim jeszcze dwadzieścia za kratkami i nie ma szans na przedterminowe zwolnienie. Jego mail poruszył mnie do głębi – Janusz cały czas walczył z drżeniem głosu. – Sam mam problemy z emocjami, dopada mnie niepohamowany strach, np. przy wystąpieniach publicznych czy w tłumie. Cierpię wtedy strasznie, ale nie wpływa to na innych. Nie powoduje powszechnego zła! Ale emocje Roberta działały wprost przeciwnie. Był agresywny,

gniewał się, złościł – jak tylko pamięta. W domu, w szkole, na podwórku trudno było z nim wytrzymać, bo objawiały się jego niepohamowane emocje, zupełnie nad nimi nie panował! Rozdawał kuksańce na prawo i lewo, ciągnął dziewczyny za włosy, łamał gałęzie krzewów rosnących wokół szkoły, widziano go jak kopał psa, wywoływał liczne awantury, często bez powodu. Psycholog szkolny po obserwacji Roberta i po szeregu specjalistycznych testów określił jego charakter jako: porywczy, wybuchowy, choleryczny, gwałtowny, nieobliczalny. Tu następował szereg profesjonalnych opinii i co ważne – próba diagnozy oraz sugestie przyczyn takiego stanu rzeczy. Rodzice Roberta szukali pomocy u wielu specjalistów, ale syn był „coraz gorszy". Zamykał się w sobie po każdej takiej konsultacji, a jego agresja wybuchała w najmniej odpowiednim momencie. Nie pomagały żadne lekarstwa ani mieszanki ziołowe.

Trochę spokoju było tylko wtedy, gdy siedział przy komputerze. Tato kupił mu najlepszy, multimedialny sprzęt komputerowy o super rozdzielczości i wielu praktycznych gadżetach, których wszyscy mu zazdrościli. Mówił bowiem, że pomagają mu w nauce, bo potrzebuje encyklopedii i e-booków multimedialnych do kilku przedmiotów, nawet do

wychowania muzycznego. Rodzice nie sprawdzali, co tak naprawdę robił, siedząc godzinami w swoim pokoju w specjalnym hełmie i okularach. Nie chcieli mu przeszkadzać, powodować kolejnych awantur, a zresztą – jak mówili – nie znali się na komputerach. A Robert nałogowo oglądał filmy i pasjonował się grami komputerowymi! I to takimi, w których chciał wyładować rozpierającą go agresję, złość, gniew czy też niespełnione pragnienia. Gry „rosły" razem z nim. Najpierw cieszył się z tego, że dzięki jego sprytowi żołnierzyk coraz dłużej trzepocze się w agonii, potem po mistrzowsku przechodził przez wszystkie poziomy popularnych

strzelanek. Wybierał głównie gry typu „bij-zabij" i poznawał arkadia morderstw i zabójstw, wypróbował wszystkie narzędzia zbrodni, począwszy od pięści, noża i rewolweru, a skończywszy na działkach atomowych.

Nie wiedział, że agresja ma to do siebie, że wcale nie wyładowuje się „na żądanie", ale wręcz przeciwnie, jej spirala nakręca się i puszcza w ruch, niekoniecznie przed komputerem. Gdy dorastał, do jego zabójczych pragnień dołączyły się jeszcze pragnienia seksualne. Próbował poznać jakąś dziewczynę, koledzy mieli już dawno swoje sympatie. Ale z Robertem „nie dało się wytrzymać" – mówiły potencjalne kandydatki. Niepohamowane negatywne emocje dyskwalifikowały go w ich oczach. Ale od czego jest Internet? Gry pornograficzne i erotyczne były przecież w zasięgu ręki. Robert przyznawał później, że tracił coraz bardziej kontakt z rzeczywistością. Real mieszał mu się z wirtualem. Ale nie mówił o tym jawnie, chociaż testy psychologiczne wychwyciły ten problem już dużo wcześniej. Rodzice nie posłuchali jednak rady doświadczonego psychiatry, żeby drastycznie ograniczyć mu czas rozrywki komputerowej. No bo on tak bardzo tego chciał...

I stało się w końcu to, co łatwo można było przewidzieć. Robert wyszedł któregoś wieczoru z domu, napadł na pierwszą spotkaną dziewczynę, zaciągnął ją w krzaki w pobliskim parku, brutalnie zgwałcił, a potem udusił – tak jak w grach, jak w filmach, można by powiedzieć. Ale to zdarzyło się naprawdę, w realu!

Po aresztowaniu został poddany badaniom przez psychiatrów biegłych sądowych, którzy stwierdzili, że jego niekontrolowane emocje, praktycznie bez hamulców, mają swoje źródło w „komputerowej przeszłości", bo uparcie tłuma-

czył: „Myślałem, że ta laska ożyje, przecież można mieć x żyć, prawda”?

Otóż, nieprawda! Katarzyna Z. nie ożyła, a konsekwencje tego czynu będzie Robert ponosił przez wiele, wiele lat! Ostatnio na widzeniu, jak z nim rozmawiałem, zacytował słowa, które go bardzo dotknęły z powodu jego niepohamowania: „Nie można zatrzymać żadnego dnia, ale można go nie stracić! Gdybym pamiętał, że miłość nie dopuszcza się bezwstydu – ani w realu, ani w wirtualnym świecie. Gdybym mógł cofnąć czas”!

No i taki mógłby być finał – egzaminy dyplomowe zdane, nagrody dla trzech wyróżnionych osób – wręczone. Ale absolwenci Wyższej Szkoły Filmowej tego rocznika i zaproszeni na uroczystą galę goście z pewnością długo będą pamiętać te historie. Sfilmowane życiorysy niepohamowanych bohaterów być może uratują niejednego widza przed wdepnięciem w podobne, niebezpieczne bagno. Oby tak się stało!

II

Zło wyrządzane sobie
promieniuje też na innych.
A informacje o tym
wciąż są w medialnych rankingach
na czołowych miejscach.
Dzielmy się informacją, a nie złem.

wg Moniki Mikołajewskiej

Zamek na piasku, czyli ja wiem lepiej niż mama i tata

Nieposłuszeństwo rodzicom
oznacza odwrócenie się do Boga plecami.

św. Jan Paweł II)

Wczoraj odbył się w Warszawie pogrzeb znanej aktorki, Klaudii Z. Tłumnie przybyli na to ostatnie pożegnanie wielbiciele jej talentu, wyrażając wielki żal, że zmarła przedwcześnie, bo przecież kariera stała przed nią otworem. Wspominano liczne role teatralne i filmowe, jakie wspaniale kreowała od początku swojej artystycznej drogi. Mogiłę pokryły piękne wieńce i wiązanki kwiatów, a niezliczone znicze oświetliły jasną łuną uczestników uroczystości pogrzebowej Klaudii Z.

Nie byłam na pogrzebie Klaudii Z. i specjalnie nie interesowałam się jej karierą artystyczną. Czytając tę notatkę przypomniałam sobie, że parę

lat temu widziałam ją w jakimś filmie, w którym Klaudia Z. grała matkę czterech synów. Pomyślałam wtedy, że nie chciałabym być taką matką – oschłą, wymagającą, niemal groźną, której synowie bali się i chyba jej nie kochali. Zresztą i ona nie okazywała swoich uczuć. Nie przytulała dzieci, nie uśmiechała się do nich, tylko z kamienną twarzą wydawała polecenia.

Nie mogłam sobie przypomnieć tytułu tego filmu i tak mnie to męczyło, że wrzuciłam w Google hasło: „Klaudia Z". Bez problemu znalazłam poszukiwany film („Helga, czyli dzieciństwo bez serca") i idąc za ciosem, poczytałam kilka wywiadów z aktorką po jego premierze. Filmowa Helga opowiadała, jak przygotowywała się do tej roli, jak analizowała powody takiej postawy filmowej „zimnej" matki. Przyznała, że była to dla niej trudna rola, bo jej mama była diametralnie różna…

Obejrzałam fragment tego filmu, dziękując Bogu, że i moja matka nie była podobna do tytułowej Helgi. Przejrzałam też kilka innych fotek i komentarzy dotyczących ról teatralnych Klaudii, i zauważyłam, jak w ciągu ostatniego roku zmienił się wyraz jej twarzy. Jej piękne oczy były coraz bardziej smutne, nawet na fotosach z przedstawienia komediowego. Nie zmylił mnie sztuczny, teatralny uśmiech, który jako wybitna aktorka zdołała ukazać na swojej twarzy. Oczy są zwierciadłem duszy, bardzo trudno je zafałszować. Idąc tym tropem, przejrzałam kilka nagrań wywiadów Klaudią i wyraźnie było na nich widać, że grała także poza sceną i poza planem filmowym. Nie była szczera. Dlaczego? Co działo się w jej sercu? Czy to zwykła poza celebrytów? Czy jej przedwczesna śmierć ma jakiś związek ze smutkiem widocznym w jej oczach?

Jestem psychologiem i z czystej zawodowej ciekawości zaczęłam drążyć ten temat. Przeczytałam i odsłuchałam kolejne wywiady i wypowiedzi Klaudii, które miały miejsce przy różnych okazjach na przestrzeni ostatnich piętnastu lat. Obejrzałam setki zdjęć. Dotarłam nawet do jej dalekiej krewnej i poprosiłam o udostępnienie rodzinnych albumów. Nie było to łatwe, bo już oglądając nagrania z pogrzebu zauważyłam, że bezpośrednio przy trumnie nie było widać żadnej rodziny w żałobie. W pewnej odległości stali koledzy aktorzy, reżyserzy i inni współpracownicy, może też znajomi czy sąsiedzi, no i oczywiście wielu sympatyków jej talentu aktorskiego. Czy Klaudia była osobą samotną, samotną aż do bólu, który było widać w jej oczach?

Pani Łucja, ciocia Klaudii, zgodziła się na spotkanie ze mną z wielkimi oporami. Wymawiała się tym, że właściwie nie miała kontaktu z Klaudią przez ostatnie lata, a i wcześniej ich stosunki rodzinne były bardzo luźne. Ale powiedziała, że jeżeli tak proszę o rozmowę, to będzie ona możliwa dopiero za miesiąc, bo właśnie wybiera się do sanatorium. Umówiłyśmy się na telefon, gdy wróci do domu.

Zajęłam się więc innymi sprawami, bo po tym ślęczeniu w Internecie narobiłam sobie różnych zaległości. Jakież było moje zdziwienie, gdy telefon od pani Łucji odezwał się już po dziesięciu dniach. Po jej głosie poznałam, że jest bardzo wzburzona i podniecona zarazem. Powiedziała tylko, że sytuacja się zmieniła, ale nie jest to sprawa na telefon, więc byłoby najlepiej, gdybym przyjechała do niej, do Ciechocinka.

Zostawiłam wszystko, pozmieniałam umówione terminy spotkań i terapii, i już następnego dnia siedziałyśmy w przytulnej kawiarence. Po przedstawieniu się i kilku zdawkowych słowach z obu stron, pani Łucja wyjęła z torby pokaźny pakiet w szarej kopercie oraz pendrive'a, którego z namaszczeniem położyła obok mojego talerzyka z szarlotką.

Okazało się, że te materiały otrzymała w formie przesyłki pocztowej na adres domowy, ale sąsiadka, która w czasie jej nieobecności dogląda mieszkania, przesłała je do Ciechocinka, gdy zobaczyła, że nadawcą jest Klaudia Z. Przejęta, zadzwoniła do pani Łucji, mówiąc drżącym głosem, że wkrótce dotrze do niej przesyłka z zaświatów! Sytuacja z pakietem wyjaśniła się jednak bardziej realnie, a nie duchowo. Wysłała ją pielęgniarka, która opiekowała się chorą Klaudią – na jej prośbę – w miesiąc po jej pogrzebie.

Z dziwnym uczuciem wzięłam do rąk plik kart i zdjęć od osoby, której nie ma już na tym świecie… Pani Łucja powiedziała, że w przesyłce były jeszcze różne pamiątkowe drobiazgi, ale ta koperta zawierała imienny wykaz osób, które miały je otrzymać. Było tam również trochę biżuterii, kilka książek, kluczyki od samochodu i od apartamentu w Warszawie wraz z dokumentami własności, również z adnotacją, komu Klaudia je przepisuje.

Zdjęcia z dzieciństwa Klaudii i z czasów szkolnych oglądałam z zainteresowaniem: Klaudia z mamą, Klaudia z tatą, z ciocią Łucją, z wujkiem Sławkiem, z kuzynką Marią, z przyjaciółmi…

Gdy już zaczęłam się denerwować, że właściwie nic nowego nie wniosła ta moja wizyta, pani

Łucja podała mi białą teczkę z napisem: „Ciocia Łucja – do rąk własnych". W teczce była duża zielona koperta, a w niej – list do cioci Łucji z prośbą, aby załączony do zielonej koperty tekst potraktować bardzo poważnie. Pani Łucja zaczęła czytać głośno treść listu ze ściśniętym gardłem i łzą w oku:

Kochana ciociu! Już po mojej śmierci i po pogrzebie otrzyma ciocia m.in. ten list. Mam wielką prośbę, aby dotarł on do jak największej liczby osób, zwłaszcza młodych. Jest to mój osobisty testament, który napisałam obok typowego testamentu zabezpieczonego w kancelarii notarialnej (tu następowała informacja o kontakcie do notariusza). Ten tekst można zatytułować np. tak: „Młody człowieku! Czcij ojca swego i matkę swoją, i bądź im posłuszny"!

Gdy dowiedziałam się od lekarzy, że jestem nieuleczalnie chora i że zostało mi już niewiele czasu – trzy, może cztery miesiące, poprosiłam Piotra, kolegę z teatru, aby zawiózł mnie chociaż na parę godzin nad morze. Od dzieciństwa lubiłam spacery brzegiem plaży, zachody słońca, szum fal… Zawsze jeździłam nad morze, gdy musiałam coś przemyśleć, przygotować się psychicznie do nowej roli, podjąć ważną decyzję…

Był piękny, ciepły i słoneczny dzień. Na plaży nie było już takich tłumów jak w sezonie. Piotr zostawił mnie samą i pojechał zatankować paliwo oraz zrobić rozeznanie, gdzie można zjeść smaczny obiad. Cieszyłam się z tego, bo pragnęłam samotności. Usiadłam w opustoszałym koszu, dość daleko od brzegu, przy którym taplała się dwójka dzieci, pewnie jeszcze przedszkolaków, bo to przecież już wrzesień.

Chłopiec i dziewczynka, jak się za chwilę okazało – brat i siostra, z zapałem budowali zamek z piasku. Na wieży powiewała już flaga, chyba z chusteczki na głowę, a fosa z kamieni robiła wra-

żenie, że nikt zamku nie zdobędzie. Wydawało się, że budowla została wykończona, bo młodzi „inżynierowie" z dumą przyglądali się swojemu dziełu. Po chwili podbiegli do sąsiedniego kosza i zaprosili pewnie swoją mamę do obejrzenia zamku. Ale w tej chwili fale gonione coraz szybszym wiatrem, rzuciły się na zmyślną koronkową budowlę i nie został z niej nawet „kamień na kamieniu". Dzieci stały jak wryte, a ja usłyszałem jak matka zawołała: – A nie mówiłam wam, że budujecie zbyt blisko morza i widzicie, co się stało. Dlaczego mnie nie posłuchaliście?

I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zobaczyłam podobny obraz – z sobą w roli głównej! Ja z bratem na plaży w Ustce i mama tuląca nas do serca, wycierająca zapłakane oczy, gdy nasz zamek tak misternie budowany od paru godzin podmyły fale, a zniszczenia dokończyła wycieczka dzieciaków, które idąc plażą, wdeptały budowlę w piach… A tata pobiegł do pobliskiej budki z lodami i przyniósł nam po dwa „Bambino" na patyku – na pociechę, mówiąc: – Pewnie już zapamiętacie, że warto słuchać rodziców. Bo przecież on nas ostrzegał, że to się może tak skończyć, bo fosę, która miała zbierać wodę z nadbiegających fal, wykopaliśmy zbyt płytką…

Tak, miałam kochanych, opiekuńczych rodziców. Do dzisiaj pamiętam smak tamtych lodów, ale niestety nie zapamiętałam, że rady rodziców bywają bardzo cenne, a nieposłuszeństwo im może spowodować życiową katastrofę i własne życie legnie w gruzach, tak jak ten zamek z piasku… O Boże, gdybym mogła cofnąć czas!

Potężny atak kaszlu przerwał moje wspomnienia w bardzo brutalny sposób. No tak, leki, które brałam jeszcze w samochodzie, przestały działać i minie teraz kilkadziesiąt minut, zanim następna dawka, którą wyszarpnęłam z torebki, uśmierzy ten przeraźliwy ból. Ale wykonałam chyba zbyt

nerwowy ruch, bo tabletki wypadły mi z ręki i rozsypały się po piasku. Chcąc je podnieść, zachwiałam się i upadłam z jękiem jak długa. „Sąsiadka" z plażowego kosza przerwała naprawę piaskowej fortecy, którą z dziećmi odbudowywała cierpliwie i podbiegła do mnie, pomogła mi wstać i usiąść w koszu. Z troską pytała, jak może mi jeszcze pomóc, co się stało, i długo szukała w piasku zagubionych tabletek, a gdy zobaczyła, że odpluwam krwią, chciała natychmiast dzwonić po karetkę. Powstrzymałam ją, mówiąc z trudem:

– Proszę pani, ja umieram na raka płuc! Nic i nikt mi już nie może pomóc. I mogę pani z całą świadomością powiedzieć, że umieram na własne żądanie.

– Jak to – wykrzyknęła z przerażeniem moja „pielęgniarka" – to te tabletki, które pani odszukałam w piasku, połknęła pani, żeby popełnić samobójstwo?

– Nie – powiedziałam uspokajającym tonem – jestem w ostatnim stadium choroby. A na dowód swoich słów uchyliłam torebkę i pokazałam zakrwawione chusteczki. – Moje płuca są całe w guzach, mam też liczne przerzuty. Ale mogę mieć o to pretensje tylko do siebie, bo mimo przestróg i zakazów rodziców palę papierosy od wielu

lat. Nawet teraz, gdy wiem, jakiego spustoszenia dokonały w moim organizmie.

– No właśnie, widziałam w pani torebce paczkę papierosów, ale nie skojarzyłam ich z pani chorobą. To straszne, co pani mówi. U nas w domu nikt nie pali, dzieciaki są na to jeszcze za małe…

– O nie – przerwałam – niech pani będzie czujna. Ja zapaliłam pierwszego papierosa, gdy miałam jedenaście lat. Trochę z ciekawości, trochę z dziewczęcego zauroczenia starszym kolegą, który podpalał na każdej przerwie w krzakach na tyłach szkoły. Papierosy wcale mi nie smakowały, wolałabym, żeby Jurek poczęstował mnie czekoladą lub „krówką", ale czego się nie robi „z miłości"!

Wtedy były to jeszcze sporadyczne „dymki", ale w miarę upływu lat nałóg brał mnie coraz mocniej w swoje szpony. Gdy mama któregoś dnia odkryła w kieszeni mojej kurtki, którą chciała wrzucić do pralki, paczkę papierosów, skończyły się tłumaczenia, że pachnę dymem, bo w tramwaju stałam obok palacza, że kurtka przeszła tym smrodem, bo pali pani szatniarka w gimnazjum. Rodzice błagali, zakazywali, spokojnie tłumaczyli, ale ja byłam nieposłuszna. Nawet wtedy, gdy ojciec, który był lekarzem pulmonologiem, zabrał mnie na oddział i pokazał chorych, umierających na nowotwory płuc, a także zdjęcia, na których było widać wyraźnie chorobowe zmiany, powstałe w przeważających przypadkach u nałogowych palaczy. Nie przestałam palić nawet wtedy, gdy ksiądz na katechezie mówił – cytując Biblię, że mały Jezus był posłuszny swoim rodzicom, gdy mieszkali jeszcze razem w Nazarecie. Owszem, próbowałam przestać palić, śmiałam się z kawału, że „rzucanie palenia jest bardzo proste, robiłam to wiele razy"! Nawet przyrzekłam to mamie, gdy umierała, ale nie dotrzymałam danego słowa.

– O, proszę pani, widziałam kiedyś taki film, bardzo się wzruszyłam na tej scenie… Ale czy mogę zapytać? Pani wydaje mi się jakaś znajoma, czy pani jest…?

– Tak, grałam główną rolę w tym filmie, a tę scenę reżyser dodał na moją prośbę… A tak w ogóle, to z wydarzeń mojego życia można by nakręcić niejeden film. Bez żadnych dodatków do fabuły…

W tej chwili zadzwoniła komórka, na jej dźwięk przybiegły dzieciaki, wołając: – Tata dzwoni, tata wrócił!

– Tak, mąż już po nas jedzie, musimy się zbierać. A może pani zabierze się z nami?

Powiedziałam, że czekam na znajomego i też wkrótce wracamy do Warszawy. Pożegnałyśmy się serdecznie, unikając zwrotu „do zobaczenia"…

Chyba zdrzemnęłam się trochę, bo ze snu wyrwał mnie nagle płacz dziecka. Półprzytomnie rozglądałam się wokoło – plażowiczów znacznie przybyło, a między grajdołkami i parasolami biegała mała, może trzyletnia, dziewczynka w czerwonej chusteczce w białe groszki, płacząc i wołając rozpaczliwie: – Mama! Mama! O dziwo – nikt w pobliżu nie reagował – tu grało radio, tu młoda para całowała się namiętnie, tam jacyś faceci pili piwo i grali w karty…

Zebrałam resztki sił i podeszłam do małej, która przytuliła się do mnie i dalej zanosiła się

płaczem. Czułam wielką rozpacz drgającego od łkania małego ciałka… I w tym momencie, jak w filmowym kadrze zobaczyłam gabinet w ekskluzywnej klinice ginekologicznej, siebie w roli „pacjentki" i usłyszałam znów słowa pielęgniarki, których nie zapomniałam przez całe życie: – Doktorze, płód się rusza i drży w wiaderku, co mam zrobić? Chciałam zawołać: ratujcie moje dziecko!, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Ruszyłam tylko głową, co musiał zauważyć lekarz i krzyknął do pielęgniarki: Jak to, co robić? To, co zwykle, wyrzuć je do worka, i to szybko, bo pacjentka mi się wybudza, a jeszcze nie skończyłem. To przecież ta znana aktorka, jak będą powikłania i to się rozejdzie do mediów, to pójdziemy z torbami!

Dalsze słowa „lekarza" rozpłynęły się we mgle, widocznie dostałam dodatkową porcję znieczulenia. Pomimo uprzednich zapewnień, że po „zabiegu" szybko wyjdę do domu i będę się dobrze czuła, było ze mną źle. Bałam się wrócić do swojej rezydencji, w której nikt na mnie nie czekał. Byłam już dorosłą kobietą, znaną i lubianą aktorką, ale wtedy zadzwoniłam do mamy i zapytałam ze łzami, czy mogę trochę pomieszkać z nimi. Mama wiedziała, że byłam w ciąży i chyba natychmiast domyśliła się, co się stało. Powiedziała tylko: – Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy, ojciec zaraz po ciebie przyjedzie. I już w ciągu godziny byłam w „swoim" pokoju. Rodzice o nic nie pytali, mama zrobiła mi naleśniki z dżemem brzoskwiniowym i właśnie gdy je zobaczyłam, zaczęłam przeraźliwie płakać i długo nie mogłam się uspokoić. Przytulona do mamy, jak za dawnych lat, wykrzyczałam cały swój ból, żal i tęsknotę za moją małą córeczką, którą zabiłam, której już nie przytulę, tak jak mama teraz mnie kołysze…

Gdybym jej usłuchała, gdybym ucieszyła się z jej radości, że zostanie babcią, przyjęła obietnicę pomocy, ale ja przecież byłam już dorosła, nie musiałam być posłuszna rodzicom. Wolałam robić karierę, a nie siedzieć w pieluchach i zupkach… Za to moje nieposłuszeństwo cierpiałam wiele lat. Podobno – zdaniem krytyków filmowych – byłam bardzo przekonująca, grając rolę kobiety z zespołem proaborcyjnym…

– Agusiu, Agusiu, gdzie jesteś? – rozległo się wołanie tuż obok mojego kosza, w którym tuliła się do mnie mała „uciekinierka". Gdy usłyszała znajomy głos, natychmiast oderwała rączki ode mnie i z radością rzuciła się w ramiona matki.

– Oddaję pani największy skarb – powiedziałam ze ściśniętym gardłem.

– No tak, Agusia to takie nieposłuszne dziecko, tyle razy jej mówiłam, że ma się nie ruszać z naszego koca. Poszłam tylko na moment do toalety, a ona już powędrowała przed siebie. Bogu dzięki, że pani zareagowała na jej płacz, bardzo, bardzo dziękuję.

– Córka zapamięta ten incydent na całe życie – stwierdziłam z pewnością. – Agusiu, trzeba słuchać mamy, pamiętaj o tym.

Mała pokiwała mi chusteczką, która zsunęła się z jej główki i trzymając się mamy, pomaszerowała szczęśliwa i radosna.

Jakim dzieckiem byłaby moja córeczka? Czy byłaby podobna do Agusi? O czym ja myślę, przecież teraz byłaby już dorosła…

– Co się tak zamyśliłaś, Klaudio – Piotr wyrósł przede mną nagle, jak zjawa z innego świata. – Czy wszystko w porządku? Brałaś leki? Znalazłem przytulny lokal, gdzie możemy coś przekąsić przed drogą powrotną. Chyba już pójdziemy, dobrze? Siedziałaś na słońcu dostatecznie długo!

Z żalem spojrzałam ostatni raz na morski horyzont, tam, gdzie niebo dotyka morza, a do torby schowałam dwa kamyczki i muszelkę. To już moja tradycja, bo z każdego wyjazdu przywoziłam takie pamiątki.

W milczeniu siedzieliśmy przy stole, czekając na posiłek. Klientów było sporo, jedyny wolny stolik stał przy ścianie, na której wisiał ogromny panel telewizyjny. Leciał na nim jakiś film. Automatycznie zaczęłam śledzić akcję, żeby odreagować wspomnienia i po chwili zamarłam. Był to film sprzed lat, w którym grałam jedną z głównych ról – młodej dziewczyny, Emmy, zmagającej się z chorobą nowotworową. W ostatniej scenie Emma przegrywa walkę i umiera.

Siedziałam jak skamieniała, wołając w myślach: „Boże, i tego mi dzisiaj nie oszczędziłeś”? Piotr zorientował się po chwili, że film mnie poruszył, nie spostrzegł jednak, że to ja – kilkadziesiąt lat młodsza – patrzę na niego z ekranu. Wziął mnie za rękę, wzorując się na filmowym kadrze, w którym czarnoskóry lekarz trzyma dłoń umierającej Emmy.

Ale Piotr mylił się. Śmierć bohaterki przyjęłam spokojnie, bo pogodziłam się już ze swoją, nieuchronnie nadchodzącą „tą chwilą”. Moje myśli powędrowały za ocean, bo kręcono ten film w Los Angeles. Pojechałam tam na próbne zdjęcia, nie mając jeszcze osiemnastu lat. Brakowało mi niewiele, ale… Byłam dumna, że właśnie mnie z całej szkoły zaprosił reżyser o znanym i w Polsce nazwi-

sku. Ja miałam już za sobą kilka niewielkich ról w filmach dla młodzieży, podobno reżyser widział któryś z nich. Zachwyciły go moje oczy i talent, pomimo tego, że nie byłam jeszcze zawodową aktorką.

Rodzice sprzeciwiali się temu wyjazdowi, prosili reżysera, żeby znalazł sobie inną dziewczynę, że jestem za młoda, że na taką panienkę jak ja czyha wiele niebezpieczeństw. Ponieważ musiałam mieć pisemną zgodę rodziców na ten wyjazd, sprawa wyglądała na przegraną. Ale reżyser nie takie sprawy załatwiał. Jego ludzie mieli wszędzie znajomości, „zorganizował" więc dla mnie fałszywy dowód osobisty, kupił bilet na samolot, zamówił taksówkę na lotnisko…

Moje nieposłuszeństwo rodzicom „zaowocowało" wieloma problemami, o których nie mam już siły pisać, ale przede wszystkim romansem z czarnoskórym, przystojnym Johnem (lekarzem Emmy). Był to romans trochę wymuszony szantażem: „będziesz ze mną, będą kolejne role"! Po dwóch miesiącach tej znajomości filmowo-prywatnej okazało się, że jestem w ciąży. Reżyser był wściekły, ale w końcu zmieniono nieco scenariusz i dokończyłam film zgodnie z umową. Parę dni później urodziłam czarnoskórego syna. John przyjął go z radością, dał mu nazwisko, chociaż nie mieliśmy ślubu, a ja nic nikomu nie mówiąc, wróciłam do Polski, już dorosła, mająca prawo podejmowania samodzielnych decyzji.

Zdałam do szkoły filmowej, pochłonęły mnie studia, potem praca w teatrze, filmie…, ale w moim sercu została tęsknota za synem, z którym nie miałam żadnego kontaktu. Ustaliliśmy z Johnem, że to będzie najlepsze rozwiązanie. Było może dobre, gdy Edward był mały, ale gdy dorósł, przypadkiem dowiedział się, że kobieta, która mieszkała z jego ojcem, nie może mieć dzieci. Wtedy John wyjawił mu całą prawdę i Edward natychmiast przyleciał do Warszawy, znalazł kontakt do mnie w Internecie i poprosił o spotkanie. Moja mama już wtedy nie żyła, ojca wtajemniczyłam przez telefon w fakt, że ma wnuka. Bałam się rozmowy twarzą w twarz. Zaprosiłam jednak ich obu do swojej rezydencji na kolację. Ojciec na nią nie dojechał, wysiadło mu serce i za trzy dni stałam z Edwardem nad jego grobem.

Tak więc mogę powiedzieć, że zabiłam ojca, a syna nie zdołałam pokochać, był dla mnie obcym człowiekiem... Kolejne tragedie dotykały więc mnie również jako skutek nieposłuszeństwa rodzicom przed wielu laty. Niedawno dowiedziałam się,

że Edward też nie żyje – zginął tragicznie w wypadku samochodowym, pędząc z niedozwoloną prędkością i zabijając pięć osób. A gdybym wtedy nie pojechała za ocean…

Na tym tekst „testamentu" Klaudii się urywa. Dopięta była do niego jeszcze niewielka kartka z luźnymi notatkami dotyczącymi różnych skutków nieposłuszeństwa rodzicom. Pani Łucja zdołała odczytać kilka z nich:

– nie nosiłam rękawiczek – reumatyzm zdeformował mi dłonie,

– nie nosiłam szalika – do dzisiaj mam problemy z gardłem,

– Wojtek (brat Klaudii, dodała pani Łucja) *– brak badań lekarskich – wylew,*

– nie dosypiałam – nerwica, depresja,

– spotykałam się wbrew woli rodziców z Krzysztofem – a on okradł nasz dom…

U dołu kartki była też zapisana taka piękna myśl: *„Ludzie są jak kwiaty, stworzeni po to, aby się rozwijać pod opieką rodziców". To chyba moje ostatnie zdanie. Nie mam już siły, by pisać dalej. Po* czym następował podpis Klaudii i data – dokładnie trzy dni przed jej śmiercią! Nic więcej nie zdołałyśmy odcyfrować…

Przejęte do głębi, siedziałyśmy długo w zadumie i rozważałyśmy, w jaki sposób spełnić wolę śp. Klaudii. Zauważyłam też coś bardzo istotnego w jej zapiskach – kochający rodzice nigdy nie unosili się gniewem. Cokolwiek by się działo.

P.S. „Testament", a właściwie świadectwo Klaudii ukazało się w Internecie, na jej stronie, na Facebooku, na różnych forach i wciąż ma bardzo dużo tzw. odwiedzin.

Wydrukował ten tekst również wiodący magazyn dla kobiet, wiele tygodników i dzienników. Były też wyemitowane programy telewizyjne i radiowe, w których zaprezentowano tekst Klaudii, a następnie dyskutowano na ten temat w gronie różnych specjalistów. Przesłanie Klaudii zatacza coraz szersze kręgi i wiem, że przynosi dobre owoce.

Brak serca, czyli śmierć

Bez serca jak wiecie,
trudno żyć na świecie.

Bolesław Paszkowski

Marta, Marta, chodź prędko. W „Kronice" będą coś mówić o naszym bloku. Pokazywali go w zajawce programu. Może w końcu doczekamy się kapitalnego remontu lub zlikwidują ten przylegający do nas kiosk, a może im chodzi o tę kobietę z siódmego piętra, która karmi gołębie? – wołał mój mąż na cały głos. Paweł jest członkiem rady osiedla, więc orientuje się w problemach mieszkańców.

– Cicho bądź, bo nie usłyszymy co mówią! – burknęłam zła, że wciąga mnie w te problemy i odrywa od garów. No przecież kiedyś muszę coś zrobić w tej kuchni! Zwłaszcza po dwutygodniowym urlopie, z którego właśnie wróciliśmy!

Przysiadłam jednak na chwilę, bo gdybym nie przyszła do pokoju, byłaby niechybnie awantura na całego. Spikerka kończyła temat zmian w komunikacji tramwajowej w związku z poważną awarią sieci wodociągowej, ale na szczęście w odległej od nas dzielnicy, i na ekranie zobaczyliśmy rzeczywiście nasz dom – wielki, jedenastopiętrowy blok, tzw. mrówkowiec, wejście akurat do naszej klatki schodowej i tłumek gapiów wpatrujących się w zajeżdżający karawan – czarny, długi samochód jednej z firm pogrzebowych. Obok stał już policyjny radiowóz, a grupka dzieciaków ciekawie zaglądała do otwartej karetki pogotowia, która zresztą zaraz odjechała.

Aby zbyt długo nie trzymać widzów w niepewności, spikerka odczytała komentarz do pokazywanych obrazów:

Wczoraj w mieszkaniu jednego z bloków na Osiedlu Zdrojowym, policja znalazła zwłoki 88-letniej Zuzanny K. Według wstępnej opinii lekarza, kobieta zmarła około dziewięciu dni temu. Nic nie wskazuje na udział osób trzecich. Zuzanna K. mieszkała samotnie i ze znalezionych w mieszkaniu lekarstw wynika, że chorowała na serce i na nadciśnienie. Przy-

czyny zgonu wyjaśni sekcja. Do sprawy wrócimy za tydzień w programie „Co się u nas dzieje". Zapraszamy.

Obejrzeliśmy jeszcze prognozę pogody kończącą „Kronikę", ale na następny program nie mieliśmy jakoś ochoty.

– Paweł, ta babcia mieszkała w naszej klatce, głupio jakoś tak wyszło, prawda? Czy ty ją znałeś? Bo ja jakoś nie kojarzę. Zresztą, przecież nad nami mieszka kilkadziesiąt osób, pod nami drugie tyle. Nie sposób wszystkich znać. Zresztą my w tym mieszkaniu właściwie tylko śpimy, prawda? Na weekendy najczęściej wyjeżdżamy. Kto tu zna sąsiadów, no może jacyś emeryci, którzy z braku innego zajęcia wyglądają przez cały dzień przez okno. Ten dziadek z parteru to nawet poduszkę sobie położył na parapecie. Kiedyś wypadła na trawnik, więc mu podałam.

– Nie tłumacz się tak – odezwał się Paweł zniecierpliwionym głosem. – Ja wiem, o kogo chodzi, byłem w mieszkaniu tej kobiety chyba jakieś pięć lat temu, bo do rady osiedla wpłynął jej wniosek o zrobienie przy drzwiach wejściowych podjazdu dla wózka inwalidzkiego. Nic z tego nie wyszło, ekspert budowlany stwierdził, że „się nie da". I tak lokatorka została uwięziona w mieszkaniu, no ale cóż na to poradzić?

– Widziałam kobietę o kulach, szła kiedyś po schodach do wejścia z wielkim trudem, to chyba była ta osoba.

Następnego dnia rano w pobliskim warzywniaku klienci rozmawiali tylko o tej tragedii. Dowiedziałam się, że była to emerytowana farmaceutka, która przez wiele lat prowadziła pobliską aptekę. My mieszkamy tu od dziesięciu lat, to w aptece już ktoś inny pracował w tym czasie

– A kto dał służbom znać, że ta pani nie żyje? – zapytałam sprzedawczynię. I aż nogi się pode mną ugięły, gdy usłyszałam, że zrobili to sąsiedzi z piętra, bo fetor był taki, że nie dało się wytrzy-

mać! Zanim zlokalizowano miejsce, z którego rozchodził się ten smród, wezwano specjalistów z zakładu dezynfekcji i deratyzacji, bo ktoś zobaczył w piwnicy dwa zdechłe szczury. Ale to nie pomogło.

– A pani nic nie czuła? – zdziwił się jeden z klientów, też „nasz" sąsiad.

Wyjaśniłam, że byliśmy w tym czasie z mężem na wakacjach i prędko wybiegłam z kiosku, nie kupując nawet zaplanowanych warzyw.

Słyszałam już kilkakrotnie o takich sytuacjach, ale żeby to zdarzyło się w naszym domu?! Boże! Jaka straszna śmierć – w takiej całkowitej samotności! Okropne! Dlaczego tak się stało? Muszę obejrzeć zapowiedziany program w TV.

Tego dnia, gdy emitowano program o śmierci Zuzanny K., mąż musiał zostać dłużej w pracy, więc włączyłam nagrywarkę, żeby też mógł to obejrzeć. Z przejęciem wpatrywałam się w ekran… Redaktorka prowadząca ten program najpierw przypomniała fakty, znane już wielu telewidzom, dodała, że sekcja potwierdziła śmierć z przyczyn naturalnych, bo była to niewydolność serca, a następnie pokazano kilka wywiadów z sąsiadami zmarłej Zuzanny. Redaktorka zaznaczyła, że większość osób, które poprosiła o krótką wypowiedź przed kamerą w tej trudnej sprawie, odmówiła tłumacząc się, a to brakiem czasu, a to ubiorem nie nadającym się przed kamerę, a to nieznajomością sytuacji. Dwie osoby rozpłakały się i stwierdziły, że nie są w stanie rozmawiać, bo czują się współwinne śmierci pani Zuzanny, ale powodów swoich wyrzutów sumienia nie podały, a trzy starsze panie obiecały, że pomodlą się w intencji zmarłej, nie chciały pokazywać jednak swoich twarzy.

Pani redaktor udało się namówić kilka osób z sąsiedztwa zmarłej. Mówiły one o całej tej sytuacji z wyraźnym przejęciem i smutkiem. Kilkakrotnie odtwarzałam sobie ten program i z ich wypowiedzi zapamiętałam pewne ważne fakty i stwierdzenia.

Joanna mieszkająca na tym samym piętrze co zmarła, opowiadała o momencie otwierania drzwi do mieszkania pani Zuzanny i o tym, co widziano wewnątrz:

– Ślusarz w asyście policji sforsował zamki w drzwiach, a natrudził się przy tym porządnie. Do środka oczywiście nikogo obcego nie wpuszczono. Weszła tam najpierw ekipa pogotowia ratunkowego, policjanci, którzy zabezpieczali różne ślady, a następnie pracownicy zakładu po-

grzebowego. Jednym z nich był mój kuzyn pracujący w firmie „Szeol" od dawna, ale jak mi później opowiadał przez telefon, nie widział jeszcze zwłok w takim stanie. No cóż się dziwić, to był przecież lipiec. „Biedna kobieta" – podsumował. Że też nikt nie udzielił jej pomocy, bo lekarz mówił, że mogła z tego wyjść, gdyby na czas trafiła do szpitala. Nikt nic nie wiedział, nikt nic nie słyszał, nikt nie szukał z nią kontaktu, nie przyszedł, nie zaniepokoił się… – straszne!

Joanna mówiła, że przez chwilę zrobiło jej się jakoś „dziwnie", słuchając tego, co mówił kuzyn, ale jej syn krzyknął, żeby się nie przejmowała jakąś starą babą, która prędzej czy później i tak by umarła. – A zresztą każdy ma przecież swoje życie – dodała już ciszej Joanna, jakby wstydząc się tego, że pani Zuzanna już tego życia nie ma…

Kolejna osoba zaprosiła panią redaktor do swojego M3. Powód tej wizyty wkrótce się wyjaśnił. Siedział wprawdzie pod stołem i patrzył nieufnie w oko kamery, ale gdy pani Maria podsunęła mu miseczkę Whiskasu, zamiauczał cichutko i nie zważając na nic, zaczął pochłaniać karmę z entuzjazmem. Na pytające spojrzenie redaktorki, pani Maria powiedziała:

– Tego dnia, gdy zabrano panią Zuzannę, wyszłam po południu na spacer po pobliskim parku. Nie mogłam przestać myśleć o tym, co się stało. Mąż jest w sanatorium, długo opowiadałam mu przez komórkę, siedząc w cieniu na ławce, całą tę smutną historię. Potem Kaziu powiedział parę słów o zabiegach, posiłkach i nowych sanatoryjnych znajomościach. Przy stoliku siedzi z nim kolega z pokoju i starsze małżeństwo, które bez przerwy opowiada o swoim puszystym ulubieńcu, kocie Filemonie. Strasznie się martwią jak ich pupil zniesie trzytygodniową rozłąkę. Teraz mieszka u ich córki, ale ona i zięć cały dzień siedzą w pracy, to Filemonek będzie tęsknić podwójnie. Mąż coś tam jeszcze opowiadał, że jedzenie jest niespodziewanie dobre, ale przerwałam mu, mówiąc że mam teraz coś pilnego do zrobienia.

– Aha, pewnie pieczesz coś dobrego i właśnie dochodzi w piekarniku? No to kończę, pa, pa!

Wyłączyłam telefon i pobiegłam w stronę domu. Uświadomiłam sobie nagle, że i pani Zuzanna miała kotkę, którą bardzo kochała; nieraz wychodziła „na spacer" na korytarz, ale na schody już się nie wypuszczała. Gdzie ona teraz jest? Czy schowała się gdzieś w ciemnym kącie, gdy weszli policjanci, i siedzi tam dalej w zaplombowanym

mieszkaniu? A może udało jej się czmychnąć na klatkę i gdzieś się schowała? Kupiłam po drodze kilka saszetek Whiskasu i rozpoczęłam poszukiwanie, poczynając od piwnicy, piętro po piętrze.

Nelka – piękna, szylkretowa kotka siedziała na wycieraczce „swojego" mieszkania. Nie znam na tyle zwyczajów kotów, ale wygląda na to, że powinnam jej szukać najpierw właśnie tu. Nelka na szczęście dała się wziąć na ręce. Zaniosłam ją do siebie, nakarmiłam, napoiłam. Gdy kotka usnęła, pobiegłam po kuwetę i żwirek, żeby rano nie było niespodzianek pod łóżkiem.

W nocy przyśniła mi się pani Zuzanna tuląca Nelkę, i powiedziała mi tylko jedno słowo: dziękuję!

Nelka przyzwyczaja się do mnie, a ja do niej. Czekamy na Kazia – mam nadzieję, że zaakceptuje naszą nową lokatorkę. Cały czas też myślałam, jak Nelka przeżyła te dziesięć dni w nagrzanym słońcem do granic możliwości mieszkaniu, bez wody i pokarmu. Ale Nelka nie mogła mi przecież o tym opowiedzieć. Pewnie nigdy się tego nie dowiem…

Ale następnego dnia zobaczyłam na klatce schodowej młodego człowieka, który przystawał na półpiętrach i rozglądał się wokoło. To chyba złodziej, pomyślałam ze strachem. Teraz większości ludzi nie ma w domu, a on robi rozeznanie przed włamaniem. Dlaczego nie jedzie zwyczajnie windą? Zebrałam się na odwagę i zapytałam: – Czego pan tu szuka?

– Ach, może pani się orientuje, bo ja jestem ratownikiem medycznym i byłem tu wczoraj z ekipą z pogotowia ratunkowego, w mieszkaniu tej samotnej zmarłej kobiety. Gdy lekarz wypisywał akt zgonu, rozejrzałem się po mieszkaniu i zorientowałem się, że pani Zuzanna miała kota. Widziałem bardzo zabrudzoną kuwetę i rozszar-

paną pustą już torbę od suchej karmy na środku przedpokoju. Miseczka, zapewne od wody, była pusta, ale zauważyłem, że w kuchni kapie z kranu, więc kotek mógł zaspokoić pragnienie. Ale nigdzie go nie znalazłem. Bardzo lubię zwierzęta, ale może pani coś wie, gdzie ten kot teraz jest?

Zrobiło mi się ciepło na sercu, że taki młody chłopak zatroszczył się o kota w pustym już mieszkaniu. Z radością przyjął moje zaproszenie, a Nelka natychmiast zaczęła obcierać się wokół jego nóg i mruczała głośno.

Na zakończenie opowieści pani Marii kamera długo pokazywała śpiącą pod stołem Nelkę. Następnie zobaczyłam stojącą tyłem kobietę, która zgodziła się na wywiad tylko anonimowo. Pani Ewa (imię zmienione) mieszka w pewnej odległości od mieszkania zmarłej, bo w klatce na drugim końcu bloku, ale znała panią Zuzannę stosunkowo dobrze, bo była jej lekarzem rodzinnym. Podczas którejś wizyty domowej, pani Zuzanna zapytała ją, czy mogłaby powierzyć jej klucze do swojego mieszkania. Czuła się już słabo i obawiała się, że może nie mieć siły podejść do drzwi, lub nie usłyszy dzwonka. – Słuch już przecież nie ten – powiedziała ze smutkiem.

Pani Ewa opowiedziała, że nie była zachwycona tym pomysłem i usiłowała nakłonić panią Zuzannę, aby klucze dała komuś z rodziny, może córce, siostrzeńcowi czy młodszej o parę lat kuzynce, ale dowiedziała się, że pani Zuzanna nie ma nikogo takiego. Nie ma żadnej rodziny, jest zupełnie sama. Nie miała rodzeństwa, nie wyszła za mąż, nie ma dzieci ani wnuków. Jej mama też była jedynaczką, a ojciec zmarł, gdy była mała i rodzina z jego strony nie utrzymywała z nimi od lat kontaktu.

– Wtedy zgodziłam się wziąć te klucze – powiedziała pani Ewa – ale przy świadku, przy pani Kasi, która też przyjęła drugi komplet kluczy, bo już pomagała czasem pani Zuzannie w zakupach i nieraz przychodziła z nimi kilkakrotnie, a właścicielka nie otwierała drzwi, bo telewizor był nastawiony na cały regulator i nie słyszała dzwonka ani pukania. Dopiero, gdy zadzwoniła na komórkę, którą pani Zuzanna zawsze miała w kieszeni, mogła wejść do mieszkania.

Od czasu przekazania kluczy moja pacjentka była jakby spokojniejsza. Prosiła nas tylko, żeby ją powiadomić, gdy np. któraś z nas wyjeżdża, bo wtedy będzie wiedziała, że nie może na nią liczyć w jakimś nagłym przypadku.

Wiosną czuła się lepiej, była silniejsza, kilka razy wyszła nawet na kulach do pobliskiego warzywniaka, w kuchni też sobie nieźle radziła. Raz na jakiś czas przychodziła sprzątaczka z firmy porządkowej, żeby ogarnąć mieszkanie i zrobić większe pranie. Od września pani Zuzanna miała przydzieloną opiekunkę z Ośrodka Pomocy Rodzinie, ale stało się to, co się stało.

– To dlaczego żadna z pań nie zareagowała na telefon z prośbą o natychmiastową pomoc, gdy pani Zuzanna poczuła się słabo? – zapytała spontanicznie pani redaktor.

– I na tym właśnie polega moja wina! – pani Ewie załamał się głos i przez dłuższą chwilę zbierała się w sobie. – Wyjechałam na urlop i nie uprzedziłam pani Zuzanny, że mnie nie będzie. Niestety zapomniałam o tym w ferworze przygotowań przed podróżą. A od komórki chciałam odpocząć i nie zaglądałam do niej na bieżąco. Dopiero po paru dniach pobytu na Cyprze, musiałam zadzwonić do siostry w Niemczech i ze zgrozą zobaczyłam, że mam kilka wiadomości głosowych od pani Zuzanny z rozpaczliwym wołaniem o pomoc. Usiłowała dodzwonić się do mnie, marnowała cenny czas, a mogła przecież od razu dzwonić na pogotowie, które nieraz już wchodziło do zamkniętego w mieszkaniu pacjenta, np. przez wybitą szybę w drzwiach balkonowych. Żebym jeszcze te klucze zostawiła komuś innemu na czas wyjazdu, mogłabym do niego zadzwonić i poprosić, żeby sprawdził, co się dzieje. Ale klucze zostały w moim zamkniętym mieszkaniu. Pocieszałam się, że może pani Zuzanna otrzymała pomoc od pani Kasi, ale jej komórka nie odpowiadała, podobnie jak i telefon pani Zuzanny. Gdy po powrocie do Polski w końcu dodzwoniłam się do tej sąsiadki, dowiedziałam się, że pani Zuzanna nie żyje, że też dzwoniła do niej tej tragicznej sobotniej nocy, ale

ona była na weselu u rodziny i do komórki zajrzała dopiero w poniedziałek. Widziała, że wyświetlił się jej numer pani Zuzanny, ale pomyślała sobie, że przecież ja z pewnością lepiej bym pomogła w nagłej potrzebie niż ona. Większe zakupy planowała dopiero pod koniec przyszłego tygodnia i nawet dzwoniła do pani Zuzanny chyba w piątek, żeby zebrać zamówienie, ale ona nie odbierała telefonu… Kupiła więc to, co zwykle sąsiadka zamawiała, ale gdy w następny poniedziałek podeszła pod jej klatkę, właśnie odjeżdżał stamtąd karawan. Wyobrażam sobie, co czuła pani Zuzanna, gdy nie odpowiadałyśmy na jej telefony…

Pani Ewa rozpłakała się na dobre, po czym jakby chcąc się usprawiedliwić, powiedziała:

– Mówiłam pani Zuzannie, że zawsze może do mnie zadzwonić, ale ja nie zawsze odbiorę. Nie lubię być na „informacyjnej smyczy”! Po czym machnęła ręką i dodała:

– Ja przecież po prostu ją zawiodłam, ja ją zabiłam! Okazałam się całkiem nieodpowiedzialna! Tak, muszę to powiedzieć głośno: ja zabiłam panią Zuzannę. Choć pewnie nie ma na to stosownego paragrafu…

Ta wypowiedź pani Ewy byłą dla mnie wstrząsająca. Aż ciarki chodziły mi po plecach!

Potem wysłuchałam jeszcze słów, a właściwie płaczu młodej dziewczyny, studentki, która wynajmowała kawalerkę tuż obok mieszkania pani Zuzanny. Patrycja wyrzucała sobie, że nie zareagowała na powtarzające się przeraźliwe miauczenie kota i drapanie do drzwi. Ale z praktyki z korporacji wracała taka skonana, że wkładała tylko do uszu zatyczki i kładła się spać.

Nie zareagował też na nieobecność lokatorki ani listonosz, który regularnie od paru lat przynosił jej emeryturę, ani pan z elektrowni sprawdzający liczniki prądu, ani pani ze spółdzielni mieszkaniowej, która przyniosła kartkę z informacją o podwyżce czynszu…

– Ja myślałam, że pani Zuzanna jest w szpitalu, bo ostatnio mówiła, że słabo się czuje, że wyjechała do rodziny, bo przecież jest lato, że drzemie, albo słucha radia, i dlatego nie otwiera drzwi…

Następnie redaktor programu pokazała kilka ujęć z pogrzebu pani Zuzanny. Ze zdziwieniem zobaczyłam na nim tłumy. Niektóre twarze były mi znajome, być może z windy czy z pobliskich sklepów. Chyba wszyscy sąsiedzi i klienci apteki, a także grono ciekawskich pojawiło się na tej uroczystości.

Długo przemawiał szef Okręgowej Izby Aptekarskiej, wychwalając zmarłą pod niebiosa. Jakaś kobieta mówiła, że pani Zuzanna zawsze jej dobrze doradzała przy kupnie leków, inna, że była wspaniałą sąsiadką, co prawda przed wielu laty, ale popilnowała jej dziecka, gdy musiała pójść do przychodni, wyprowadziła psa, gdy właściciel – pan Władek z ósmego piętra – zachorował na grypę, podlała kwiaty na balkonie podczas urlopu lokatorów z parteru…

Grób pokryły wieńce i wiązanki kwiatów, kamera pokazała (chyba na ironię!) czarną wstęgę ze złotym napisem: „Drogiej pani Zuzannie – kochający sąsiedzi". Grała orkiestra z pobliskiej szkoły pielęgniarskiej, w której pani Zuzanna miała swego czasu serię wykładów z zakresu farmakologii. Dyrektorka tej szkoły też wygłosiła krótkie, ale płomienne przemówienie. Na końcu ceremonii głos zabrał ksiądz, który rano odprawił mszę świętą za duszę śp. zmarłej przy niemal pustym kościele, bo kamera pokazała tylko parę osób w niej uczestniczących.

Ksiądz w odróżnieniu od swoich przedmówców, nie mówił długo. Prosił o modlitwę za śp. Zuzannę, której, jak przypomniał, serce odmówiło posłuszeństwa.

– Bo bez serca, jak wiecie, trudno żyć na tym świecie – zacytował znaną sentencję. Ale śp. Zuzannie brakowało też „waszego" („naszego" – poprawił zaraz ksiądz) serca. Brakowało wyobraźni miłosierdzia. Brakowało ludzi, zwłaszcza w tych ostatnich, trudnych dla niej latach, dla których byłaby ważna, którzy by o niej pamiętali, myśleli, którzy poświęciliby swój czas. Brakowało jej miłości, która jest łaskawa, tzn. miłości cudownie hojnej, która daje i nie oczekuje niczego w zamian. I dlatego umarła w takiej tragicznej samotności.

Ta wasza (czy nasza) obecność tutaj jest grubo spóźniona… Rozejrzyjcie się jednak wokoło siebie, być może za ścianą ktoś jeszcze na was czeka.

Widziałem na jednym z okazałych wieńców napis: „kochający sąsiedzi". Ale pamiętajcie, że „kochać to znaczy czynić dobro".

Kłopoty, czyli bezmyślność i zuchwałość

Bezmyślność zmusza do myślenia o niej.

Krzysztof Bilica

Hallo, Jolka? No cześć! Jadę teraz do teściowej, no sama wiesz, że nic dobrego mnie tam spotkać nie może, ale kobitka ma problemy z kręgosłupem i mąż nalegał, żebym podjechała i wcierała jej przez cały weekend jakieś mazidło. Podobno z konia – coś okropnego. No, ale jak mus to mus! Przy okazji pochwalę się naszym nowym samochodem – ma zestaw głośnomówiący, który właśnie uruchomiłam po raz pierwszy rozmawiając z tobą – jest super, no nie? Nie ryzykuję już dostania mandatu, bo gdy trzymałam komórkę w ręce, mógł mi się przydarzyć. Ale mam też ekstra radio – i usłyszałam coś, co mnie najpierw wkurzyło, ale gdy zaczęłam o tym myśleć, to chyba coś w tym

jest… O, otwórz radio „NX", właśnie to powtarzają:

Wczoraj w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim zakończyła się międzynarodowa konferencja naukowa na temat „Czy współczesny człowiek jest istotą myślącą?". Dyskutowano o różnych aspektach tytułowego problemu, który wielu osobom wydawał się przynajmniej dziwny. Wnioski z konferencji okazały się jednak istotne i odkrywcze. Najbardziej szokujący z nich dotyczył naszej polskiej społeczności – jesteśmy ludźmi bezmyślnymi w większym stopniu niż inni!

Zainteresowanych tym tematem zapraszamy na program z udziałem uczestników konferencji, który nadamy za dwie godziny, lub do odwiedzenia strony www.uj/k.pl.

– I co o tym myślisz? – Danka odezwała się zaraz, kiedy spikerka skończyła czytać informację o konferencji. Bo ja uważam, że nas, Polaków, tam obrażono! Jak to, my jesteśmy bezmyślni? Nie myślimy? A Kopernik, a Sienkiewicz, a Mickiewicz, a… – Dance prędko skończyły się przykłady na potwierdzenie swojej opinii. – Ale mamy przecież dużo uniwersytetów, różnych akademii, to przecież ci profesorowie chyba myślą, bo za co by im płacili? – Danka próbowała się jakoś ratować.

– To chyba nie o takie myślenie chodzi, ale o bezmyślność! Ja to rozumiem tak, że człowiek bezmyślny to taki, który nie zastanawia się nad niczym, np. gdy ma podjąć jakąś decyzję, nie przewiduje skutków swojego postępowania, jest nieostrożny, wręcz zuchwały i lekkomyślny. Z pewnością znasz kogoś takiego, a może i sama miałaś takie sytuacje w swoim życiu?

Danka już nic nie odpowiedziała, a może znalazła się poza zasięgiem jak to czasem w podróży bywa?

Rozmowa z Danką wyrwała mi ładnych parę minut z życiorysu, a miałam przecież zaraz po śniadaniu jechać po zakupy. Na kolację zaprosiliśmy kilku przyjaciół, bo w tych dniach stuknęło nam dwadzieścia lat od dnia ślubu.

Nie zdążyłam dopisać do listy zakupów kilku drobiazgów, ale nie było już na to czasu. Pobiegłam do garażu, powtarzając sobie w myślach co jeszcze powinnam kupić: musztarda, rodzynki, galaretka, pieprz… I nagle „trach"! – lusterko boczne z wielkim hukiem oderwało się po „spotkaniu" z bramą wyjazdową.

– O rany, ale narozrabiałam, z pośpiechu nie pomyślałam, żeby uregulować siedzenie i lu-

sterka w samochodzie, bo wczoraj jeździł nim Zenek, mój mąż, z którego jest „kawał chłopa". Czyli jechałam bezmyślnie! To odkrycie jest chyba owocem porannej rozmowy z Danką. Byłam nieostrożna, lekkomyślna, nie przewidziałam, że taki będzie skutek nie myślenia o jeździe tylko o musztardzie. Taka mała bezmyślność, a skutek opłakany!

W zakupach pomógł mi syn, który zawiózł mnie swoim samochodem do centrum handlowego. Ale przez to nieszczęsne lusterko humor miałam zepsuty.

Gdy wrócił mąż, chciałam go zagadać, żeby nie zrobił mi awantury za tę szkodę motoryzacyjną i podczas nakrywania do stołu opowiedziałam mu o bezmyślności ludzi, konferencji itp., ale on wyraźnie też nie miał humoru, bo z zasady nie lubi gości w domu, więc tylko warknął:

– Ja czasem, gdy jestem zmęczony po pracy, siedzę w fotelu i bezmyślnie patrzę w telewizor lub w sufit! I ktoś może mnie zakablował z tego powodu. Czy to jest źle, że tak odpoczywam? Daj spokój z tą bezmyślnością i nie waż się poruszać tego problemu przy gościach.

Ale stało się inaczej, bo Aneta, moja siostra, też słyszała przez radio informację o krakowskiej

konferencji i była nią zbulwersowana. Zaraz też wrzuciła tego newsa z popierającym komentarzem do Internetu, do swoich „polubionych" i czekała na ich odzew. Niestety, niektórzy już jej zgłosili, że „przestają ją lubić", bo jak tak można kogoś wyzywać od bezmyślnych (baranów – to już ich dodatek)?

Spojrzałam na ponurą minę mojego męża i stwierdziłam z satysfakcją: – No widzisz, że temat jest na topie.

Zapytałam też Agatę: – A czy ktoś cię poparł?

– Tak, oczywiście, chociaż mam nadzieję, że wypowiedzi będzie przybywać, minęło przecież niewiele czasu, ludzie byli w pracy, w sklepach, jak wrócą do domów, na pewno zastanowią się nad tą bezmyślnością. Ale ja sama złapałam się dzisiaj na tym, że lekkomyślnie zrobiłam zakupy (nie pierwszy zresztą raz), wrzucając do koszyka co popadnie, bo ogłoszono promocję. Nie była widocznie taka duża, bo przy kasie zobaczyłam, że do zapłaty mam całkiem niemałą sumkę! A na koncie cieniutko, w portfelu wiatr hula „jak u Centkiewiczów" i wpadłam na samo dno debetu. Nawet zabrakło mi trzech złotych i dziesięciu groszy. Chciałam odłożyć jedną puszkę solonych

orzeszków, ale okazało się, że wtedy będzie nie do pary i za pozostałe pięć będę musiała jeszcze dopłacić! Kasjerka, zdenerwowana, oczekiwała na moją decyzję, ja nie wiedziałam, co mam robić, zrobiło mi się wstyd, dostałam rumieńców, a poszukiwania jakichś drobnych na spodzie torby i w kieszeniach kurtki nic nie dały. Kolejka za mną zrobiła się bardzo długa i groźnie mruczała. W końcu elegancki pan, który stał za mną, wyciągnął portmonetkę i powiedział: „Ja zapłacę za panią brakującą kwotę".

– Dziękuję – odetchnęłam z ulgą. – Ale jak i kiedy mogłabym panu oddać te pieniądze? – zapytałam speszona.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedział mój darczyńca. – Stać mnie na taki gest uprzejmości, czas nie ma dla mnie ceny, ale proszę przyznać, że robiła pani te zakupy bezmyślnie. Czy rzeczywiście potrzebuje pani tego wszystkiego w takich ilościach już dzisiaj? Czy nie lepiej byłoby realnie określić swoje zasoby finansowe?

Kiwnęłam potakująco głową i z jeszcze większymi rumieńcami wstydu wyszłam ze sklepu. Wsiadłam do samochodu i automatycznie włączyłam radio na ulubioną stację. A tam słyszę o konferencji na temat bezmyślności! Jak już naukowcy się za to wzięli, to musi być szerszy problem – pomyślałam ze swoistą ulgą.

Po chwili ciszy towarzystwo przy stole ożywiło się. Ziutka powiedziała odważnie:

– Ja też tak mam jak Aneta.

– I ja.

– I ja – rozległo się gromkie potwierdzanie swojej wady życiowej.

Odezwał się też Rysiek, mąż Anety:

– Wiele razy żonie dostało się za te bezmyślne zakupy, krzyczałem, że jest zakupoholiczką, ale i mnie to dopadło, no, może trochę inaczej, ale też pewnego razu nie pomyślałem, ile mam kasy tankując samochód do pełna. Na domiar złego nie zabrałem ani karty, ani komórki. Zjechałem na bok i powiedziałem pani w kasie, że muszę iść do domu po brakującą kwotę, bagatela – około trzy kilometry w jedną stronę! Sprawdziłem więc na własnej skórze znane powiedzenie: kto nie ma w głowie, ten ma w nogach.

– Moi drodzy, tak was słucham i myślę, że te „wasze bezmyślności" są stosunkowo małe, to znaczy skutkujące mniejszym złem niż historia, którą chcę teraz opowiedzieć – zapowiedziała Teresa, chyba najstarsza wśród nas. – Moja synowa, Ewa, zgotowała rodzinie przez swoją bezmyślność po-

tężną gehennę i końca jej nie widać! Ewa pochodzi z zamożnej rodziny i od dzieciństwa niczego jej nie brakowało. Rodzice spełniali jej wszystkie zachcianki. Ewunia chciała nową lalkę, dostawała dwie, chciała cukierka, dostawała bombonierkę, chciała firmowe jeansy, chwaliła się koleżankom i bluzą. Wakacje spędzała co roku w ekskluzywnych uzdrowiskach. Już przed maturą zwiedziła niemal całą Europę. W obszernym domu rodziców miała do dyspozycji całe piętro urządzone w nowoczesny, elegancki sposób. Tylko jedno jej życzenie nie było spełnione. Rodzice odmawiali jej kupna samochodu. Dlaczego? Przecież nie

chodziło o pieniądze, których im z pewnością nie brakowało. Był to, jak zauważyłam, temat tabu, ale kiedyś w przypływie szczerości Wanda, matka Ewy powiedziała mi, że kilkanaście lat temu starszy brat Ewy, Zygmunt, zginął w wypadku samochodowym. Można powiedzieć, że przez bezmyślność i zuchwałość, bo nie zmienił na czas opon letnich na zimowe. Nie przewidział, że w listopadzie zdarzają się już przymrozki i jezdnia bywa śliska. Wpadł w poślizg i do tego zamiast szczególnie uważać, znacznie przekroczył prędkość. Niespodziewanie wjechał na przeciwległy pas ruchu i zderzył się czołowo z jadącą prawidłowo skodą. Jechała nią czteroosobowa rodzina – małżeństwo z córką i synem. Wszyscy zginęli na miejscu… Tylko Ewa nam została – Wandzie zadrżał głos i zaszkliły się oczy. – A o mały włos i ją byśmy stracili. Miała wtedy jechać razem z Zygmuntem… Minęło parę lat, Ewa poznała na studiach mojego syna, Kamila. Zakochali się w sobie bez pamięci. Planowali wspólną przyszłość, wspólne życie. Jednak gdy Kamil oświadczył się Ewie i prosił jej rodziców o rękę córki, nie obyło się bez pewnych problemów i zgrzytów. Podczas uroczystego obiadu zaręczynowego, rodzice Ewy co chwilę informowali młodych, co otrzymają

w prezencie, a właściwie w prezentach ślubnych. My nie jesteśmy tak zamożni, zresztą nie chcieliśmy pokazywać swojego pomysłu na prezent, bo lubimy robić miłe niespodzianki!

Widziałam, że Kamil zaciskał zęby, żeby nie wybuchnąć i nie obrazić przyszłych teściów, ale w końcu odezwał się, jak na niego wyjątkowo spokojnie i stanowczo: „Kochani. My zaczynamy wkrótce nowe, wspólne życie. Pozwólcie nam, proszę, ułożyć je tak, jak chcemy. Chętnie przyjmiemy od was jeden prezent, ale powtarzam: tylko jeden! Mamy dobre zawody, ja już mam zlecenia i zarabiam. Ewa też planuje rozpocząć pracę, zarobimy na siebie, na nasze mieszkanie, na wychowanie naszych dzieci".

– „Ale przecież Ewunia jest przyzwyczajona do luksusów. A ile wy zarobicie, przynajmniej na początku? Śmiechu warte! A ta wasza kawalerka? Dlaczego nie możecie zamieszkać u nas? Ewo, a ty co na to powiesz?". – Wanda szukała ratunku u samej córki. Ale Ewa spojrzała na Kamila, w jego stanowcze oczy, przytuliła się do niego i stało się jasne, że popiera stanowisko narzeczonego. Przyszli teściowie Kamila coś tam jeszcze pomruczeli i było widać, że nie traktują poważnie słów i postawy młodych. „Ani się obejrzymy, a przyjdzie koza do woza" – szepnęła Wanda.

Ale tak się nie stało. Być może początkowo Ewa miała dobre chęci, aby rozpocząć życie małżeńskie i od początku dorabiać się. Niestety praca zawodowa nie była jej mocną stroną. Przyzwyczajona do tego, że wszystko dostaje podane gotowe na tacy, nie sprostała zawodowym obowiązkom w firmie i wkrótce dostała wypowiedzenie. Kamil pracował przez całe dnie, bywało że i noce. Młoda żona wciąż zgłaszała różne swoje finansowe potrzeby, bo jej osobiste oszczędności dawno się skończyły. Kamil denerwował się, że Ewa kupuje bardzo drogie kosmetyki i ciuchy z najwyższej półki. Odżyły też jej pragnienia posiadania samochodu.

Gdy któregoś razu Kamil wykrzyknął po kolejnej awanturze: „Nie wystarczy ci krem Nivea i autobus?", Ewa postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i załatwić jakiś kredyt czy pożyczkę. Ale żaden szanujący się bank nie chciał dać jej kredytu przy zerowych dochodach. Kamila nie chciała wtajemniczać w swoje finansowe plany, z oczywistych względów.

Sięgnęła więc po najgorszą z możliwych formę wzbogacenia się – po tzw. pożyczkę „chwilówkę" w jakiejś bliżej nieokreślonej firmie, której ofertę

znalazła w Internecie. Wystarczyło pokazać dowód osobisty, złożyć kilka podpisów na dokumentach, które przywiózł jej do domu w eleganckiej teczce przedstawiciel tej firmy i jeszcze tego samego dnia okrągła, pokaźna sumka wpłynęła na jej panieńskie jeszcze konto.

Wysoką pożyczkę wzięła jeszcze w dwóch podobnych firmach. Procedura była identyczna. Wszyscy pożyczkodawcy byli bardzo uprzejmi, upewniali Ewę, że bardzo dobrze zrobiła, że pieniądze są przecież po to, aby je wydawać, a taka piękna kobieta musi żyć na poziomie.

Ewa zaczęła coraz częściej znikać z domu na całe dnie, upajała się zakupami, odwiedzała dawne koleżanki lub zapraszała je do drogich restauracji, żeby pochwalić się nową torebką czy bluzką. Kamil – jak to mężczyzna – nie dostrzegał tych nowości, ale gdy Ewa zasiadła za kierownicą zgrabnego nissana, zorientował się, że coś tu jest nie tak. Najpierw pomyślał, że Ewa zdradza go z… rodzicami i to oni finansują te wszystkie zachcianki, nawet zabroniony kiedyś samochód, bo przecież minęło sporo lat od pogrzebu Zygmunta, a czas leczy rany. Gdy jednak zrobił w domu prywatne śledztwo, o mały włos nie dostał zawału. Zażądał od Ewy dokumentów, które tak lekkomyślnie podpisała i włos zjeżył mu się na głowie. Oprocentowanie tych pożyczek było horrendalne, terminy spłaty nieprzekraczalne, a kary za ich niedotrzymanie równie potężne. Oczywiście Ewa nie przeczytała uważnie całej umowy od początku do końca, a tym bardziej nie zastanawiała się, jak to będzie ze spłacaniem. Próbowała co prawda dowiedzieć się, co będzie jeżeli zabraknie jej kasy na terminową ratę, ale miły pan zbył to pytanie jakimś komplementem i rzucił luźną uwagę, że wszystko jest w dokumentach.

A tu zaczęły przychodzić pierwsze ponaglenia do spłaty pożyczki. Teraz Ewa chodzi i płacze, Kamil każdego dnia podlicza, o ile wzrasta ich zadłużenie. Ja jestem na skraju załamania nerwowego, nie mam takich oszczędności, żeby im pomóc. Rodzice Ewy jeszcze nic nie wiedzą. Nie wiem, jak to się skończy… Jedyna nadzieja w tym, że według świętego Pawła – miłość wszystko przetrzyma i nigdy nie ustaje. Przekracza nawet nasz ziemski byt!

– No rzeczywiście, straszna historia! Jak nic pasuje tu stare polskie powiedzenie: bogactwo może przyjść do ciebie, ale po mądrość musisz iść sam. Bo bezmyślność ma swoje źródło właśnie w braku mądrości, czyli mówiąc prościej – ma po drodze z głupotą i często z zuchwałością – podsumował Kuba, mąż mojej przyjaciółki Tosi. – Jestem, jak wiecie, chirurgiem ortopedą i na co dzień widzę, jakim złem może być bezmyślność, nieostrożność, brak zastanowienia się przed jakąś decyzją, nawet przed zabawą, czy przed pracą, a skutki tego odczuwa nie tylko ta osoba, ale i jej rodzina, środowisko pracy, znajomi, sąsiedzi, a czasem i ludzie zupełnie nieznajomi.

Posłuchajcie – każde łóżko na moim oddziale to inny przypadek, najczęściej „owoc" bezsilności:

- Krzysztof – motorniczy tramwaju, w bardzo ciężkim stanie po „spotkaniu" z tirem wiozącym materiały chemiczne. Na różnych oddziałach 23 osoby – pasażerowie tego tramwaju z ciężkimi urazami i oparzeniami, które spowodował wyciek materiałów żrących z tira; powód zderzenia – motorniczy podczas jazdy rozmawiał przez komórkę i nie zauważył zmiany świateł na skrzyżowaniu.
- Dominik – kominiarz, pracował na wysokości bez żadnych zabezpieczeń, bo szkoda czasu na te wiązania, umocowania, stracił równowagę i spadł, a teraz leży cały w gipsie. Nie wiadomo, czy wróci potem do pełnej sprawności. Żona rozpacza z czego będą żyli, bo ona zarabia niewiele, a mają czwórkę dzieci. Czy Dominik dostanie chociaż parę złotych renty, bo przecież nie zachował przepisów bhp…
- Mateusz był na wakacjach z kolegami i pewnego dnia, chyba z nudów postanowił rywalizować z nimi w skokach do rzeki z urwistego, wysokiego brzegu; skoczył pierwszy i już nie wypłynął, ale przerażeni koledzy zdołali wyciągnąć go na brzeg. Trafił na niezbadane, płytkie dno i przy upadku złamał sobie kręgosłup; paraliż niestety postępuje…

- Anka wpadła pod autobus, bo nie przewidziała, że mając w uszach słuchawki i słuchając głośno rocka, nie usłyszy nadjeżdżającego pojazdu; skutki tej bezmyślności to rozległe urazy wewnętrzne, wstrząs mózgu i złamanie podstawy czaszki.
- Rafał i Grzegorz założyli się z kolegami, że przejdą wokół budynku na jedenastym piętrze po balkonach i parapetach, oczywiście bez żadnych zabezpieczeń; to była jakaś szaleńcza, lekkomyślna, a właściwie całkiem bezmyślna decyzja. Chcieli pewnie innym zaimponować odwagą, pewnością siebie, zręcznością i jeszcze Bóg wie czym, bo z tego co mówi Grzegorz, chodziło im o względy pewnej dziewczyny. Rafał nic już nie powie, zginął na miejscu, jego pogrzeb odbył się tydzień temu. Grzegorz przeżył, bo szczęśliwie zaczepił się kapturem od kurtki o balustradę balkonu na ósmym piętrze, skąd zdołano go ściągnąć i uratować mu życie. Jednak przy tym upadku uszkodził sobie rdzeń kręgowy i wygląda na to, że nie będzie chodził.

– Słuchajcie – włączyła się Tosia – mam kolegę w Górskim Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym. On by mógł opowiadać godzinami o bezmyślnych, wręcz zuchwałych turystach…

W tym momencie zadzwoniła komórka Kuby, a on jeszcze w czasie rozmowy zerwał się od stołu, po czym przeprosił nas, ale ma właśnie pilne wezwanie do szpitala. Na dyżurze jest teraz młody lekarz, który pilnie potrzebuje jego konsultacji. Przywieziono dziewczynę, która spadła ze schodów w jednej z dyskotek i brak z nią kontaktu. Kolega podejrzewa liczne złamania, badania trwają, ale problemem jest jej głowa. Tomografia nie wykazała złamań, wylewów, ani innych nieprawidłowości, więc ona prawdopodobnie była pod wpływem dopalaczy. Następna bezmyślna

pacjentka – mówił pospiesznie Kuba, wkładając kurtkę i kiwając nam na pożegnanie.

Przybici taką dawką zła, któremu na imię bezmyślność, nie mieliśmy już ochoty zaglądać na Facebooka Anety i czytać o kolejnych tragediach. Zostawiliśmy tę lekturę na później.

Wyszłam do kuchni, żeby dokroić ciasta i przygotować porcje lodów w pucharkach. Mąż zajrzał do lodówki i wyjął butelkę szampana, który schładzał się tam już chyba stanowczo za długo. Bałam się odezwać do niego, podejrzewając że jest na mnie wściekły za taki przebieg wieczornego spotkania, ale ku mojemu zdumieniu, Zenek objął mnie serdecznie i szepnął do ucha:

– Jolu! Jesteś wielka! Jak zwykle miałaś rację. Może przez ten temat uratowaliśmy czyjeś życie? Czyjeś małżeństwo? Piękny mamy jubileusz!

Chciwość, czyli mieć zamiast być

Chciwemu i pół świata mało.

Adolf Dygasiński

W Urzędzie Miasta odbyła się uroczystość wręczenia nagród i stypendiów najlepszym uczniom, studentom i doktorantom. Pierwsze miejsce w konkursie na najlepszą, obronioną w tym roku pracę doktorską zdobyła dr Paulina Ch. za podjęcie psychologicznych badań w polskich więzieniach.

Wnioski z pracy były szokujące! Większość osadzonych dostała wyrok za różne kradzieże, oszustwa, czyli zgubiła ich chytrość! Jeszcze raz potwierdziła się tu prawda, że jak nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze! Dr Ch. udowodniła…

Mamo, mamo! Ja już nie mogę! Chodź tu do mnie, mama, mama! – rozpaczliwe wołanie Kajtka postawiło mnie na nogi i przerwało lekturę gazety.

I z mojego popołudniowego odpoczynku nici. A taka zmęczona przyszłam z pracy! Te nadgodziny mnie wykończą, ale przecież muszę mieć kilka nowych ciuchów, muszę kupić takie meble do sypialni, jakie mają Kućmowie. No przecież muszę…

– Mamo, mamo! – Kajtek nie odpuszczał.

Narzuciłam sweter i podreptałam na górę. Syn siedział przed ekranem komputera i miał łzy w oczach.

– Mamo, ja w życiu nie nauczę się tego wiersza na pamięć! Ja nie kumam, o co tu chodzi. Znowu dostanę jedynkę z polaka!

Spojrzałam na ekran i nie mogłam powstrzymać się od śmiechu: Lisek Chytrusek! Bajka z mojego dzieciństwa! Zapachniało wakacjami, rozgrzanym sianem, maciejką i mlekiem, które babcia przynosiła mi wieczorem do łóżka „na lepsze spanie". I gdy je popijałam, opowiadała mi bajki, legendy, czy też prawdziwe rodzinne historie.

– Czego nie rozumiesz? Co tu jest w ogóle do rozumienia?

Kajtek spojrzał na mnie z politowaniem.

– No nie rozumiem na przykład, co lisek przygotował dla gości. Tu, na początku jest napisane, że „oczekiwał gości". Czy wszyscy jedli tylko orzeszki, które przyniosła wiewiórka? Jeleń też je jadł? I dzięcioł? No, bez przesady. A ileż to tych orzeszków mogła przynieść wiewiórka w małej sakiewce? To są jakieś głupoty! I ten lisek nie zapewnił nawet gościom jakiejś porządnej muzyki, no niekoniecznie „na żywo"? Przecież jak my chodzimy w gości do cioci Jadzi, to tam jest wyżerka „full wypas".

Długo tłumaczyłam Kajtkowi w czym rzecz i co to jest chciwość. A on w końcu podsumował:

– To ten lisek był po prostu skąpy! Żałował kasy na przyjęcie, a może i myślał, że jeszcze coś zostanie z tego, co przyniosą goście? Spryciarz z niego! I jeszcze na pożegnanie powiedział, że „pięknie się gościli". Ale jednak to jest jakaś porąbana historia. Trudno, na razie umiem na pamięć trzy zwrotki, będę zakuwał dalej.

Wstałam, żeby mu nie przeszkadzać, ale zanim wyszłam z pokoju, mój syn odezwał się nagle i stanowczo stwierdził:

– To ty, mamo, też jesteś chciwa! No bo nie chciałaś mi kupić wczoraj lodów, a w niedzielę, jak przyszły do ciebie te trzy koleżanki, to każda coś przyniosła. Sernik od tej rudej był super!

– Kajtek, to zupełnie coś innego. Lody ci szkodzą, masz zaraz chrypę. A że moje znajome chciały pochwalić się swoimi wypiekami, to jest coś złego? No, dosyć tej dyskusji, ucz się, bo już późno, a nie ruszałeś jeszcze przecież zadań z matmy – ucięłam niebezpieczną dyskusję.

Ale smarkacz miał trochę racji! Rzeczywiście pożałowałam kasy na niedzielny podwieczorek i przymówiłam się, żeby Kazia przyniosła sernik, Ala karpatkę, a Zojka pączki. Niby drobiazg, a Kajtek zaraz zobaczył mój związek z liskiem chytruskiem.

Nurtowała mnie ta chciwość, nurtowała! Zrobiłam sobie kawę i wrzuciłam w Google słowo „chciwy". I wtedy dopiero się zaczęło! Otoczyły mnie różne straszne słowa: chytry, zaborczy, żarłoczny, dorobkiewicz, zachłanny, skąpy, sknera, pazerny, pożądliwy, ciułacz, chory na kasę… Końca nie było widać! Dobrze chociaż, że Kajtek nie nazwał mnie sknerą, bo to okropnie brzmi…

Myślałam, myślałam i doszłam do smutnego wniosku, że wszystkie te przymiotniki pasują do mnie! Jestem dorobkiewiczem, bo niezależnie od tego, co już mam od lat, zawsze jestem na etapie potrzebujące więcej i więcej! Muszę to czy tamto dokupić, zdobyć, wyprosić na kredyt… Jak chociażby te meble jak u sąsiadów, chociaż nasze są ładne i funkcjonalne. Teraz wyraźnie widzę, że jestem „chora" na nieuporządkowaną chęć posiadania. I dlatego zamęczam się biorąc wiele nadgodzin. A żeby je dostać, to bezczelnie kłamię, że potrzebuję pieniędzy na leczenie syna! Kajtek ma szczęście, jest zdrowy, ale to przemawia do szefowej i wygrywam w rankingu innych chętnych na dodatkowy zarobek.

Jestem skąpa nie tylko przez te lody, które mi wypominał Kajtek, ale bardzo niechętnie daję komuś np. jałmużnę, czy ofiarę w kościele. Już nie pamiętam, kiedy to ostatnio było chyba ładnych parę lat temu dałam dwa złote jakiejś żebrzącej na cmentarzu staruszce, a księdzu na tacę wkładam chyłkiem też jakieś drobiazgi. A przecież mam pieniądze i to nie małe sumy na kontach i lokatach. Oszczędzam, oszczędzam (można powiedzieć: ciułam, ciułam), odchorowuję zawsze jakiś większy upragniony zakup i łapię się na tym, że to jest jakiś dziwaczny paradoks…

Koleżanki z pracy, sąsiedzi, rodzina uważają, że jestem bogata! I pewnie tak rzeczywiście jest, przynajmniej w porównaniu z nimi, ale ja nie potrafię przestać pożądać, gromadzić. Żądza posiadania mnie wykańcza, nawet w tej chwili ledwie żyję po jedenastu godzinach w biurze przy bilansach!

To intensywne rozważanie z bardzo niepocieszającym morałem tak mnie zmęczyło, że chyba zdrzemnęłam się parę minut, bo nie słyszałam, jak mąż wrócił do domu. Obudził mnie dopiero potężny rumor dochodzący z kuchni i krzyki Zdzicha:

– Co za baran postawił tu te talerze i filiżanki! Tylko machnąłem ręką i wszystko poleciało na

ziemię! W drobiazgi! Taka strata! To był, jak pamiętam, bardzo drogi serwis! I co teraz – trzeba będzie kupić nowy. A pieniądze przecież nie leżą na ulicy!

Rzeczywiście widok kuchennej podłogi był opłakany. Starałam się uspokoić męża, ale chyba dolewałam jeszcze oliwy do ognia, bo to ja byłam winna tej kuchennej katastrofie.

– Anka! Ty już nic nie mów! To był serwis od mojej mamy! – Zdzichu aż się zaperzył z nerwów. Tak się podobał mojemu szefowi, gdy w ubiegłym roku był u nas z żoną na moich imieninach. Pa-

trzył na mnie z uznaniem i nawet mi szepnął, że jego żona uznaje tylko naczynia z burego, nietłukącego się szkła–plastiku, bo są praktyczne. Aż urosłem w jego oczach! – wspominał Zdzichu i coraz bardziej się nakręcał. – Tyle pieniędzy poszło w błoto!

– Uspokój się! Jutro dostanę kasę za ostatnie nadgodziny i kupię coś ładnego – powiedziałam pojednawczym tonem.

Ale Zdzichu i tak cały wieczór był ponury jak noc. A we mnie zapaliło się czerwone światełko! Mój mąż też ma problem z chciwością. Taka awantura o niewielki przecież dodatkowy wydatek. On jest „chory" na punkcie bogactwa i pragnienia posiadania.

Wieczorem, gdy Zdzichu wyszedł odreagować do garażu, zadzwoniłam do swojej przyjaciółki Celinki i opowiedziałam jej o całym zajściu. Ku mojemu zdziwieniu, nie podjęła tematu wydatku na nową zastawę stołową ani nerwowej atmosfery, ale powiedziała mi prosto z mostu:

– Twój mąż ma niskie poczucie wartości. Czuje się bezwartościowy!

– No coś ty! Nigdy o tym nie mówił!

– No bo o tym ludzie mówią bardzo rzadko, chyba że w trakcie terapii u psychologa. Ja

wywnioskowałam to, kiedy mówiłaś, że „urósł w oczach szefa" i jak mu zależało na jego uznaniu! Ktoś, kto uważa, że jest „nikim", jest bardzo łasy na pochwały, wyróżnienie. Potrzebuje tego jak ryba wody. A czy zauważyłaś może u Zdzicha takie symptomy, jak: złe znoszenie krytyki, przesadę w odbieraniu wszelkich uwag, rozpacz przy drobnych mankamentach urody, smutek, negatywne nastroje, trudności w podejmowaniu decyzji, dokonywaniu wyborów, lęk przed ryzykiem, czy przed wyrażeniem własnego zdania?

– Ojej, Celinko, skąd ty to wszystko wiesz? Pasuje jak ulał do Zdzicha! (i do mnie – pomyślałam, ale nie przeszło mi to przez usta).

– Byłam kiedyś na takim wykładzie o wartości człowieka, organizowanym na Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Ale posłuchaj dalej, bo to będzie nawiązywać do tej aktualnej sytuacji: ktoś z niskim poczuciem wartości, bardzo mocno reaguje na ubytek, nawet niewielki, w swoich „drobiazgach", ma też nie lada problem z dzieleniem się z innymi tym, co posiada. Dlaczego? Bo taki człowiek myśli: dopóki coś mam, to jestem wartościowy. I to by tłumaczyło ostatnie zachowanie Zdzicha. Stracił parę naczyń, a awantura na sto dwa!

I jeszcze coś. Człowiek o poczuciu niskiej wartości nie ceni siebie, ma też wrażenie, że nikt go nie ceni ani nie lubi. Jest chciwy na cudze pomysły, bo w działaniu głównie naśladuje innych, a kreatywność jest mu obca. Co więcej, często jest odbierany jako człowiek leniwy, bo jeżeli uważa, że nie jest zdolny do wartościowego, efektywnego działania, to woli nie robić nic! A z bezczynności kasy nie ma. I cóż, kółko się zamyka.

W gruncie rzeczy tacy ludzie są głęboko nieszczęśliwi, bo w głębi serca tęsknią za wiernym przyjacielem, a trudno im nawet współpracować z innymi. Jako chciwcy wartości przekornie uważają, że wartościowi ludzie są dla nich potężną konkurencją, bo ich przymioty są zagrożeniem i obnażają ich nędzę. Uznają tylko więź z podobnymi sobie, bo taki to jeszcze będzie mnie chciał! – podsumowała swoje wyjaśnienia Celinka dotykając sedna sprawy, a przy okazji raniąc dogłębnie moje ego, jako żony bezwartościowej…

Dostało mi się równo, ale muszę przyznać przed sobą, że sprawiedliwie! – pomyślałam w popłochu, gdy Celinka odłożyła już słuchawkę.

Było już bardzo późno. Zdzichu przepadł w tym garażu na dobre. No tak, pogrzebanie w silnikach trzech (tak – trzech) luksusowych samochodów i w harleyu musi trwać! Zdzichu ma „fioła" na punkcie samochodów, szpanuje nimi na prawo i lewo, a za jego ostatni nabytek – ekskluzywny motor, można by kupić kilka samochodów niezłej klasy. I jeszcze w wolnych (i w niekoniecznie wolnych) chwilach w biurze nałogowo przegląda w Internecie nowości motoryzacyjne, bo stale pragnie kupić i mieć coś nowego! Czy to nie o takich zachowaniach wspominała Celinka?

Nieraz mu mówiłam, żeby któryś samochód oddał bratu, którego sytuacja materialna jest nieciekawa, bo lekarstwa dla chorej żony zżerają większość ich dochodów, ale nie chciał nawet o tym słyszeć. Niestety źle posługuje się swoim bogactwem. Wolał zbudować nowy, potężny garaż w dotychczasowym ogrodzie, niż dać samochód, aby pomóc rodzinie. A bratowa jeździ na radio- i chemioterapię – autobusem.

Zajrzałam na górę. Kajtek wciąż powtarzał historię liska chytruska, bo jutro pani z polskiego na pewno go zapyta. Nawet spod prysznica było słychać jak to goście liska wspaniale się bawili.

Wstawiłam wodę na herbatę i próbowałam sklecić jakąś spóźnioną kolację, postanawiając sobie nie poruszać już, a przynajmniej dzisiaj, tematów finansowych.

Siedzimy sobie przy kolacji we dwójkę jak za dawnych lat, pomyślałam, gdy Kajtek połknął miseczkę sałatki i poleciał na górę robić zadania z matmy. Pogadamy o neutralnych sprawach, a ja będę sprawdzać, czy Zdzichu patrzy mi w oczy, czy też ucieka wzrokiem na boki, bo Celinka mówiła, że niedowartościowany człowiek nie patrzy rozmówcy w oczy, bo boi się, że odczyta w nich prawdę: „jesteś mierny, jesteś do niczego".

Ale wieczór potoczył się niespodziewanie inaczej. Zdzichu wpadł do kuchni, gdy zapiekanka właśnie dochodziła w piekarniku. Był bardzo podniecony, radosny, wyściskał mnie, jak gdyby nigdy nic. Potrząsał mi przed oczyma swoim smartfonem i wołał:

– Anka! Wybrali mnie! Wybrali mnie! Właśnie dostałem smsa z telewizji. Za dwa tygodnie mam przyjechać na nagranie. Będę miał szansę wygrać milion złotych lub mercedesa najnowszej wersji. Anka! Na castingu był tłumek, a wybrano mnie, no, jeszcze dwie osoby. Bo w „Zabawie z fortuną" występują zawsze trzej gracze. Jutro zadzwonię do tego programu, może mi powiedzą, kogo będę miał do towarzystwa, a właściwie do odstrzału. A od razu zacznę ćwiczyć refleks i powtarzać hasła z różnych dziedzin. Przed castingiem już trochę przeglądałem różne zestawy przysłów, tytułów piosenek, spisy lektur, elementy wyposażenia kuchni, przepisy kulinarne… Teraz muszę przygotować się na blachę! A ty wybierz mi jakieś fajne ubranie, muszę przecież wyglądać jakoś w tej telewizji, prawda?

To wszystko Zdzichu wypowiedział, a właściwie wykrzyczał, na jednym oddechu. Po czym, już bez słowa, pożarł trzy czwarte zapiekanki i pobiegł do komputera, wołając po drodze do komórki: – Nie ma mnie dla nikogo przez dwa tygodnie, rozumiesz Jagna? Dla nikogo!

No tak, teraz to przez dwa tygodnie jego sekretarka będzie wydzwaniać do mnie i prosić o załatwienie u szefa różnych spraw, będzie przynosić niezliczone papierzyska. O niedoczekanie! Ciuchy mogę mu przyszykować, ale nie dam się zwariować!

Zdzichu przesiadywał przed komputerem praktycznie bez przerwy. Nosiłam mu kanapki i termosy kawy, czasem schodził do kuchni na jakąś zupę lub kotlet, żeby – jak to mówił – nakarmić mózg. I wtedy marzył, co zrobi z wygraną fortuną. Zmartwił się, że regulamin tej gry wyklucza ponowny udział zawodnika w przeciągu

pięciu lat. Ale pocieszał się, że będzie startował w innych programach.

– Wygraj najpierw ten jeden – Kajtek okazał się wielkim realistą. – Tato, a co zrobisz, jak wygrasz tego mercedesa? Oddasz komuś, czy będziesz jeździł w każdym tygodniu innym autem? – chciał wiedzieć nasz syn.

– Nie oddam wygranej w żadnym wypadku – uciął krótko Zdzichu i wrócił spiesznie na górę.

– Co teraz ćwiczysz? – zawołałam za nim.

– Tytuły piosenek – odkrzyknął. Ale gdy zaniosłam mu porcję kawy i zerknęłam na ekran, zobaczyłam opakowanie środków nasennych i na przeczyszczenie.

– O, w końcu chcesz przespać całą noc – ucieszyłam się, ale Zdzichu tylko coś mruknął i machnął, żeby mu nie przeszkadzać.

I w końcu nadszedł ten dzień. Mój małżonek pojechał do studia na nagranie, bo „Zabawa z fortuną" nie była emitowana na żywo. I dzięki Bogu, bo cała Polska zobaczyłaby to, o czym ja dowiedziałam się od prokuratora. Tragedia, skandal, masakra…, nie wiem, jak nazwać zaistniałą w studio sytuację.

Jak wracam do tych wydarzeń, chociaż minęło już od nich przeszło pół roku, chce mi się płakać, krzyczeć i schować się ze wstydu w mysią dziurę! Cóż się wtedy stało w budynku telewizji? Otóż Zdzichu postanowił wygrać główne nagrody. W tym celu, przed nagraniem, gdy z pozostałymi uczestnikami pili kawę, czekając na zwolnienie się studia, wrzucił im niepostrzeżenie do filiżanek środki, które sprawiły, że Jan, rolnik z województwa mazowieckiego, był zmuszony biegać co rusz do toalety, a gdy zniecierpliwiony realizator programu przypomniał mu o konieczności zostania przez pół godziny na planie, by móc uczestniczyć w grze, Jan został przy mikro-

fonie, ale cierpiał straszliwe męki, a ból brzucha uniemożliwił szybkie naciskanie przycisku z literami.

Natomiast Lena, lekarka z Krakowa, krótko po rozpoczęciu gry na chwilę straciła przytomność, mówiąc, że to pewnie z powodu stresu. Ale nie była w stanie nawet ustać.

W tych warunkach Zdzichu objął prowadzenie już w trzeciej rundzie. Zgromadził całkiem pokaźną sumkę, ale gdy dwukrotnie spotkał na swojej drodze „Rudego bankruta", runął jak długi na ziemię. Zasłabł na dobre. Na miejscu, w studio, była co prawda lekarka, ale niedysponowana, bo środek nasenny, który wypiła, wciąż działał. Wezwano więc pogotowie, które zabrało go do szpitala. W karetce podobno majaczył, krzyczał: „Uciekaj przed rudzielcem, trzeba było brać kasę, a nie ryzykować i grać dalej… Nic nie wygrałem, sam jestem bankrutem!".

Ta epidemia wzbudziła podejrzenia organizatorów i prowadzących „Zabawę z fortuną". Zawiadomili oni organy ścigania. No i wyszło szydło z worka. Chciwość zaprowadziła Zdzicha do aresztu. Prokurator postawił mu zarzuty – użycie środków farmakologicznych w przestępczych celach, narażenie życia i zdrowia dwóch osób.

„Zabawa z fortuną" zakończyła się fiaskiem. A z tego, co mówi adwokat, Zdzichu pewnie posiedzi w ciupie. Będzie miał okazję przetestować na własnej skórze prawdę, którą pamiętam jeszcze z babci opowiadań: „Człowiek nie jest bogaty tym, co posiada, lecz tym, bez czego z godnością może się obejść".

Pycha, czyli deszcz zła

Pycha się w niebie urodziła,
a w piekle mieszka.

Zygmunt Krasiński

Pamiętam ten dzień bardzo dokładnie, bo w domu panowała nerwowa atmosfera. Majka chodziła po pokoju „jak lew w klatce" i wciąż zaglądała do Internetu, czy są już wyniki konkursu „Miss Pomorza". Bidulka załapała jakieś okropne choróbsko. Miała gorączkę dochodzącą do końca możliwości termometru, ale nie mogła uleżeć w łóżku. Niestety, jako kandydatka w tym konkursie, nie mogła również być osobiście na uroczystej gali wręczenia nagród „misskom". Około godziny dwudziestej pierwszej w Internecie rozpoczęła się transmisja z ogłoszenia wyników. Prowadzący jury konkursu oznajmił:

Jury konkursu „Miss Pomorza", po burzliwej naradzie i uwzględnieniu wielu różnych okoliczności, zgodnie z przyjętym regulaminem, postanowiło w wyniku głosowania, że Miss Pomorza zostaje...

Pierwsza Wicemiss to...

Druga Wicemiss to...

Wyróżniono...

Za pół godziny rozpocznie się uroczysta gala i wręczenie nagród.

Serdecznie zapraszamy.

Majki nie wymieniono. Zaczęła szlochać histerycznie. Cała rodzina ją pocieszała, ale skutek był

mizerny. Wszyscy mieliśmy noc „do tyłu", trzeba było wzywać pogotowie i do Majki, i do mamy, której też wysiadły nerwy.

Następnego dnia od samego rana mi się nie wiodło. Jak stałem pod prysznicem, zakręcono akurat ciepłą wodę. Spłukałem mydło zimną i od razu zaczęło mnie drapać w gardle. Anginę mam jak w banku!

Potem w sklepiku osiedlowym był remanent i nie kupiłem sobie nic na śniadanie. Przy markecie nie było gdzie zaparkować i w końcu, głodny jak wilk i spóźniony, wpadłem do redakcji. A tu, od progu słyszę:

– Wojtek, szef pytał już o ciebie. Jakiś taki zdenerwowany od rana… – Kaśka, jak zwykle, wyraźnie martwiła się o mnie i sama była cała w nerwach.

Szef rzeczywiście miał nieciekawą minę.

– Wojtek! Przez ciebie będzie problem z terminowym wydaniem kolejnego numeru! Dlaczego zgłosiłeś mi taki dziwny temat wywiadów? Musisz piorunem to zmienić! Jak można w gazecie o profilu chrześcijańsko-społecznym zamieścić teksty rozmów z „misskami". Przecież to temat dla jakiegoś brukowca. A ty składasz takie propozycje!

– Szefie – udało mi się wtrącić – finał „Miss Pomorza" odbył się przecież w naszym mieście. Myślę, że czytelnicy chętnie poczytają o głównych laureatkach. Obiecuję, że nie zamieszczę rozebranych zdjęć. Mam zupełnie inną koncepcję wywiadów z tymi dziewczynami. Mogę ją teraz przedstawić? – zapytałem ostrożnie, bo szef wciąż miał groźną minę.

– No, słucham, słucham, ale jeżeli mnie nie przekonasz, to nie ręczę za siebie – szef był wyraźnie wkurzony. Ale ja byłem przekonany do swojego pomysłu, więc co prędzej, zanim szef się rozmyśli, powiedziałem:

– Moja siostra Majka próbowała sił w tym konkursie „missek" i od niej właśnie wiem sporo o jego kulisach. Najogólniej mówiąc, królowała tam nie wybrana piękność, ale pycha. Jest ona porównywana do obrzęku duszy wypełnionej ropą. Gdy wrzód dojrzeje, pęknie, rozleje się wokół i rozejdzie się potężny odór! A pycha jest przecież przyczyną zła w wielu odsłonach. I wiem, że zło rozlało się wokół tego konkursu, a przede wszystkim wewnątrz niego. Chciałbym obnażyć to zło, pokazać jego przyczyny i skutki. Co prawda, w konkursie nagrody rozdane i nie mam zamiaru podważać werdyktu jury. Zachowam całkowitą anonimowość, imię i wizerunek każdej dziewczyny będzie zmieniony – nie do poznania.

Porozmawiam z nimi, popytam o to i owo. Moja siostra ma do kilku z nich komórki, bo w pewnym sensie nawet się „zaprzyjaźniły". Mówię to w cudzysłowie, bo ta „przyjaźń" nikomu nie wyszła na dobre…

Przerwałem, bo czułem, że szef od kilku minut całkowicie zmienił front. Widziałem to po jego minie, oczach i dłoniach, które nagle zaczęły się rozprężać, a usta też nie były już takie zaciśnięte. Ale powiedział tylko jedno słowo: – Próbuj!

Podziękowałem za okazane mi zaufanie, obiecałem, że teksty dam mu do przeczytania niezwłocznie po opracowaniu.

– Wojtek, tylko ty przypadkiem sam w pychę nie popadnij, bo to trudne zadanie. Jeśli ci wyjdzie dobrze, to… A ty właściwie wiesz, co to jest pycha?

– Nadmierna wiara we własną wartość i możliwości, wyniosłość, zarozumiałość, wysoka samoocena i mniemanie o sobie – wyrecytowałem jednym tchem. – A jej główne przyczyny, to… – ale szef zamachał rękami i przerwał mi, mówiąc:

– O tym, to już porozmawiamy po twojej robocie, nie uprzedzajmy faktów!

Natychmiast po wyjściu od szefa, nie zważając na pytające spojrzenia redakcyjnych kolegów, a zwłaszcza Kaśki, zadzwoniłem do siostry z prośbą o kontakt do jej konkursowych „przyjaciółek".

– Dostałeś zgodę szefa – ucieszyła się Majka. – Ale to żadne przyjaciółki. Na przykład jedna z nich nawiązała ze mną kontakt, żeby „sposobem" wyciągnąć ze mnie choć trochę wiedzy, bo ja najlepiej przeszłam test kwalifikacyjny na temat ogólnej sytuacji i problemów w Polsce i na świecie.

Zdziwiłem się, że takie testy robi się w konkursie na miss i uwzględnia się wiedzę dziewczyn obok ich parametrów zewnętrznych, np. długości nóg, rozmiaru ciuchów, które noszą, sposobu poruszania się, fryzury, uśmiechu…

Wtedy Majka opowiedziała mi, że właśnie jedna z jej konkurentek, powiedzmy Roksana, przysłała do niej propozycję zarobienia na korepetycjach dla jej młodszego brata, który ma problemy w szkole właśnie z WOS-u. Moja siostra studiuje politologię, więc taki uczeń to dla niej „pikuś". Zgodziła się, bo studentce zawsze przyda się dodatkowy grosz, ale okazało się, na trzeciej chyba lekcji, że chłopaczek wcale nie ma jeszcze takiego przedmiotu, ale wszystko nagrywa i w taki sposób doucza swoją kuzynkę (a nie siostrę), która i owszem, jest bardzo atrakcyjna, ale w głowie, pod

super fryzurą nie ma nic, czym mogłaby zabłysnąć przed jury konkursowym. Majka zorientowała się w tym procederze, gdy usłyszała, że Roksana w jednym z wywiadów podaje dokładnie takie fakty, liczby i przykłady dotyczące problemu ubóstwa w Afryce, które ona omawiała na „korepetycjach". No cóż, są różne drogi do sukcesu, także te, które wiodą przez kłamstwo i podstęp!

– No dobrze, to daj mi na pierwszy ogień namiary do tej Roksany – poprosiłem Majkę.

– Dam ci i ten, i pozostałe kontakty, ale czarno to widzę! Dziewczyny już się porozjeżdżały, mają nagrane różne spotkania, zwłaszcza te, które w tym konkursie zostały docenione i nagrodzone. Ja, jak wiesz, nie znalazłam uznania w oczach jury – Majce coś niedobrego zagrało w gardle i głos się jej załamał.

– Nie martw się już tym, jesteś super dziewczyną, potraktuj ten konkurs jako zabawę, z której jednak sporo się nauczyłaś – pocieszałem Majkę jak umiałem. – Mam nadzieję, że zbiorę jednak trochę materiału i wtedy porozmawiamy. Do usłyszenia!

Idąc za ciosem, zadzwoniłem do Roksany. Gdy powiedziałem, że jestem dziennikarzem i robię wywiady z uczestniczkami „Miss Pomorza", dziewczyna dość nieprzyjemnym głosem zapytała, z kim już rozmawiałem. Gdy się okazało, że ją pierwszą proszę o spotkanie, od razu złagodniała. Widocznie mile ją to połechtało!

Najpierw musiałem wysłuchać, kto i dokąd już ją zaprosił, że jej grafik jest bardzo napięty, ale dla mnie znajdzie jakąś godzinkę, najlepiej wieczorem i to późnym, bo…

Trudno, pomyślałem, nie znam zwyczajów „missek", a głośno powiedziałem: – To dokładnie kiedy i gdzie proponuje pani rozmowę?

Roksana podała mi adres jakiegoś pensjonatu na obrzeżach miasta, bo – jak wyjaśniła – tam teraz mieszka, żeby uciec od ciekawskich oczu i nadmiaru adoratorów.

Moja żona nie była zachwycona tym, że będę pracować tak późno i tak daleko, ale cóż, wytłumaczyłem jej, że taka jest dola i rola dziennikarza.

Roksanę wcale nie interesowało to, w jakiej gazecie ukaże się jej wywiad, zresztą nigdy nie słyszała o miesięczniku „Ku niebu". Przygotowała mi na pendrive z setkę swoich zdjęć z życzeniem, abym wybrał co najmniej kilkanaście, najlepiej tych, jak mówiła, odważnych, i z nich głównie skorzystał, tworząc artykuł.

– Obraz znaczy więcej niż tysiąc słów – zacytowała znaną mi prawdę. Wystarczy, że te zdjęcia opatrzę krótkim, oczywiście pochwalnym komentarzem i wystarczy. Żadnych wywiadów nie potrzeba.

– Ale żebyś mógł te podpisy pod zdjęciami zrobić jak trzeba – Roksana znienacka przeszła „na ty", to musisz mnie lepiej poznać, prawda?

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi pokoju i po chwili kelner zastawił stolik różnymi alkoholami, z szampanem na czele.

– Wypijesz ze mną za mój sukces! – to nie było pytanie, ale polecenie!

– Ależ ja tu jestem w pracy – próbowałem się wymówić – i przyjechałem swoim samochodem. – Po kielichu mam teraz nocą wracać do domu? – dodałem, wyciągając koronny argument kierowcy.

– A kto ci każe gdziekolwiek jechać? Zostań przynajmniej do rana, popatrz jakie tu jest szerokie łóżko, na pewno się zmieścimy we dwoje – zachichotała radośnie i zachęcająco Roksana.

– Proszę pani, ja mam żonę, którą kocham i która teraz czeka na mnie w naszym domu. Nie zostanę tu ani chwili dłużej! Żegnam panią!

– No coś podobnego! – Roksana była wyraźnie oburzona moją odmową. – Jeszcze mi się to nigdy nie zdarzyło! Przecież ja jestem najlepsza „w te klocki". A myślisz, że jakim sposobem zostałam wice miss? U kilku członków jury załatwiłam sobie głosy przez łóżko właśnie! I wcale się tego nie wstydzę, ani nie żałuję tych nocy. Możesz to sobie napisać w tym artykule – wołała za mną Roksana. – Weź tego pendriva i przyślij mi egzemplarz twojej „świętej" gazety! Będę miała do kolekcji!

Wracałem do domu wkurzony maksymalnie i myślałem, że właśnie doświadczyłem tego jak pycha rodzi kolejny grzech – nieczystość…

Czas naglił, nie mogłem sobie pozwolić nawet na jeden wolny dzień. Następny numer od Majki był do dziewczyny, którą znałem z widzenia, bo mieszka w naszej dzielnicy. Gdy zaproponowałem jej wywiad do porządnej gazety, a nie do jakiegoś brukowca, bardzo się ucieszyła i od razu zapytała, czy możemy porozmawiać w restauracji „Smakowite potrawy" (nota bene w najlepszym i jednocześnie najdroższym lokalu w mieście). Zgodziłem się, bo wśród ludzi mógłbym z Żanetą porozmawiać, ale po ostatnich doświadczeniach, w samotności – nie!

Przyszedłem na miejsce grubo wcześniej niż się umówiliśmy. Przejrzałem kartę menu i zamierzałem zaproponować mojemu gościowi jakąś

drobną przekąskę i ewentualnie kawę z ciastkiem firmowym. Przecież takie „misski" muszą dbać o linię. A i ja nie mam jakichś specjalnych funduszy służbowych na kulinarne cele.

Żaneta spóźniła się niemal pół godziny. Wcale nie wyglądała na „misskę", chociaż od konkursu minęło przecież niewiele czasu. Miała na sobie jakąś burą, szeroką bluzę i podobne spodnie. Nie pytając nawet, jakie sprawy mnie interesują, od razu zaczęła przeglądać kartę dań i zawołała kelnera, który spisał jej zamówienie na dwóch stronach tabletu.

– A pan, co będzie jadł? – przypomniała sobie o mojej obecności Żaneta.

– Ja? Chyba pozostanę przy wodzie mineralnej! A pani zamierza sama to wszystko zjeść? Nie dba pani o swoją sylwetkę, nie stosuje pani jakiejś specjalnej diety? – pytałem w nadziei, że zrezygnuje z jakiegoś dania, chociaż na moją korzyść.

– A po co mi ta sylwetka i tak nie zostałam nawet wyróżniona przez jury. Bardzo nad tym boleję! Codziennie ryczę do poduszki, a swoje rozczarowanie i smutek z przegranej rekompensuję sobie dobrą kuchnią. I oczywiście obfitym barkiem, bo wtedy lepiej się trawi, prawda?

– Nie wiem, nie przejadam się, a z alkoholi piję tylko sporadycznie czerwone wino do obiadu – odpowiedziałem co nieco zmieszany.

– Trudno, popatrzy pan jak jem, to może wróci panu apetyt. No bo chyba nie jest pan anorektykiem? Bo ja jem i piję teraz dużo i tłusto. „Jak szaleć to szaleć" – mawiał mój śp. pradziadek. Co prawda mój kuzyn Filip, który studiuje w seminarium duchownym mówi, że popełniam grzech, który nazywa się „nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu", ale cóż. Muszę się jakoś ratować. Byłam najlepsza, a tu co – zwyciężyła ta czarna wiedźma. Jak ja jej zazdroszczę! Chodzi teraz i puszy się jak paw! Zarozumiała i wyniosła jak wieża Eiffla! – tu Żanecie wyrwało się okropne przekleństwo, którego z oczywistych względów nie zacytuję. – Filip mówił mi – kontynuowała już nieco spokojniej – że człowiek nie powinien być pyszny, ale pokorny. Pokora to bardzo rzadka i cenna cnota, ale ja na szczęście ją mam! – pochwaliła się Żaneta, zaprzeczając jednocześnie swoim słowom.

Bo to przecież właśnie człowiek pyszny publicznie manifestuje swoją „pokorę". Ale Żaneta oczywiście nie zauważyła tej sprzeczności, tylko z entuzjazmem godnym lepszej sprawy, zaczęła pochłaniać kolejne dania, które kelner sukce-

sywnie donosił. Łaskawie poczęstowała mnie kawałkiem pieczonego łososia w sosie cytrynowym i miseczką surówki, która nie przypadła jej do gustu. Między jednym a drugim kęsem, paplała o ludziach i sprawach zupełnie mi obcych, obmawiając ich i krytykując ile wlezie.

Na moje pytanie – jakie ma plany na przyszłość – odpowiedziała tajemniczo, że poznała w czasie konkursu na miss wspaniałego mężczyznę, który sponsorował to wydarzenie, a jest właścicielem znanej sieci restauracji.

– I tam będzie moje miejsce. Janusz już złożył w sądzie pozew rozwodowy, pobierzemy się i będziemy żyć długo i szczęśliwie! – zakończyła Żaneta, jedząc trzecie już ciastko z brzoskwiniami.

Ta masa apetycznego jedzenia, którego było coraz więcej i więcej, nasunęła mi myśl, że dążenie i sięganie po więcej, droga do wielkości, pragnienie bycia wyżej, ponad kimś, samo w sobie jest pozytywne, bowiem bez przekraczania siebie i zewnętrznych granic, nie byłoby wzrostu, lecz stagnacja i regres. Bo kto nie wzrasta, ten kurczy się. Ale wszelka przesada to już patologia u Żanety objawiająca się, mówiąc najprościej – obżarstwem. W jej przypadku więc pycha zrodziła potrójne zło: zazdrość, rozbicie małżeństwa i nieumiarkowanie, które z pewnością spowoduje spustoszenie w jej organizmie i nie wiadomo, do czego doprowadzi w przyszłości…

Zanim nawiązałem następny kontakt z „misską", nie spałem przez dwie noce. Byłem już skłonny iść do szefa zrezygnować z tego kontrowersyjnego tematu, ale wahałem się, bo honor dziennikarza mi na to nie pozwalał.

W końcu się zmobilizowałem i zadzwoniłem do Elizy. Gdy poprosiłem o możliwość przeprowadzenia z nią wywiadu, najpierw zapytała ku mojemu zdziwieniu, czy będzie musiała coś zapłacić za to, że znajdzie się w gazecie. No bo

jak kiedyś dawała ogłoszenie do prasy, że zaginął jej pies, to musiała wybulić niemałą kasę za parę centymetrów kwadratowych. – To nowy pies byłby tańszy – dodała z sarkazmem. Gdy okazało się, że nic to nie będzie ją kosztowało, zgodziła się i od razu zmieniła front oznajmiając, że w takim razie to ona oczekuje honorarium za swoje słowa! Coś jej tam niewyraźnie mruknąłem, co Eliza widocznie odebrała za potwierdzenie swoich żądań i ustaliła, że spotkamy się dopiero wtedy, gdy na jej konto wpłynie okrągła sumka! Kwota, którą wymieniła, spowodowała u mnie zawrót głowy, próbowałem coś negocjować, ale Eliza moje usiłowania zmierzające do wyraźnej obniżki „ceny za wywiad", ucięła gwałtownym tonem:

– Czy pan wie, ile ja wydałam kasy, żeby po pierwsze: znaleźć się w finale konkursu, a po drugie: zdobyć wyróżnienie? Temu daj w łapę, żeby zagłosował na mnie, i temu, i tamtemu. Nawet asystentce reżysera końcowej gali, bo wylosowałam numer trzynasty, co do którego jestem wyraźnie uprzedzona, i do tego ostatni! Za pewną „opłatą" wyszłam z numerem piątym. Piątka dobrze się kojarzy, prawda?

Zainwestowałam, ale w nadziei, że kasa wróci do mnie przynajmniej trzy razy taka. A tu nagroda

pieniężna okazała się niewysoka, inne profity mizerne, a głównego sponsora, właściciela sieci znanych restauracji, zwinęła mi sprzed nosa Żaneta. Szalenie jej zazdroszczę, bo to była kura znosząca złote jaja. A ja chciałabym mieć więcej i więcej, i więcej pieniędzy. Dorobiłam trochę w kontraktach z jednym z jurorów, który wolał mnie zamiast kasy. Ale to wszystko mało! No to jak będzie z tym moim dziennikarskim wynagrodzeniem?

– To nie zależy ode mnie, ale od szefa, czyli redaktora naczelnego. Powiem mu o pani propozycji – to przecież mogłem bez kłamstwa obiecać Elizie. Bo powiem na pewno, chociażby po to, aby

wytłumaczyć się z tego, że nie będzie wywiadu z wyróżnioną miss, która ma na imię „chciwość".

Gdy Eliza się wyłączyła, z satysfakcją wykasowałem z komórki jej numer. Dalszego ciągu nie będzie! No to na czym ja stoję? Od Majki mam jeszcze dwa numery. Jak się powiedziało „a", to trzeba powiedzieć i „b". Czy i je „pycha rozpycha, od Boga odpycha" – jak mawiał mój znajomy proboszcz?

Zadzwoniłem na pierwszy z tych dwóch numerów, aby to sprawdzić. Odezwała się Beata. I tu czekała na mnie niespodzianka! Beata od razu, gdy usłyszała, o co mi chodzi, powiedziała, że daje mi do telefonu swoją siostrę, Patrycję. – Ona też jest „misską" – wyjaśniła. I okazało się, że są to siostry – bliźniaczki, a ostatni numer telefonu, który mi pozostał, należy właśnie do Patrycji.

Patrycja nie była zachwycona tym, że Beata wrobiła ją w wywiad do gazety. Była już umówiona na cykl spotkań w jednej ze stacji telewizyjnych. Potem ma zaplanowany wyjazd na sesję zdjęciową do producenta kalendarzy. Tak więc najbliższe terminy są zajęte.

– Pani Patrycjo, to może jednak namówi pani siostrę, może ma więcej czasu? – zapytałem z nadzieją.

– Ja zasadniczo nie rozmawiam z Beatą. Gniewam się na nią! Mimo że jesteśmy siostrami i to bliźniaczkami. Przed konkursem ciągnęłyśmy zapałki, która z nas ma się zgłosić na eliminacje. I padło na mnie. A Beata w tajemnicy przede mną też wystartowała. I co? Dwie identyczne kandydatki? Od razu nas skreślili, no bo jak tu wybierać między nami? A sama na pewno miałabym szansę! Przecież byłam najpiękniejsza i najmądrzejsza, a tamte dziewczyny to były pożałowania godne pokraki.

Patrycja była tak wkurzona, że aż nie mogła wydobyć z siebie głosu. Gniew też ją pewnie zaślepił, że opowiada takie bzdury o kontrkandydatkach – pomyślałem ze smutkiem. Co ta pycha robi z człowieka!

A dlaczego właściwie Beata mnie spławiła? Nie odpuściłem i ponownie do niej zadzwoniłem. Zdecydowała się na spacer ze mną po parku. Nie czuła się winna, że również stanęła w szranki konkursowe.

– Od dzieciństwa czułam się gorsza od Patrycji, nie wiem dlaczego. Urodziłam się siedemnaście minut po niej i zawsze byłam w jej cieniu. Wielokrotnie doświadczałam przekonania, że rodzicom wystarczyłaby Patrycja, czyli jedna córka. Ja wszystko robiłam gorzej niż siostra, to do mnie mówiono: „nic z ciebie nie będzie”… Tak to do mnie przylgnęło, że wolałam już nic nie robić, niż robić cokolwiek i narażać się na krytykę. Praktykowałam więc lenistwo na co dzień. Patrycja uprzykrzała mi życie wielokrotnie. Nie szanowała mojej godności, moich praw, chociażby w domu. Obmawiała mnie, obnażała moje słabości, podkreślała minusy mojego ciała, wyśmiewała to, że jestem osobą wierzącą i wieczorem modlę się, czytam Pismo Święte zamiast, jak mawiała, dbać o swoje biodra i biust. Konkurs „Miss Pomorza” to był taki mój krzyk rozpaczy, żeby zawalczyć o siebie. Niestety nie wyszło… I teraz nienawidzę Patrycji jeszcze bardziej, a przecież „miłość nie unosi się pychą”… Nie mogę sobie z tym poradzić we własnym sumieniu…

Odprowadziłem Beatę pod jej dom i wracając do redakcji, zastanawiałem się smętnie – czy wyjdzie coś z mojego pomysłu na artykuł? I nagle przyszło natchnienie: będzie to super tekst, najlepszy w gazecie od wielu miesięcy. Przecież skończyłem studia dziennikarskie z wyróżnieniem, napisałem już w życiu parę ładnych tekstów, mam w kolekcji kilka prestiżowych nagród. Zrobiłem wiele dla…

To wszystko, co usłyszałem od missek jest przecież prawdą i koniecznie trzeba o tym przypominać, zwłaszcza w aspekcie tak trudnego dylematu, jak pycha właśnie! Bo jest ona zaczynem każdego grzechu!

Ja, ja – a ty, a my? Czyli nie szukaj swego

Egoizm mija wtedy,
gdy człowiek przestaje liczyć się z sobą.

Wojciech Bartoszewski

Anka, znowu wysiadujesz przed tym komputerem. Przecież są wakacje. Poszłabyś na spacer czy na plażę. Wcale nie korzystasz ze słońca. Teraz taka moda na bladą cerę?

– Oj mamo, nie marudź. Kupiłam sobie krem samoopalający, posmaruję się i będę wyglądać jak mulatka. A w tym – jak mówisz – komputerze są ciekawe rzeczy. Zobacz, na forum ktoś udostępnił wyniki sondaży przeprowadzonych przez firmę „Psych-Praktyk". Ja codziennie wchodzę na portale randkowe, to mi się przydadzą te rady. Posłuchaj! – Anka, zafascynowana, zaczęła głośno czytać, zupełnie nie słuchając, co sądzę o internetowych randkach.

W ubiegłym roku w Polsce zastraszająco wzrosła liczba rozwodów. Sklasyfikowano ich powody, ujawnione w pozwach rozwodowych i okazało się, że jesteśmy narodem ludzi samolubnych! Bardzo często małżeństwo nie przetrwało nawet dwóch lat, właśnie dlatego, że żona, a częściej mąż był egoistą i (lub) egocentrykiem.

Tu Anka przerwała, bo zapytałam głośno:

– Czy egoista i egocentryk to nie jest to samo?

– Nie – odpowiedziała ze znawstwem Anka. – Tu jest wyjaśnienie, że rzeczywiście ludzie mylą te pojęcia, ale, najprościej mówiąc, egoista dba tylko o własne dobro, nawet kosztem innych, a egocentryk uważa, że jest w centrum zainteresowania otoczenia, że świat kręci się wokół niego, że ma wpływ na wszystko i wszystkich. Ale jak chcesz, to poczytaj sobie dokładniej – Anka zezwoliła łaskawie. – Mówiłaś, że już nie możesz wytrzymać z ojcem; tu wszystko pasuje jak nic do was! A ja muszę o tym pogadać z Tolą, bo ostatnio spotyka się z facetem, który tak na oko jest egoistą. Muszę ją ostrzec, żeby nie zabrnęła za daleko w tej znajomości.

Czytanie o ludziach samolubnych zostawiłam sobie na wieczór. Teraz miałam w głowie zamęt, który potęgowała jeszcze głośna rozmowa Anki z Tolą. Dziewczyny usiadły na tarasie, ja gotowałam obiad i byłam, chcąc nie chcąc, niemym świadkiem zwierzeń Toli – jako drugiej, poszkodowanej połowy. Ale najpierw Anka zrobiła Toli (i przy okazji mnie) wykład, jak poznać, że związała się z egoistą.

– W Internecie znalazłam taki dobry kawałek – Anka była bardzo podniecona – posłuchaj: „Jest pięć sygnałów tego, że twój partner jest egoistą. Po pierwsze – liczą się tylko jego warunki, jego pomysły, a ty dostosowujesz się i poświęcasz.

Odkładasz swoje plany, swój punkt widzenia, bo ważne jest tylko to, co on wymyślił. Po drugie" – tu Tola przerwała Ance i podała szereg przykładów na potwierdzenie tego, co mówiła:

– No, rzeczywiście tak jest! Konrad narzuca mi np. sposób spędzania wolnego czasu. Jeżdżę z nim w niedziele skoro świt na ryby. Nie znoszę rannego wstawania, zimna, wody, komarów, a przede wszystkim ryb. Jak Konrad coś nie daj Boże złowi, to potem muszę to pół dnia obrabiać, smażyć. W całym domu cuchnie rybami. A jak nie chcę ich jeść na obiad, to zwykle jest awantura.

Ja bym najchętniej w niedzielę zjadła pizzę lub kurczaka z rożna, ale Konrad nie chce o tym słyszeć. No to się poświęcam dla świętego spokoju. Na wakacje zimowe mamy pojechać w Tatry, bo Konrad musi wypróbować nowe narty. Proponowałam jakieś ciepłe kraje, ale… Ja muszę nawet ubierać się tak, jak Konrad mi każe – on uwielbia czarny kolor, a ja wyglądam w nim jak „śmierć na chorągwi", wolę pastele, ale… Mogłabym wymieniać tak długo, długo…

– „Po drugie…" – zaczęła znów Anka – „taki samolubny facet jest wiecznie niezadowolony. Czego byś nie zrobiła, krytykuje, bo on zrobiłby to lepiej". Były u ciebie takie sytuacje?

Tola pokiwała potakująco głową:

– Źle gotuję, źle sprzątam, w nie takich sklepach robię zakupy, źle dobieram mu krawaty, źle całuję… No to po co jest ze mną, zastanawiam się często. Ale żeby tak razem ze mną posprzątać, czy pojechać na zakupy? O, co to, to nie, ale gadać można.

– Tak! A poświęcasz się, aby go zadowolić? Dajesz mu swój czas, energię, może i pieniądze? A on tego nie docenia? Nie odwzajemnia? No, oczywiście!

Tola już miała całą gamę przykładów, ale Anka kontynuowała:

– „Czwarty sygnał egoizmu to dawanie ci do zrozumienia, że nie jesteś dla niego ważna, bliska. Nie nazywa cię mianem kogoś, kto ma u niego szczególne miejsce. Traktuje cię „tymczasowo"! Twoje uczucia i pragnienia go nie interesują. Będzie z tobą tak długo, jak jemu będzie z tobą dobrze. Nie łudź się, że budujesz trwały związek! I po piąte! Flirtuje z innymi dziewczynami, nawet w twojej obecności? No właśnie, bo szuka swojego dobra, swojego zadowolenia, szuka spełnienia swoich pragnień i marzeń, także kosztem innych ludzi. Nie obchodzi go, że wtedy cierpisz".

Wyjrzałam na taras pod pretekstem urwania pietruszki do obiadu. Tola taka była zdruzgotana, a ja doszłam do wniosku, że ten Internet w końcu przydał się do czegoś konkretnego. Przytuliłam zapłakaną dziewczynę i poradziłam po matczynemu:

– Tolu, daj sobie spokój z tym Konradem. Zmarnujesz życie. A teraz zapraszam na obiad. Lubisz ogórkową?

Wieczorem usiadłam do Internetu i zajrzałam do linków, które mi wypisała Anka. Było tego niemało. Nawet nie przypuszczałam, że tyle osób interesuje się problemem egoizmu, egocentryzmu, że ludzie samolubni mogą tak innym zatruć życie.

Coś o tym wiem, bo Tadzik, mój mąż, jest właśnie egoistą, egocentrykiem, a szczególnie samolubem w jednej osobie!

Już kilka razy przymierzałam się do napisania pozwu o rozwód i nawet dzisiaj przed południem, po rozmowie Anki z Tolą, byłam zdecydowana, żeby sfinalizować tę sprawę, ale postanowiłam sobie dać nam jeszcze jedną szansę.

Tadzik miał wrócić z delegacji za trzy dni. Uprzedziłam go, że chciałabym poważnie porozmawiać, podesłałam namiary internetowe. Był zdziwiony, chyba nie przypuszczał, że pozew rozwodowy wisi nad nim jak miecz Domoklesa. I wreszcie nadszedł ten dzień, na który czekałam z drżeniem serca. Miałam powiedzieć Tadzikowi tyle trudnych słów, ale i usłyszeć prawdę o sobie. Czy Tadzik uważa mnie za kobietę samolubną?

Zaczęło się niefortunnie, bo posprzeczaliśmy się, kto ma rozpocząć wylewanie żalów. Ja uważałam, że kobieta powinna i tu mieć pierwszeństwo, Tadzik, że sprawiedliwie będzie według alfabetu. A że nazwisko mamy wspólne, to kolejność według imion przypada na niego, bo ja jestem Zofia. W końcu stanęło na tym, że on rozpocznie, ale powie tylko o jednym zarzucie przeciwko mnie, potem ja powiem swój wobec niego i tak

na zmianę, aż do końca. Mieliśmy dla siebie całe popołudnie i wieczór, co dawno się nie zdarzało. Zdecydowaliśmy, że będziemy nagrywać naszą rozmowę, żeby móc wrócić do najważniejszych kwestii. Na bieżąco nie będziemy też dyskutować, spierać się, wypierać itp. to może mieć miejsce ewentualnie później, po przemyśleniu…

Tadzik rozpoczął dosyć oryginalnie:

– Ciągle mówisz, że ty kochasz… Ty tęsknisz… Ty się smucisz, radujesz… Ty…, ty i ty…, a ja? A gdzie my?

– I kto to mówi? Przecież to właśnie ty przesadnie zajmujesz się sobą, swoimi problemami, przeżyciami! Bez przerwy muszę słuchać, że znów utyłeś, że wypadają ci włosy, że wkurzył cię ten i ten, że w pracy cię nie doceniają, że za mało płacą, że koleżanka zwróciła ci uwagę na nieprofesjonalne zachowanie, że ktoś ci podebrał dobrego klienta, że… I bardzo się denerwujesz, gdy ja też usiłuję wtrącić w ten monolog swoje problemy. A gdy nawet uda mi się coś powiedzieć, to i tak nie reagujesz, nie pocieszysz, nie poradzisz, co mam zrobić, np. zgodzić się na tę operację, czy nie?

– Na jaką operację? To ty jesteś chora? Nie żartuj. Ktoś w tym domu musi być zdrowy, no bo przecież ja ciągle się przeziębiam, kaszlę, jestem słaby. Czy ty to dostrzegłaś? Kiedyś poprosiłem, żebyś poszła do apteki po coś na grypę, ale ty najpierw musiałaś obejrzeć swój ulubiony serial!

– No właśnie, to jesteś cały ty! Zawsze wyolbrzymiasz krzywdy i przykrości, których doświadczasz, czy to w domu, czy w pracy! A ty mnie wykorzystujesz, uważając że pomaganie ci zawsze i wszędzie i to natychmiast, należy ci się i jest naturalne. Nic by ci się nie stało, gdybyś wtedy sam poszedł do apteki, gorączki nie miałeś, a ja wróciłam z pracy ledwie żywa, dosłownie słaniałam się na nogach i musiałam przysiąść chociaż na te pół godzinki, odpocząć i odreagować. Ten twój roszczeniowy stosunek do całego świata jest nie do wytrzymania!

– O! teraz pokazałaś, że jesteś nadwrażliwa i wyraźnie zbyt emocjonalna w kwestiach, które bezpośrednio cię dotyczą! Chodząca mimoza! Wciąż uważasz się za kogoś wyjątkowego! Nie dalej jak wczoraj chwaliłaś się przez telefon komuś, że najlepiej na świecie robisz pierogi! A ja ich nie cierpię! Jak ja coś zrobię na obiad, to…

– No tak! Wyszło szydło z worka! Zawsze postrzegasz innych jako gorszych, a siebie przeceniasz i gloryfikujesz. Obojętnie, czy chodzi o pierogi (czyżbyś rzeczywiście kiedyś je zrobił

na obiad i to lepiej ode mnie?), czy załatwienie jakiejś sprawy, czy obcięcie żywopłotu u twojej mamy w ogrodzie, czy pomalowanie sufitu…, wszystko robisz najlepiej! Zawsze tak jest? Czy tylko tak uważasz? A pamiętasz, gdy sąsiad radził ci, jak obcinać żywopłot, nie posłuchałeś i wyszedł „w ząbki". Ale ty generalnie nie doceniasz zdania innych, z zasady ich marginalizujesz, bo zawsze wiesz lepiej! Jesteś po prostu samolubny!

– No, to już są szczyty! Ja jestem samolubny? To właśnie ty jesteś aspołeczna i niezaangażowana. Było niedawno spotkanie mieszkańców w sprawie budowy garaży i co, poszłaś na nie? Nie, musiałem pójść ja!

– Przecież to ty masz prawo jazdy i samochód jest twój. To ja miałam użerać się na zebraniu w spółdzielni z jakimiś facetami i wykłócać o dobrą lokalizację garażu! Czy ja się na tym znam? Jak możesz mi teraz to wyrzucać? No i wybrałeś chyba najgorszy garaż, bo podmywa go woda i przez to drzewo, trudno z niego wyjechać!

– Co to za uwagi? Niby się nie zna, a…

– No widzisz! Nie umiesz przyjąć nawet konstruktywnej krytyki! Rozmawiałam z sąsiadem po tym spotkaniu i mówił mi, że w czasie dyskusji zupełnie nie słuchałeś tych, którzy się z tobą nie zgadzali, za to krytykowałeś innych za ich plecami. I co? Pewnie jak zwykle wierzyłeś, że zasługujesz na wszystko co najlepsze i dostaniesz garaż, który sobie upatrzyłeś? A tu klops!

– Już nie marudź! Ty właśnie tak masz! Gadasz i gadasz! A wcześniej byłaś obojętna i do tego niekoleżeńska. Przecież żona prezesa spółdzielni chodziła z tobą do jednej klasy. Nie mogłaś spotkać się z dawną koleżanką, zanieść jakiś koniak i bombonierkę, i załatwić mi, co trzeba? Pogadałaby z mężem i ten garaż w drugim rzędzie byłby mój.

– No wiesz! Dziwacznie rozumiesz koleżeńskość. Ale cóż się dziwić, jeżeli ty wcale nie masz kolegów! Bo kto by z tobą wytrzymał! Przecież ty myślisz tylko o sobie i własnych korzyściach. Czy ty kiedykolwiek sprawiłeś innym radość? Ja sobie tego nie przypominam… W ubiegłym tygodniu robiłam przelew na rzecz Fundacji „Serduszko", mówiłam ci, że to dla dzieci chorych na serce, często od poczęcia. A ty, zamiast się dołożyć, wyśmiałeś mnie. Pożałowałeś grosza! Nie pamiętasz już, jakie problemy mieliśmy z Anią, jak się urodziła? Jak zbieraliśmy na operację w Berlinie?

– To jeszcze nie powód, żebym teraz pozbywał się kasy dla jakichś obcych, chorych dzieciaków. Wcale nie mam jej tak dużo!

– No tak! Bo jak Szymon przyszedł do ciebie z propozycją założenia firmy internetowej, to go spławiłeś. Jak zwykle, bałeś się porażki i nie podjąłeś ryzyka. Taki z ciebie wielki biznesmen. A Szymon teraz ma dochody jak się patrzy! Widziałeś jego nowy samochód?

– A niech sobie nim jeździ, a jeszcze lepiej – niech wpadnie do najbliższego rowu! Wielkie mi osiągnięcie! Ja to mam życiorys zawodowy, niejeden by mi pozazdrościł. Byłem przecież majstrem w zakładzie, potem…

– To już słyszałam ze sto razy! Zaraz powiesz, jakie to wielkie ryby łowiłeś w swojej karierze wędkarskiej i że raz zagrałeś w telewizyjnym turnieju… Chwalisz się tym bez końca. Często w sposób iście gwiazdorski! Może to na tyle wystarczy! – zaproponowałam w pewnym momencie. – Ty po prostu jesteś zakochany w sobie! Jesteś człowiekiem samolubnym!

Wydawało mi się, że Tadzik przyjął tę diagnozę. Ale i mi się dostało. Mam o czym pomyśleć. Jeszcze raz sprawdziła się prawda, że w małżeństwie nie ma jednego winnego. Moje egoistyczne zapędy w połączeniu z wyskokami Tadzika omal nie doprowadziły do naszego rozstania!

Czy ta rozmowa pomoże? Ja zrobię wszystko, żeby tak było! Nabrałam też nadziei, że i Tadzikowi zależy na naprawie naszych relacji. Rano zastałam w kuchni na stole, przy moim nakryciu, piękną różę z karteczką: „Sprawiaj innym radość, a zobaczysz wtedy, że radość cieszy" (P.S. – ciąg dalszy twoich słów znalazłem w Internecie i próbuję wprowadzić je w czyn – fajne uczucie!). Jak wrócę z pracy, to wieczorem pogadamy, OK? Może uda nam się dojść do przyczyn naszych zachowań? A może i do ustalenia – co dalej z nami? Dobrego dnia, Zosieńko!

Niewłaściwe życiowe wybory, czyli chybione szczęście

Rozkosz przeciwna mądrości.

Piotr Skarga

W kilku krajach Europy Zachodniej przeprowadzono sondaż diagnostyczny, pytając respondentów, czy dobrze, szczęśliwie przeżywają swoje życie. Czy też źle wybrali jego cel? Mottem przewodnim były słowa: „Kto pragnie być szczęśliwym, musi postarać się o coś, z czego żaden los nie zdoła go ograbić".

Drodzy Czytelnicy! Zanim przedstawimy zatrważające wyniki sondażu, zachęcamy i Was do refleksji na ten temat. Czekamy na Wasze wypowiedzi – listy, maile lub wywiady, które przeprowadzi redaktor Ewa Z. (tel. xxx xxx xxx) – do końca kwietnia.

Wkurzyłam się, że naczelny skierował mnie do takiej pracy. Jestem z wykształcenia prawnikiem i ekonomistą, a nie socjologiem czy psychoterapeutą. Najlepiej do tego tematu nadawałaby się Olga, ale poszła właśnie na długotrwałe zwolnienie, które potrwa jeszcze przez te ostatnie miesiące zagrożonej ciąży, a Zuza, która ewentualnie też mogłaby wchodzić w grę, miała jeszcze do wykorzystania zeszłoroczny urlop, co o tej porze, w świetle prawa pracy, było niedozwolone i groziło szefowi niemiłymi konsekwencjami. Pozostała mi tylko nadzieja, że niewiele osób (a może i nikt) się odezwie na ten apel. Ludzie – w pędzie życia – nie są pewnie skłonni do takich poważnych refleksji nad sobą.

I rzeczywiście przez parę dni było cicho w tej sprawie. Zrobiłam reportaż o schronisku dla zwierząt, a także o tanich zakupach w Internecie, i właśnie chciałam ustalić kolejny temat z naczelnym, gdy zadzwonił telefon.

Usłyszałam bardzo cichy kobiecy głos:

– Chciałabym rozmawiać z panią redaktor Ewą, w związku z informacją w gazecie na temat: „Moje życie". Gdy potwierdziłam, że to ja jestem Ewa, kobieta przedstawiła się imieniem Agata i powiedziała, że ona i jej koleżanka Cecylia,

chciałyby podzielić się z czytelnikami historią swojego życia.

Udając entuzjazm, podziękowałam paniom za tę propozycję i patrząc w swój terminarz, zaproponowałam spotkanie za tydzień, w naszej redakcyjnej kawiarence na ulicy… – tu pani Agata przerwała mi podawanie adresu, mówiąc:

– Niestety nie będziemy mogły przyjść na to spotkanie.

– Jak to, przecież panie chcą ze mną porozmawiać – zdumiałam się reakcją mojej rozmówczyni.

– Pani redaktor, ja dzwonię z Hospicjum Świętego Łukasza. Obie leżymy tu od miesiąca i nie jesteśmy w stanie wyjść nawet na krótką przepustkę. A i terminu tygodniowego nie możemy zapewnić… – tu głos pani Agaty wyraźnie zadrżał. – Listu czy maila też nie damy rady napisać, bo na rękach wciąż mamy założone kroplówki, a wokół różne inne kabelki, worki itp. Prosimy więc, żeby to pani nas odwiedziła. My mamy zawsze czas na rozmowę, oczywiście dopóki…

– Nogi ugięły się pode mną. Nigdy nie byłam w hospicjum, uważam to miejsce za przerażające. Nawet szpital robił zawsze na mnie smętne wrażenie. Ale cóż, muszę wykonać polecenie

naczelnego. Powiedziałam więc pani Agacie, że będę u nich za godzinę.

Przełożyłam inne spotkania, sprawdziłam lokalizację i dojazd do hospicjum. Było to dosyć daleko od centrum, miałam więc czas, aby po drodze przemyśleć pytania, które zadam moim rozmówczyniom. Nerwowo utwierdzałam się w przekonaniu, że będzie to dobry materiał, bo kiedy jak kiedy, ale właśnie w obliczu nadchodzącej śmierci, człowiek często robi życiowy bilans i rachunek sumienia.

Nie myliłam się. Nawet moje pytania były zbędne, bo obie panie wyraźnie przygotowały

się na to ostatnie pewnie „sprawozdanie z życia". Ich wypowiedzi wymagać będą tylko niewielkich redakcyjnych korekt. Nagrałam je w całości i tak zamierzam przedstawić naczelnemu:

– Jestem Alina. Nie mam odwagi podać swojego prawdziwego imienia. W wieku czterdziestu pięciu lat umieram na nowotwór piersi z licznymi przerzutami. Obecnie przebywam w Hospicjum Świętego Łukasza. W ubiegłą niedzielę pielęgniarka zawiozła mnie na wózku do kaplicy na mszę świętą. Byłam bardzo słaba, ale tak chciałam tam być! Przecież w poprzednie niedziele nie ruszałam się z łóżka. A właśnie na tej mszy świętej, gdy usłyszałam słowa czytania z Pisma Świętego, przyjęłam je bardzo osobiście, bo one były skierowane do mnie! Całego tekstu nie pamiętam, ale szczególnie uderzył mnie ten fragment, jak potem sprawdziłam, z 2 Listu świętego Pawła Apostoła do Tymoteusza, w którym natchniony autor przewiduje, że będą ludzie miłujący bardziej rozkosz niż Boga, chociaż będą stwarzać pozór pobożności.

A tak właśnie było ze mną! Kontakt z Panem Bogiem urwałam po bierzmowaniu, zresztą nie ja jedna z klasy. Panowało takie powiedzenie, że sakrament bierzmowania to akt pożegnania się z Kościołem. Mama zachęcała mnie, prawdę mówiąc niezbyt przekonująco, abym dalej chodziła na religię i w niedzielę do kościoła, ale ja zawsze znalazłam jakąś wymówkę.

Mijały lata, pochłonęły mnie sprawy doczesne, matura, potem studia, imprezy, a nawet orgie seksualne w akademiku, gdzie było dobrze widziane częste zmienianie partnera czy partnerki. Wiedzę i praktykę z seksuologii miałam w małym palcu, chociaż studiowałam na kierunku „Zarządzanie biznesem". Pamiętam, że raz czy dwa, w czasie tzw. „kolędy", przychodził do akademika jakiś młody ksiądz, ale niewielu studentów otworzyło mu drzwi swoich pokoi. W moim środowisku „czarni" byli wyśmiewani, wyszydzani, kiedyś nawet ksiądz dostał po twarzy od chłopaka, którego dziewczyna zdecydowała się pójść do klasztoru. Była potem z tego powodu niemała awantura i skończyło się na komisji dyscyplinarnej.

Po trzecim roku mieliśmy praktykę zawodową w firmie transportowej. Poznałam tam Witolda, młodego, przystojnego menedżera, który profesjonalnie wtajemniczał nas w zawiłości biznesu. Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia. Jak się wkrótce okazało, z wzajemnością. Zaczęliśmy chodzić ze sobą ku powszechnej zazdrości

moich koleżanek, ale i kolegów, którzy jednak nie odpuszczali i dalej zapraszali mnie na seksualne spotkania w akademiku. Witold miał dużo pracy, widywaliśmy się praktycznie tylko w soboty i niedziele, i to nie zawsze, bo często musiał wyjeżdżać służbowo. Nic nie wiedział o moim podwójnym życiu. Sam wyznawał niedzisiejszą zasadę, że do łóżka idzie się po raz pierwszy w noc poślubną. Owszem, przytulił mnie, pocałował, ale…

Był bardzo religijny, niedzieli nie wyobrażał sobie bez mszy świętej. Gdy wyjeżdżał do jakiegoś nieznanego sobie miasta w Europie i nie tylko, pierwsze co, to sprawdzał w Internecie, gdzie jest tam najbliższy kościół katolicki. Gdy obowiązki mu na to pozwalały, biegał na mszę świętą nawet w dni powszednie. Byłam nawet zazdrosna o Pana Boga, ale Witold mówił, że przecież możemy tam chodzić razem.

Po ślubie, oczywiście kościelnym, przed którym „załatwiłam sobie" kartkę od spowiedzi, bo przecież w dobie Internetu każde fałszerstwo dokumentów jest możliwe, musiałam udawać pobożną osobę. Niestety bardziej umiłowałam rozkosze seksualne niż Boga, zachowując jednak fałszywie pozór pobożności.

Byłam dobrą aktorką i przebiegłą grzesznicą. Na szczęście nie trwało to długo, bo w drugim roku naszego małżeństwa Witold zginął w wypadku, w czasie podróży służbowej do Norwegii. Kierowca tira zasłabł za kierownicą i z całym impetem wjechał w przód samochodu, którym jechał Witold ze swoim szefem. Nie mieli żadnych szans na przeżycie…

Zostałam więc sama. Dzieci nie mieliśmy, bo według lekarzy byłam bezpłodna na skutek tego, że w czasie studiów zabiłam dwoje swoich poczętych dzieci. Nie wiedziałam nawet, kto był ich ojcem, wściekła, że niedokładnie się zabezpieczałam.

Zostałam wdową w wieku dwudziestu pięciu lat i miałam przed sobą całe życie. Przez kolejnych dwadzieścia lat nic w nim nie zmieniłam. Na dobre obraziłam się na Pana Boga. Teraz już wobec Niego nie musiałam udawać. Przed rokiem okazało się, że mam raka piersi. Nigdy nie robiłam żadnych badań, myślałam, że „to" spotyka innych, ale nie mnie.

Miesiąc temu trafiłam do hospicjum. I dopiero tu, gdy nie ma już dla mnie ratunku, zrozumiałam, że przegrałam swoje życie, bo źle wybrałam. Może moje słowa uratują kogoś przed podobnym błędem?

– Ja mam na imię Cecylia. Nie wiem, ile mam jeszcze czasu na tym świecie. A miałam go sporo, bo wczoraj skończyłam siedemdziesiąt siedem lat. Moja mama wspominała kiedyś, że siedemdziesiąt siedem to są dwie siekierki i nieraz ich uderzenie kończy czyjeś życie. I tak będzie w moim przypadku. I dla mnie nie ma już ratunku. Nie ma, pomimo tego, że moje konto bankowe jest – jak mówi wnuczka – „wypasione". Byłoby stać mnie na najdroższe leki, zabiegi operacyjne lub inne terapie w renomowanych światowych klinikach z najwyższej półki! Ale to wszystko na nic by się zdało. Choroba poczyniła już w moim organizmie zbyt duże spustoszenie.

Zbagatelizowałam pierwsze niepokojące objawy, zamiast poddać się badaniom, wolałam robić interesy, śledzić ruchy na giełdzie, kalkulować, jakie inwestycje są najbardziej opłacalne… Upajałam się widokiem wzrastających sum, przybywających zer. A gdy zdarzył się potężny krach ekonomiczny i moje finanse zaczęły się niepokojąco kurczyć, przypłaciłam to zawałem, na szczęście w porę rozpoznanym i dobrze leczonym, bo miałam wtedy niespełna pięćdziesiąt lat.

Nawet leżąc w szpitalu, nie mogłam przestać kontrolować moich finansów. Mój rozum

i wola wyraźnie poddawały się niższym władzom, jak grubo później przeczytałam u świętego Tomasza z Akwinu. Jedynym celem mojego życia było bogacenie się, wprost uwielbienie pieniędzy.

Za późno, bo dopiero tutaj, dowiedziałam się, że uwielbienie powinnam oddawać Panu Bogu, a nie mamonie. I to zdobywanej nie zawsze uczciwie. Ale dla Niego nie było nigdy miejsca w moim życiu. Nie było czasu dla Boga. Nie było nawet potrzeby, aby zbliżyć się do Niego. Teraz, przez te kilkadziesiąt dni, więcej modliłam się i zwracałam do Niego, niż przez poprzednie siedemdziesiąt siedem lat.

Pani redaktor! Widzi pani, że właściwie miałam takie zwykłe, prozaiczne życie – rozkosz bogacenia się przysłoniła wszystko inne, także Pana Boga. Ale ksiądz kapelan powiedział mi, że mam jeszcze szansę na Boże miłosierdzie. I na to, aby to zło wyrządzone sobie zminimalizować. Może Bóg da mi jeszcze trochę czasu?

Obie moje rozmówczynie wyglądały na bardzo zmęczone tymi zwierzeniami. Podziękowałam więc serdecznie za oba i cicho, ze ściśniętym gardłem, wyszłam z pokoju.

Na korytarzu zagadnęła mnie pielęgniarka. Z drobnym wyrzutem zwróciła mi uwagę, że odwiedziny trwały trochę za długo. Przeprosiłam, ale w tym momencie, pielęgniarka patrząc, jak pieczołowicie chowam komórkę, domyśliła się, że nagrywałam wywiady w sali obok. Wiedziała, że ma przyjść ktoś z redakcji.

– Jeszcze pani coś powiem: obie pacjentki poprosiły mnie, abym nie robiła im zastrzyku przeciwbólowego przed pani przyjściem. Chciały być „trzeźwe" na umyśle w czasie rozmowy. To było rzeczywiste męstwo!

Chciałam się pożegnać, bo po wysłuchaniu dwóch pacjentek hospicjum, miałam już gardło ściśnięte i łzy w oczach. Ale pielęgniarka – pani Iza (takie imię widniało na plakietce przypiętej do błękitnego fartucha), spojrzała na mnie tak jakoś pytającym wzrokiem.

– Czy i ja mogłabym pani opowiedzieć o sobie? – powiedziała niepewnie.

Usiadłyśmy więc w dyżurce i włączyłam nagrywanie…

– Pracuję jako pielęgniarka w Hospicjum Świętego Łukasza od blisko dziesięciu lat. Pacjenci mówią do mnie Iza, chociaż to moje drugie imię.

Jak to było w moim życiu? Różnie. Gdy miałam siedemnaście lat, zakochałam się nieszczęśliwie, bez wzajemności. Najpierw przez miesiąc płakałam prawie bez przerwy, potem zaczęłam zajadać swój ból. Kanapki, słodycze, hamburgery, znowu słodycze… Delektowałam się każdym kęsem, na jedzenie wydawałam niemal wszystkie pieniądze. Przejadałam też wszystkie oszczędności; żeby tylko doznać rozkoszy jedzenia, które zastępowało mi niedostępne rozkosze, rozumie pani, jakie?

Przestałam widywać się ze znajomymi, bo nie stać mnie było na rewizyty. Jakimś cudem zdałam maturę i wyjechałam do szkoły pielęgniarskiej. Byłam już taka gruba, że dyrektorka nie mogła wyobrazić sobie, jak pracuję przy łóżku chorego. Dostałam warunek: muszę schudnąć! Miała mi w tym pomóc moja współlokatorka z bursy Kasia. Bardzo fajna dziewczyna! Rozpoczęła walkę z moją tuszą modlitwą! Wyciągnęła mnie na nabożeństwo różańcowe (był to październik). Poszłam tam bez wielkiego przekonania, bo z Panem Bogiem, ani z Maryją dawno nie miałam nic do czynienia. A nawet dopuściłam się bluźnierstwa, gdy matka odwoływała się do Boga: „Bój się Boga, przestań tyle jeść!". Wtedy z ironią odpowiadałam: „A co, Jezus się nie objadał? Ucztował z nierządnicami i grzesznikami, na weselu, na Ostatniej Wieczerzy, a ryby piekł i jadł nawet po Zmartwychwstaniu. A szatan kusił Go, żeby kamienie zamienił w chleb". „I co, zamienił? Przecież powiedział, że nie samym chlebem żyje człowiek – matka widocznie lepiej znała Pismo Święte, ale do mnie niewiele wtedy docierało.

Nieprzeparta rozkosz przy jedzeniu zasłaniała mi wszystko, nawet Pana Boga. Dotarło to do mnie pewnej niedzieli, gdy ksiądz poprosił wiernych o ofiary na kapitalny remont kościoła. Kasia postanowiła żyć w tym miesiącu skromniej, nie kupować kolejnych spodni i odłożyć w ten sposób pewną kwotę na ten cel. Zasugerowała mi, że mogłabym zrobić tak samo, tzn. oszczędzić na nieustannym pojadaniu. Z wielkim samozaparciem udało mi się to zrealizować, ale w sobotę całą odłożoną sumę wydałam na czekolady, ptysie ze śmietaną i pączki. „No to ty rzeczywiście bardziej kochasz rozkosz jedzenia, niż Boga" – podsumowała moje wysiłki wyraźnie zmartwiona Kasia.

W niedzielę po południu poszłam ponownie do kościoła i porozmawiałam sobie z Panem Bogiem na poważnie o moim problemie. I stał się cud! Czy ja jestem teraz grubasem? – zapytała mnie nagle, patrząc mi w oczy.

Gdy zaprzeczyłam, Iza tryumfalnie oznajmiła, że problem nadmiernego jedzenia znikł. – A przyczyniła się do tego praktyka na oddziale onkologii tutejszego szpitala. Zobaczyłam tam ludzi, którzy z racji choroby wcale nie mogli jeść i zrobiło mi się po prostu wstyd. Od tamtego zdarzenia schudłam dwadzieścia pięć kilogramów. Zwyciężyłam! Pani redaktor, czy ta moja historia nadaje się do rozpowszechnienia? Bo to właściwie jest takie prozaiczne.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, odezwał się niespodziewanie ksiądz kapelan, który właśnie stanął w drzwiach dyżurki:

– Pani Izo, na pewno pani zwyciężyła. Zaświadczam to wszem i wobec! Pani redaktor, proszę jeszcze dodać, że pani Iza dobrze wybrała – odrzuciła przesadę, zje czasem cukierka czy kawałek ciasta, ale i różaniec zmówi razem z pacjentem, i jeżeli obowiązki jej na to pozwalają, nie opuści żadnej mszy świętej, pomaga też tym chorym, którzy mogą wstać z łóżka, przywozi ich czy przyprowadza do naszej kaplicy. Jest takim dobrym duchem tego miejsca!

Pełna wrażeń wyszłam z hospicjum na miękkich nogach. Wsiadłam do samochodu, ale nie byłam w stanie trafić kluczykiem do stacyjki.

Uchyliłam okno, pachniało wiosną, a ptaki przepięknie śpiewały w parkowych zaroślach otaczających hospicjum.

Wyjęłam laptopa, chcąc choć trochę odreagować, zaczęłam przeglądać maile, żeby wrócić do świata żywych. Wśród zwykłych redakcyjnych informacji i paru spamów, zainteresował mnie jeden z nich. Przysłał go pan Piotr K. nie był to jednak tekst na temat wyborów celu życia, ale pytanie – czy interesował by mnie jego problem – całe życie zaciekle walczył o władzę, w różnych obszarach: politycznym, zawodowym, małżeńskim, klubowym (jest zapalonym działaczem w klubie motoryzacyjnym AUTOX)…

Nie było w jego życiu nic ważniejszego niż przywództwo. Upajał się tym, że coś czy losy kogoś zależą od jego decyzji. Nawet w miejscowej parafii usiłował przejąć stery i postawić proboszcza „do kąta", a gdy to mu się nie udało, obraził się i na Pana Boga.

Odpisałam od razu panu Piotrowu, że z niecierpliwością będę oczekiwać na rozwinięcie tematu. Dzięki Bogu, mam już materiały na cztery numery. Myślę, że naczelny je zaakceptuje. Ale wiem, że planuje już podwójne, świąteczne wydanie naszego tygodnika, więc brakuje mi jeszcze

co najmniej jednego tekstu. O dalszych perspektywach tego cyklu mieliśmy rozmawiać później.

Zebrałam się w sobie i jakoś szczęśliwie dojechałam do pracy. Na mailu ani w smsach, a także w mojej listowej redakcyjnej przegródce nie było innych zgłoszeń. Godzina była stosunkowo późna, więc wyłączyłam komputer i wyszłam z opustoszałej już redakcji. Od razu pojechałam do domu, bardzo zmęczona wrażeniami dzisiejszego dnia.

Mąż był z synem na basenie i znając ich zwyczaje, wiedziałam, że nie wrócą przed dwudziestą. Usiadłam na tarasie, łapiąc wiosenne słońce, które o dziwo, mimo późnej pory przygrzewało

coraz mocniej i mocniej. Na pobliskiej palmie uwijały się sympatyczne małpki, a papugi darły się wniebogłosy. Skąd się tu wzięła palma, przecież w naszym ogrodzie rośnie tylko orzech i jabłoń, pomyślałam zdumiona, ale brak odpowiedzi na to pytanie wcale mnie nie zmartwił.

Ze smakiem wypiłam szklankę soku pomarańczowego z lodem, którą mi przyniósł smagły, skąpo ubrany młodzieniec w pióropuszu na głowie, po czym, zachęcona widokiem kąpiących się w ogromnym basenie ludzi, ruszyłam do wody, zastanawiając się przez moment, jakim cudem w naszym dmuchanym niewielkim baseniku, zmieściło się kilkudziesięciu pływaków, i jeszcze mnie tam zapraszano, ale…

Woda była orzeźwiająca, błękit nieba odbijający się w niej, stwarzał wrażenie, że pływając leci się w przestworzach. Ojej, to wcale nie było wrażenie, bo ja rzeczywiście bujałam w obłokach na fantastycznej lotni, z której roztaczał się widok na miasto. Na nasze miasto? No nie, bo górowała nad nim potężna wieża, uwieńczona chyba pięciometrowym złotym krzyżem, a najwyższy budynek u nas to oszklony trzydziestopiętrowy biurowiec. Ale ten krzyż wydawał mi się jakiś znajomy.

Nagle moja podniebna podróż skończyła się i przeszkloną windą zjechałam błyskawicznie z wieży do wnętrza świątyni, a dokładnie: stanęłam przy pierwszej ławce. Rozległ się dzwonek nad drzwiami do zakrystii i do ołtarza zaczęli podchodzić kapłani w różnych ornatach – złotych, zielonych, czerwonych… Szli i szli, doliczyłam się ich około stu. W kościele, oprócz mnie, nie było innych wiernych. Potężne nawy były puste.

Widocznie ci księża mają tu jakieś spotkanie, konferencję, czy coś podobnego – wytłumaczyłam sobie ten „tłok” przy ołtarzu. A są ubrani w różne ornaty, bo pewnie włożyli takie, jakie

znaleźli w zakrystii. W jednym kolorze tylu z pewnością nie było.

Rozpoczęła się msza święta. Czułam, że nie wypada mi wyjść, zresztą marsz przez bardzo długą nawę na oczach tylu księży, nie był mi w smak. Usiadłam więc w ławce. Teksty mszalne były odmawiane w różnych, z reguły nie znanych mi językach. Po geście bicia się w piersi zrozumiałam, że są to słowa aktu pokutnego: „moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina". Gdy automatycznie wypowiedziałam je po polsku, podszedł do mnie jeden z kapłanów i wylał na mnie całe wiadro wody! Zaniemówiłam z wrażenia, ale zanim zaczęłam się martwić, czym się wytrę i w co się przebiorę, stanął obok mnie jakiś człowiek z białym kąpielowym ręcznikiem i owinął mnie nim od stóp do głów. No to przynajmniej nie dostanę zapalenia płuc, ucieszyłam się i ponownie zasiadłam w ławce. A może to była woda święcona i mi nie zaszkodzi.

Rozpoczęły się czytania z Biblii, pewne fragmenty rozumiałam i rozpoznawałam, ale nie wszystkie. Trwało to bardzo, bardzo długo, kapłani przeczytali chyba Pismo Święte „wzdłuż i wszerz" i to kilkakrotnie. Straciłam poczucie czasu i pewnie przysnęłam na moment. Pamiętam tylko, że msza święta się wreszcie skończyła, a ostatni ksiądz przed wejściem do zakrystii odwrócił się i zawołał w moim kierunku:

– Pani Ewo, rachunki wyrównane, woda święcona zmyła winy! Zdała pani dopiero poprawkę z egzaminu wiary, bo pierwszy termin zawaliła pani całkowicie. Uczestniczyła dziś pani w stu siedmiu mszach, bo właściwie tyle razy nie była pani w kościele, w niedziele i święta, wtedy, gdy pani podróżowała po całym świecie i nawet nie zainteresowała się, czy w pobliżu jest kościół lub zasięg, żeby chociaż zdalnie połączyć się i wziąć udział we mszy świętej. Ale pani, zafascynowana podróżami, zapomniała o Bogu. Bo zawsze było coś ciekawego do obejrzenia, bo szkoda było czasu na siedzenie w kościele, bo wyprawa kosztowała przecież niemało.

Drzwi zakrystii zatrzasnęły się z hukiem, a w moim kierunku ruszył anioł, który dotychczas stał oparty o kolumnę przy ołtarzu. Myślałam sobie, że jest z marmuru, a on zaczął głośno wołać: „Ewa, Ewa" i szarpać mnie za rękę.

– Ewa, Ewa, co ci jest? Obudź się, Ewa!

– Ale ja nie śpię. Właśnie skończyła się msza święta.

– Jaka msza? Tu na tarasie, w naszym ogrodzie?

Otworzyłam oczy. Mąż stał nade mną, przerażony, że się nie odzywam.

– Nie, tylko nie to – zawołałam do syna, widząc, że chce wylać na mnie wiaderko wody, pewnie żeby mnie otrzeźwić.

– Już dzisiaj zaliczyłam takie wiaderko.

– Co ty opowiadasz, mamo? Przecież tu nikogo nie było, a ty po prostu zasnęłaś na tym leżaku. A może zasłabłaś? Tato dzwoni już na pogotowie.

Udało mi się odwołać wizytę lekarza. Po kolacji usiedliśmy z mężem na tarasie. Było już ciemno, ale nie miałam jeszcze ochoty na spanie. Bałam się, że popołudniowy sen powróci. A musiałam go przemyśleć, następnie spisać i zgłosić naczelnemu kolejny tekst. Tekst o tym, że moje życie muszę koniecznie zmienić i przewartościować. Bo właśnie znalazłam takie szczęście, którego nikt mi nie będzie mógł odebrać.

Bibliografia

Branden N., *Jak dobrze żyć sobą – o poczuciu własnej wartości,* GWP, Gdańsk 2006.

Chmielecki A., *Rzeczy i wartości. Humanistyczne podstawy edukacji ekonomicznej,* PWN, Warszawa 1999.

Chrapko M., *Ekonomia dzielenia się – nowy trend w biznesie,* www.ekonomiadzieleniasie.pl.

Czerny J., *Aksjologiczne podstawy ekonomii i biznesu*, Wyd. WSzEiA, Bytom 2018.

Czerny J., Rzepka K., *O humanizację myśli ekonomicznej*; W: Nierówności społeczne a wzrost gospodarczy, nr 52 (4/2017).

Dancewicz B., Rozkwitalska M., Szmidt H., *Przewodnik praktycznego zarządzania*, Difin, Warszawa 2013.

Das Neves J. C., *Ekonomia z Bogiem,* WAM, Kraków 2003.

Ekman P., *Kłamstwo i jego wykrywanie w biznesie, polityce, małżeństwie*, PWN, Warszawa 1997.

Galata S., *Biznes w przestrzeni etycznej. Motywy, metody, konsekwencje*, Difin, Warszawa 2007.

Garczyński S., *O radości*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1983.

Griffin E., *Język przyjaźni*, Wyd. Rodzinny Krąg, Warszawa 1994.

Illg J., Illg T., *Wielka Księga Mądrości*, Wyd. KDK-Arkadia, Chorzów 2013.

Jaki S. L. OSB, *Zbawca nauki,* Wyd. W drodze, Poznań 1994.

Joule R. V., Beauvois J.L., *Gra w manipulacje. Wywieranie wpływu dla uczciwych*, GWP, Gdańsk 2006.

Kisilowska M., *Kultura informacji*, Wyd. SBP, Warszawa 2016.

Lefevre P., *Jak zmienić swe życie?,* Wyd. „W drodze", Poznań 1994.

Liedel K., Piasecka P., Aleksandrowicz T.R., *Analiza informacji. Teoria i praktyka*, Difin, Warszawa 2017.

Masłowska D., Masłowski W., *Wielka Księga Myśli Polskiej. Aforyzmy, przysłowia, sentencje.*, Wyd. KDC, Warszawa 2005.

McGinnis A. L., *Sztuka motywacji, czyli jak wydobyć z ludzi to, co w nich najlepsze,* Oficyna Wydawnicza „Vocatio", Warszawa 1992.

McGinnis A.L., *Sztuka przyjaźni, czyli jak zbliżyć się do ludzi, na których Ci zależy*, Oficyna Wydawnicza „Quo Vadis", Warszawa 1991.

McGinnis A.L. *Potęga optymizmu,* Wyd. „Exter", Warszawa 1993.

McGinnis A.L. *Sztuka życia, czyli Jak osiągnąć sukces w pracy zawodowej i szczęście w życiu rodzinnym,* Oficyna Wydawnicza „Vocatio", Warszawa 1998.

Minus P.M., *Etyka w biznesie,* PWN, Warszawa 1995.

Moczydłowska J.M., Korombel A., Bitkowska A., *Relacje jako kapitał organizacji*, Difin, Warszawa 2017.

Nash W., *Jak opanować stres? W stronę pełni*, Wyd. M, Kraków 1995.

Neuhaus R. J., *Biznes i Ewangelia. Wyzwanie dla chrześcijanina – kapitalisty*, Wyd. W drodze, Poznań 1993.

Oleński J., *Ekonomika informacji – podstawy*, PWE, Warszawa 2001.

Oleński J., *Ekonomika informacji – metody*, PWE, Warszawa 2003.

Oppermann K., Webber E., *Style porozumiewania się w pracy,* GWP, Gdańsk 2007.

Ostropolska-Kubik E., Wojakowska-Żeglińska M., Wojciechowska R., Bartkowiak R., *Społeczna granica wzrostu gospodarczego. Przyczynek do ekonomii szczęścia.*, Wyd. SGH 2013.

Rudawska I., *Ekonomia dzielenia się, czyli konsumpcja współdzielenia i inne formy alternatywnego dostępu do dóbr*; W: Studia Ekonomiczne. Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, nr 254/2016.

Rudniański J., *Homo Cogitans*, WP, Warszawa 1975.

Stefanowicz B., *Informacja. Wiedza. Mądrość*, GUS, Warszawa 2013.

Szewczyk A., *Dobre nowiny czyli niewymyślone zdarzenia z Internetem w tle,* Hogben, Szczecin 2012.

Szewczyk A., *Problemy moralne w świecie informacji*, Difin, Warszawa 2008.

Szostek A. MIC, *Pogadanki z etyki,* Wyd. Niedziela, Częstochowa 1998.

Tomaszewski A., *Problemy i metody w zarządzaniu organizacjami*, Wyd. A. Marszałek, Warszawa 2017.

Vanier J., Augustyn J. SJ, *Depresja, uczucia, lęk,* Wyd. M, Kraków 1992.

Spis treści

Zamiast wstępu..... 7

I

„Info 24", czyli brak litości 19
Biały proszek, czyli deficyt wdzięczności..... 44
Tak wczoraj, jak i dziś, czyli zdrajcy w akcji 60
Niegodziwi dobroczyńcy,
czyli perfidne oszustwa..... 82
Słowa, słowa, czyli życie lub śmierć 113
STOP, czyli brak hamulców nie popłaca..... 132

II

Zamek na piasku,
czyli ja wiem lepiej niż mama i tata..... 155
Brak serca, czyli śmierć..... 176
Kłopoty, czyli bezmyślność i zuchwałość..... 195
Chciwość, czyli mieć zamiast być..... 213
Pycha, czyli deszcz zła..... 230
Ja, ja – a ty, a my? Czyli nie szukaj swego..... 251
Niewłaściwe życiowe wybory,
czyli chybione szczęście..... 264

Bibliografia..... 287